

HORYZONTY

ZDARZEŃ

RAFAŁ

DEBSKI



RAMIĘ
PERSEUSZA

Z GŁĘBOKOŚCI



REBIS

HORYZONTY

ZDARZEŃ



RAFAŁ
DEBSKI

**RAMIĘ
PERSEUSZA**

Z GŁĘBOKOŚCI



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

1

– Po zakończeniu procesu Zjednoczenia mogę wreszcie przystąpić do pracy. Rozpoczynam zatem nową aktywność od złożenia raportu ze zdarzeń poprzedzających procedurę Zejścia do Otchłani. Pragnę podkreślić, że było to wyjątkowo krótkie połączenie w dwuświadości, trwało zaledwie pół doby, podczas gdy zazwyczaj otrzymuję pozwolenie na Zjednoczenia co najmniej trzydniowe.

Rwący Sieć zamilkł na chwilę, wyłączył rejestrator i zebrał myśli wciąż jeszcze rozbiegane po wyjściu z Otchłani. Dopiero teraz do jego monoświadości zaczęło docierać, co się stało, zanim udał się na dół, aby dokonać tego krótkiego Zjednoczenia. Przekazał dwuświadości wszelkie dane, gdy wzięła go w miękkie objęcia, ale dopiero przy następnym Zejściu uzyska pełne wyniki pracy i zdoła gruntownie przeanalizować materiał. Coś już wiedział, lecz wciąż za mało, aby wyciągać daleko idące wnioski.

– Zjawisko, jakiego doświadczyłem podczas pracy w tutejszej wodzie, która budową na poziomie poddrobin przypomina naszą, różniąc się jednak od niej składem dodatków chemicznych, najwyraźniej nie pochodzi z tego świata, ma zupełnie inne sygnatury niż tutejsze życie. Podczas prac grupy eksploracyjnej w oceanie planetarnym nie wykryto takiej formy zintegrowanego promieniowania wskazującego na obiekt materialny zdradzający symptomy życia. Zjawisko to przypomina wprawdzie znane nam obiekty, jednak jest konglomeratem najzupełniej obcym. Ponadto było ono

zamknięte w kapsule nieorganicznej, zbudowanej z wielu warstw i nieintegralnie strukturalnie. Doświadczenie całości zdawało mi się niesłychanie przykre, zupełnie jakbym obcował z drapieżnym kunru, co wszak jest niemożliwe zarówno tu, jak i na naszym świecie, albowiem te groźne zwierzęta wytepiono. Choć, z drugiej strony, nikt nie może zagwarantować, że na obcym globie jakaś forma życia nie ewoluowała w podobnym kierunku. Niemniej jest to zjawisko niepokojące, tym bardziej że promieniowanie wydziela nie tylko przykre, lecz bardzo mocne, chociaż na początku zgoła go nie dostrzegłem, co świadczy o jego intencyjności. Promieniowanie ogarnęło mnie na jeden i pół periodu, po czym wycofałem się z rejonu poszukiwań. Odniosłem wrażenie, że nie pochodziło ono od owej istoty biologicznej, lecz raczej od otaczającej ją maszyny.

Zastanowił się, przywołał wspomnienia. Łączy sensoryczne w pewnej chwili oszalały, gdy to, co obserwował, poruszyło się, wywołując zakłócenia przestrzeni i wysyłając gwałtowne fale wskazujące na wielką energię drżącą w obiekcie. Jednak w tej mętnej wodzie, pełnej najróżniejszych substancji mineralnych i skażonej promieniowaniem, skanowanie było znacznie utrudnione, a właściwie wręcz niemożliwe powyżej poziomu prostej obserwacji. Ilekroć Rwały Sieć eksplorował przybrzeżne wody oceanu, miał wrażenie, że porusza się w zupełnych ciemnościach. Jakby nie tkwił w gigantycznym zbiorniku wodnym, ale przeciskał się przez ciasny tunel. O tak, skład tej wody był bardzo nieprzyjazny zarówno dla zmysłów, jak i ciała. Tak bardzo, że naukowiec nie zaryzykowałby kontaktu z nią bez kapsuły ochronnej. Jakże inna ciecz była na Twardym Punkcie, gdzie przebywał na poprzedniej misji badawczej! Co prawda tamta planeta znajdowała się w zupełnie innym miejscu, nie tak daleko od domu, bo w samym Korcu, a jej powietrze miało zapach, do którego trzeba się było przyzwyczaić, lecz woda była cudowna, bodaj nawet czystsza niż na Opoce.

Tyle że zamieszkiwały ją groźne zwierzęta, więc podczas ekspedycji trzeba było zachowywać najdalej idącą ostrożność.

Rwący Sieć porzucił miłe wspomnienia. W tej chwili powinien dokończyć wstępny raport dla vengu i vinduke.

– Jak już wspomniałem, zgodnie z procedurami odpłynąłem jak najszybciej z miejsca zagrożenia, analizując dane już w drodze powrotnej. Nic nie wskazuje na to, żeby obiekt początkowo zauważył moją kapsułę, w każdym razie zachowywał się obojętnie, jeśli nie liczyć ruchów, które jednak nie miały wyraźnego związku z moją obecnością. Nie wyczułem wówczas także żadnego promieniowania, które by kierował w moją stronę. Wysłanie promieniowania interpretuję jako dowód na to, że zostałem zlokalizowany. Lecz zbyt wcześnie jest na wysuwanie dalej idących wniosków. Należy poddać gruntownej analizie wszelkie zebrane materiały, w czym pragnąłbym wziąć udział, jeśli czcigodny vengu Ostrze Światła wyrazi zgodę. Koniec raportu wstępnego. Starszy badacz Rwący Sieć.

Naukowiec oderwał kończynę od płytki rejestratora. Najwyższy czas udać się na posiłek. Po Zjednoczeniu wprawdzie wciąż jeszcze odczuwał sytość, jednak nie był już młokosem, który dowierza bez zastrzeżeń sygnałom płynącym z ciała i umysłu. Każdy Opokanin przynajmniej raz w życiu zaniedbał odżywienia się po Zjednoczeniu i przypłacił to okrutnym cierpieniem, które trudno z czymkolwiek porównać. Jedynie członkowie Prawdziwego Wtajemniczenia nadal pościli po Zejściu, lecz niektórzy umierali na skutek szoku głodowego, szczególnie jeśli Zjednoczenie było intensywne. Podobno wstrzemięźliwość sprawiała, że mieli niezmiernie interesujące wizje, ale zarówno lepsi, jak i władze duchowne niechętnie patrzyli na podobne praktyki. W każdym razie na wyprawy w kosmos nigdy nie wysyłano Opokan związanych z tym ruchem, a tym bardziej jego jawnych wyznawców. Był tolerowany tylko dlatego, że funkcjonował w kaście

Nielicznych, na dodatek w niższych jej warstwach. Lepszy na tym poziomie mogli pozwalać sobie na takie ekscesy. Wśród gorszych nie tolerowano najmniejszych objawów odchodzenia od obowiązujących zasad.

Rwący Sieć wypełził z gniazda – wgłębienia w skale dopasowanego do jego rozmiarów – rozprostował ramiona i ruszył w stronę wyjścia, lekko zataczając się w jedną stronę. Ten objaw, występujący niedługo po Zjednoczeniu, znał doskonale i przyspieszył, niezbyt jeszcze sprawnie się ślizgając, żeby jak najszybciej uzupełnić płyny odżywcze. Nawet nie pomyślał o konieczności zjedzenia czegoś, zaczął odczuwać potrzebę przyjęcia substancji odżywczych, szczególnie koktajlu elektrolitów zamkniętego w pojemniku ze skorupy haraka białego, z której nie tylko wydobywały się dodatkowe substancje, ale która doskonale konserwowała zawartość.

Dopiero przy drzwiach zauważył, że płytki rejestracyjny pozostała aktywna. Odruchowo zawrócił, żeby ją wyłączyć, ale zrezygnował. Potem to zrobił. Zbyt wiele czasu spędził nad raportem, chociaż nie więcej niż zazwyczaj. Może podczas krótkiego Zjednoczenia jego magma sangis musiała dokonać czegoś więcej niż zwykle? Może wdała się jakaś infekcja, o której nie wiedział? Tak czy inaczej, coś sprawiło, że po tym Zejściu szybciej potrzebował pokarmu.

Dlaczego tak się stało, postanowił sprawdzić podczas następnego pobytu na dole. Może to skutek tak krótkiej wizyty? Oczywiście dowie się tego, jeśli w ogóle wystarczy czasu na takie rozważania, bo najważniejsze były wnioski płynące z danych, które teraz magma sangis przetwarzała w swoim nieśpiesznym tempie.

*

– No widziałem, cholera, i wiem, co widziałem! – Doktor Linneaux rzucił ze złością na stół rękawice sensoryczne. Był zły, bo przerwano mu pracę przy

analizatorze biochemicznym. – To była wielka meduza, a przecież nie spotkaliśmy na planecie żadnych zwierząt przypominających takie stwory! Tutejsza fauna jest tak odmienna od ziemskiej i tak od niej odległa, jak ty od rozumu!

– Nie wściekaj się, Georges – odparł spokojnie niewysoki mężczyzna o wesołych niebieskich oczach i włosach tak jasnych, że prawie białych. – Pytam, czy jesteś pewien, że coś jest nie tak, właśnie dlatego, że podobne istoty tutaj nie występują. A w każdym razie nie napotkaliśmy ich do tej pory, co nie oznacza...

– Co nie oznacza, że nie mogą stanowić części tutejszych ekosystemów – wpadł mu w słowo Linneaux. – Masz mnie za durnia, Sordis? Przecież wiem, jestem egzobiologiem! Ale to stworzenie naprawdę wyglądało jak nie z tego globu, rozumiesz? Było w nim coś obcego, lecz obcego inaczej niż w przypadku tych dziwacznych form, które napotykamy w oceanie i na powierzchni, a które z upodobaniem nazywacie glutami. W dodatku uciekło, nim zdążyłem zrobić pełne skanowanie. Człowieku, gdyby nie to, że woda w oceanie jest przejrzysta i jasna jak kryształ, mógłbym to coś w ogóle przeoczyć!

Nabrał głębiej powietrza, przymknął oczy, a potem gestem nakazał drugiemu naukowcowi, aby założył hełm sensoryczny.

– Tylko to surówka, przed odfiltrowaniem tego, co nieistotne. Przygotowuję dopiero materiał dla naszej sztucznej inteligencji, ale zobacz sobie, niedowiarku.

Stanislaus Sordis wypełnił polecenie i doznał uczucia, którego nie cierpiał. Wolał otrzymywać informacje tradycyjną drogą, ale Linneaux preferował nowoczesne rozwiązania. W tym przypadku może i dobrze, bo gadanina Francuza doprowadzała do pasji spokojnego zazwyczaj i wyrozumiałego Stana, jak zdrabniali jego imię współpracownicy.

Przez chwilę czekał, aż system zaloguje go i dokona weryfikacji, a potem spadła na niego lawina obrazów i doznań. Obcych obrazów i doznań. Dlatego właśnie nie lubił tego typu komunikacji. W łańcuch danych wplecione były bowiem ulotne obrazy, skojarzenia i pragnienia przekazującego. Już dawno wynaleziono urządzenia filtrujące do przekaźników mentalnych, ale ich bezpośrednie użycie mogło pozbawić odbiorcę bardzo dużej części informacji, więc każdy sam musiał usuwać zbędne treści.

Dlatego teraz doktor Sordis widział, że jego kolega myślał jednocześnie o tym, co by chciał zjeść po powrocie na stację, i wspominał wspaniałe seks z Ludmiłą Danilewą. Przy czym to drugie doznanie pozostawało jedynie tłem dla kulinarnych fantazji Georges'a. Sordis z trudem odsunął wspomnienia na bok, skupiając się na danych płynących bezpośrednio ze zmysłów Linneaux.

Przed jego oczami rozciągał się podwodny krajobraz. Bodaj żadne morze i żaden ocean na Ziemi nie były tak przejrzyste jak tutejsze akweny. Chwilami trudno było sobie uzmysłwić, że płynie się w głębinie, a nie porusza w rzadkiej atmosferze, wręcz nad powierzchnią stałego lądu. W dole barwne skały kusiły urodą nie tylko kolorów, ale również kształtów i w tej chwili Stan przemożnie pragnął skierować batyskaf właśnie tam, podobnie jak wcześniej Francuz, choć obaj doskonale wiedzieli, że nie wolno zbliżać się do tych formacji. Chyba że ktoś miał ochotę na ekstremalne przeżycia. Bo skały nie były w istocie zwykłymi kamieniami – bardziej przypominały rafę koralową, w tym przypadku niezmiernie drapieżną. Gdyby śmiałek podpłynął do nich, z niezliczonych otworów i szczelin wystrzeliłyby ni to macki, ni to łodygi, aby usidlić zdobycz. Badacze nie zdołali jeszcze nawet ustalić, czy zjawisko to należy do świata zwierząt, czy to raczej drapieżne rośliny. A może jedna wielka roślina? Na razie mieli pilniejsze sprawy. Przede wszystkim należało określić przydatność świata do kolonizacji i pełnego terraformowania, a zatem podać dokładną zawartość surowców mineralnych, bez których zakładanie

kolonii nie miałyby sensu, i oszacować możliwość ich wydobywania. Najważniejszy, jak zawsze, okazał się rachunek ekonomiczny. A wszystko wskazywało na to, że złoża naturalne leżą stosunkowo płytko i są bardzo bogate.

Stan podążył ze wzrokiem Georges'a za kolorowe skały, tam, gdzie tuż nad dnem unosiły się długie na dziesięć do piętnastu metrów falujące włosy. Tak nazwała to zjawisko podporucznik Ivette de la Croix, kiedy je ujrzała pierwszy raz z dużej odległości. Tak naprawdę „włosy” miały grubość solidnej belki, choć daleko im było do sztywności drewna. Rzeczywiście mogły się kojarzyć z falującą na wietrze fryzurą. Ich ruch nie miał jednak nic wspólnego z podwodnymi prądami czy zjawiskami termicznymi. Wyglądało na to, że jest to jakaś forma bytowania zwierzęcego żywiąca się drobnymi organizmami, a falujący ruch miał zarówno płoszyć zdobycz, jak i przyciągać ją do drapieżników.

Sordis zaczął się już wciągać w konkretne informacje wydobyte z pamięci Linneaux, kiedy doznanie głodu zapanowało nad percepcją wzrokowo-słuchową i znów pojawiła się wizja wymarzonej kolacji.

– Szlag by cię, Francuzie! – warknął, nie panując nad sobą, i zdjął hełm. – Naprawdę myślisz tylko o żarciu?

– Myślę o tym, o czym w życiu warto myśleć jak najczęściej – odparł z godnością Georges, a potem pstryknął palcami zniecierpliwiony. – Chcesz mi powiedzieć, że porucznicy nie myślą o jedzeniu i panienkach? Nawet rosyjscy lotnicy?

– Nie jestem Rosjaninem, tylko Litwinem! – warknął Sordis.

– A co to za różnica? Od dawna podobno wszyscy jesteśmy tylko wielką wspólnotą Ziemi. Patrz lepiej, co będzie dalej, to już niedługo! I przestań mi prawić morały, bo jakbym zajrzał w twoje myśli...

Stan machnął niecierpliwie ręką, ale posłusznie założył urządzenie.

Jeszcze przez chwilę czuł głód kolegi. Nie było to ssące łaknienie, przykre doznanie, kiedy organizm domaga się odpowiednich substancji, ale głód smakosza, który może by już coś zjadł, choć niekoniecznie. Nie był w stanie tego zrozumieć. Dla niego liczyły się zupełnie inne rzeczy. Ale cóż, każdy jest inny. Odkąd poznał Linneaux, miał go za geniusza egzobiologii, ale okazywało się, że geniusz nie musi być bez reszty owładnięty jedną ideą.

Na szczęście po kilkunastu sekundach coś się zaczęło dziać. Na granicy wzroku dostrzegł niewyraźny ruch. Spojrzał natychmiast w tamtą stronę, rzecz jasna oczyma Georges'a. Przejrzysta kopuła batyskafu sprawiała, że pole widzenia nie było ograniczone w tej płaszczyźnie.

Drgnął. Identycznie zresztą jak nadający przekaz naukowiec, chociaż niezależnie od niego – to było jego zaskoczenie. Nieco z tyłu i powyżej, o jakieś pięćdziesiąt metrów, falowała wielka meduza. Tak, meduza – to było pierwsze skojarzenie, jakie przyszło Stanowi do głowy. Nie widział charakterystycznych gonad, a w środku coś się najwyraźniej przelewało. Czułki były znacznie krótsze niż u ziemskich zwierząt.

Sordis zastygł, tak samo jak Francuz. I już miał odruchowo nakazać systemom skanowanie nieznannej istoty, kiedy meduza nagle znikła. A dokładniej nie tyle znikła, ile rozplynęła się w błyskawicznym ruchu. Pomknęła w górę, ku powierzchni, i przebiła ją, ciągnąc za sobą sznur bąbelków, jakie powstają w wyniku kawitacji.

Jeszcze przez chwilę Sordis czekał razem z Georges'em, aż potężne cielsko opadnie z powrotem w głębinę, może kawałek dalej, a może wprost nad głową badacza, lecz nic takiego się nie wydarzyło. Chyba że zwierzę skoczyło na tyle daleko, żeby nie można było dostrzec wodowania. Jednak wówczas uderzenie dużego ciała o powierzchnię z pewnością zarejestrowałyby urządzenia batyskafu.

– No i co? – spytał triumfalnie Linneaux. – Sam teraz widzisz, że to coś

nietypowego.

– Nietypowego – mruknął Stan. – Tak jakby. Ale zachowało się zupełnie jak normalne spłoszone zwierzę. Zobaczyło nieznaną obiekt, oceniło, że może być groźny, i uciekło.

– Cholera, ale jak uciekło! – zniecierpliwił się Georges. – O to mi chodzi! Zupełnie jakby wyskoczyło nad fale i odfrunęło!

– Trzeba będzie posłać w ten rejon parę sond – powiedział Litwin. – I podwodnych, i latających. – Milczał moment, a potem dodał: – Muszę przyznać, że faktycznie trafiłeś na interesujące zjawisko. Ale teraz odpocznij wreszcie i coś zjedz. Kiedy tylko skończę dyżur, pójde do szefa. A na razie przejrzę wszystkie zapisy z batyskafu. Może sensory zarejestrowały coś więcej. Ludzki wzrok bywa zawodny, przecież wiesz.

– Wiem, wiem – zaśmiał się Francuz. – Dlatego wolę posługiwać się dotykiem, węchem i smakiem. I to zarówno przy jedzeniu, jak i w miłości. Dobrze wyglądająca potrawa i doskonale prezentująca się kobieta potrafią przyprowadzić mnie o bicie serca... Jak powiada stare przysłowie, jadamy także oczami.

Sordis machnął niecierpliwie ręką, wyganiając naukowca za drzwi.

– Pamiętaj tylko – przestrzegł na koniec – na razie ani słowa komukolwiek o tym zdarzeniu. Chyba że chcesz, żeby Dethardt wziął się do ciebie na poważnie z profesorem. Nawet kapitan Ballard na razie nic nie wie.

Linneaux odwrócił się w rozsuniętych drzwiach.

– Ale jego zastępca, jak widzę, został wtajemniczony – burknął.

– Bo jestem i oficerem, i naukowcem. Zresztą doskonale wiesz dlaczego. Idź już, zjedz tę swoją wymarzoną kolację!

Kiedy Georges wyszedł, Stan wziął kryształ pamięci przyniesiony przez egzobiologa z batyskafu i położył go pod czytnikiem. Po chwili naprzeciwko jego twarzy pojawił się holoekran, a na nim wykwitły najpierw kolumny cyfr,

potem zaś raporty z poszczególnych skanerów. Porucznik mógł nakazać komputerowi analizę i sformułowanie wstępnych wniosków, jednak zawsze wolał najpierw sam zobaczyć surowy materiał, nie sugerować się interpretacjami i hipotezami sztucznej inteligencji stacji. To był potężny mózg, o wiele sprawniejszy niż ludzki, ale pewne rzeczy pozostawały niezmiennie – na przykład interpretacja intuicyjna. Najnowocześniejsze systemy SI wciąż nie były w stanie dorównać pod tym względem człowiekowi, natomiast znakomicie sprawdzały się, kiedy trzeba było wykonać żmudną pracę wymagającą maksymalnego wysiłku umysłowego.

– Zobaczmy, co też kot przyniósł z ogródka... – mruknął pod nosem.

*

Nad falami oceanu unosiły się chmury. Opadały tuż nad wodę, muskając prawie powierzchnię, lecz gdy czubki fal już miały dotknąć obłoku, ten podrywał się nagle na kilkanaście metrów, żeby po chwili znów się zniżyć. Chmury miały barwę kawy z mlekiem, tak przynajmniej określał to Ronald. Taki kapitan Vachez twierdził, że jemu przypominają bździnę niemowlaka w pieluszcze, ale kapitan był zawsze koszmarnie dosłowny i konkretny. Tak, tę barwę można było odbierać także w ten sposób, ale Ronald wolał swoje asocjacje. Bździna niemowlaka, też coś...

Porucznika zjawisko to fascynowało od samego początku, od pierwszego dnia na tym świecie, któremu oficjalnie nie nadano jeszcze innej nazwy niż zwykłe oznaczenie astronomiczne – Isis 71 b. Członkowie wyprawy wiedzieli oczywiście o wielu zjawiskach występujących na globie, w tym o tych obłokach nad oceanem, ale jakoś żadne z nich nie wpłynęło na ich wyobraźnię na tyle, żeby ukuć imię dla planety.

Obserwowane przez młodego pilota zjawisko nie występowało codziennie,

to znaczy co trzydzieści cztery godziny i pięć minut, bo tyle trwała tutaj doba. Nadciągało co dwa, trzy lokalne dni i zawsze podczas górowania słońca układu, Izydy. Dwie pozostałe gwiazdy krążyły na obrzeżach systemu, daleko poza sześcioma planetami. Bliższa była brązowym karłem, dalsza – czerwonym. Wszystko wskazywało na to, że pierwotnie nie należały w ogóle do układu, lecz zostały przechwycone przez bardziej masywną Izydę, ciało niebieskie typu słonecznego. I być może właśnie dzięki temu na Isis 71 b narodziło się życie. Wszelkie ślady wskazywały na to, że niegdyś planeta krążyła zbyt blisko rodzimej gwiazdy, aby to było możliwe. Z kolei na pozostałych globach panowały obecnie zbyt surowe warunki, wszystkie były znacznie oddalone od centrum układu, co było również skutkiem oddziaływania dwóch mniejszych gwiazd, słabego wprowadzie, ale nawet niewielka grawitacja ma to do siebie, że potrafi doprowadzić do sporych zaburzeń. Już układy podwójne bywały mocno skomplikowane pod tym względem, a tutaj istniał układ potrójny.

– Na szczęście dla tej planety w rejonie jej orbity siły się równoważą – tłumaczył porucznikowi profesor Solimow, dowódca naukowej wyprawy. – W dodatku najwyraźniej tak się złożyło, że Izyda przechwyciła pozostałe gwiazdy mniej więcej w tym samym czasie, i to w takiej konfiguracji, że tory planet uległy jedynie przesunięciu, a nie poważnemu zakłóceniu czy nawet zerwaniu. Tyle że na tych bardziej oddalonych zaczęły panować skrajnie niesprzyjające warunki, a siły pływowe powodują tam wzmożoną aktywność sejsmiczną. Szósta planeta może wręcz z czasem się rozpaść, jeśli oddali się jeszcze trochę od centrum.

– A przecież te gwiazdki są oddalone na tyle, że ledwie je wiąże oddziaływanie tego słońca z całością układu – mruknął Ronald.

Wtedy usłyszał krótki wykład o naturze prawa powszechnego ciążenia i historii planety.

– Tak. – Profesor pokiwał głową. – Jednak pamiętaj o tym, w jaki sposób działa grawitacja. Kwadrat odległości i tak dalej. Oddziaływanie jest niby niewielkie, ale przecież znaczące. Stare powiedzenie mówi, że kropla drąży skałę. Grawitacja zaś drąży wszechświat. Nasza planeta, jak już powiedziałem, miała szczęście w nieszczęściu. Była na tyle blisko, żeby grawitacja niespodziewanych gości odciągnęła ją od macierzystej gwiazdy, przy której do dziś, jak nasz stary dobry Merkury, smażyłaby się z jednej strony, a marzła w kosmicznym mrozie z drugiej. Wtedy zapewne rozpoczął się jej ruch obrotowy, nastąpiło też wspomagające go bombardowanie asteroid, które dostarczyły wody i innych substancji, bo bez tego cóż mogłoby się pojawić na takiej wyprężonej i wymrożonej zarazem skorupie? Tak, drogi chłopcze, przypomina to nieco historię naszej Ziemi, chociaż naprawdę tylko z grubsza. Tak już jest, że nieszczęście jednego bywa powodzeniem innego, nawet jeśli nie są wrogami. Wszechświat tego najlepszym przykładem. Bo przecież te asteroidy nie pojawiły się znikąd, stanowiły cząstki dwóch innych planet, które zderzyły się, wytracone z orbit, a znajdowały się na tyle blisko, żeby doszło do kolizji. Większość ich masy uleciała w stronę Izydy z jednej strony, a karłów z drugiej. To dlatego bezpieczniej jest tutaj przechodzić na skos ekliptyki z dowolnej strony, niż narażać się na trafienie statków kosmicznym gruzem. Ale to na pewno wiesz. – Solimow zaśmiał się. – Opowiadam teraz oczywistości.

– Profesorze – odparł z uśmiechem porucznik – co innego studiować suche informacje i instrukcje, a co innego posłuchać opowieści. Jakoś bardziej przemawia to do wyobraźni.

Szef naukowców zamyślił się na chwilę, a potem rzekł poważnie:

– Właśnie dlatego wciąż stosujemy wykład jako metodę nauczania. Bezpośredni wykład, jeśli to tylko możliwe, choćby prowadzony przez łącza. Ważne jest, żeby uczeń w tym uczestniczył, skupiał się na osobie, która mówi

do niego w czasie rzeczywistym, a nie odtwarzał tylko jej mądrości. Och, pewnie, są tacy wykładowcy, którzy potrafią uspić każdego! – Twarz Solimowa znów rozciągnęła się w uśmiechu. – Umieją też zniechęcić do tematu wykładu najbardziej pilnych słuchaczy. W nauce wciąż jeszcze wiele zależy od człowieka. Nawet prowadzące sporą część zajęć sztuczne inteligencje nie są doskonałe. Wszystko zależy od tego, kto je programuje, z czyjego algorytmu mentalnego korzystają.

– Tak, wiem – rzekł Ronald. – W Akademii Wojskowej mieliśmy zajęcia z SI, której algorytmy oparto na umyśle wiceadmirała Veracruz. Zwycięzcy bitwy o Ganimedesa – dodał, widząc, że naukowiec nie wie, o kogo chodzi. – To w sumie niewielka łomotanina sprzed dwustu pięćdziesięciu lat, ale genialnie rozegrana taktycznie. Admirał Veracruz był znakomitym taktykiem, podobno jednym z najlepszych sztabowców w historii floty kosmicznej. Inteligencją przewyższał wszystkich oficerów razem wziętych, łącznie z bezpośrednimi przełożonymi i głównodowodzącym, ale też musiał być zwyczajnie... – Porucznik przerwał, szukając odpowiedniego słowa.

– Nudny i upierdliwy – podpowiedział Solimow. – Nie musisz ubierać wszystkiego w piękne terminy tylko dlatego, że rozmawiasz ze mną. Domyślam się, że nie brał udziału w bitwie, tylko siedział przy mapie holo i pokazywał palcem, kto i co ma zrobić. Przewidywał każdy ruch wroga, a ten nie zrobił mu żadnej poważnej niespodzianki, dlatego plan powiódł się znakomicie i stanowi teraz modelowy przykład dla narybku wojskowego. Ciekawe, co by zrobił taki sztabowiec, gdyby przeciwnik zagrał nietuzinkowo. Nie znam się na wojskowości, ale wyobrażam sobie manewr pozorowanego odwrotu, samobójczy atak uszkodzonego okrętu, jakiegoś niesforne go kapitana, który wyrwał jednostkę z szyku z sobie tylko znanych powodów i poleciał ostrzelać słabiej chronione, a jednocześnie wrażliwe cele. Zresztą rodzime siły mogłyby narobić bałaganu, chociażby dokonać panicznego odwrotu, albo znalazłby się

dowódca okrętu, który opuściłby formację i zaczął działać na własną rękę.

– I pan się nie zna na wojskowości – mruknął z podziwem Ronald. – Przecież każdy oficer, a nawet wielu kadetów, miewa podobne wątpliwości.

– Już sobie przypominam tę bitwę. – Profesor zmarszczył brwi. – Zdaje się, że nasze narody, bo wtedy jeszcze panował oficjalny i ostry podział pod tym względem, stały tam naprzeciwko siebie. Cóż, dowódcy rosyjscy bywali znakomici, ale też pełno wśród nich było takich, którzy hołdowali utartym schematom i niewolniczo stosowali instrukcje. I pewnie trafił swój na swego, tyle że Veracruz miał więcej szczęścia, a prawdopodobnie także sprawniejszy umysł.

Porucznik pokiwał głową. Tak właśnie było. Przeciwnikiem dowodził zapyziały sztabowiec.

– Niemniej sama bitwa została rozegrana po prostu wzorowo. Dlatego wciąż o niej uczą we wszystkich akademiach. Tyle że SI oparta na umyśle wiceadmirała... – Ronald machnął ręką. – Ten gość uspiłby nawet hipernową.

Milczeli przez chwilę. Ciszę przerwał profesor.

– A wracając do systemu, w którym przyszło nam działać, musimy liczyć się z wieloma niespodziankami. Oddziaływania pływowe karłów są słabe, bardzo słabe, lecz nie wolno ich niedoceniać. Między innymi dlatego właśnie gruntownie badamy tę planetę, zanim założymy tutaj kolonie wydobywczo-przemysłowe.

Ronald zawsze interesował się astronomią, a przede wszystkim astrofizyką, i może zostałby naukowcem, gdyby pochodził z zamożniejszej rodziny. Niestety już w łonie matki, jako trzecie dziecko, został skazany na karierę wojskowego. Dzięki temu rodzice byli w stanie przeznaczyć więcej na rozwój pozostałej dwójki. Nie narzekał, bo mógł latać, ale wolałby chyba zostać członkiem sekcji naukowej.

Porzucił wspomnienia i znów zapatrzył się na obłoki tańczące nad oceanem.

Oczywiście wiedział doskonale, że te burawe chmury to nie zwykła para wodna, ale roje tutejszych maleńkich stworów, jeszcze niezaklasyfikowanych do żadnego ze światów natury. Wiadomo było tylko, że to – roślinne czy zwierzęce – drapieżniki. Żywiły się jeszcze mniejszymi od siebie istotami, które unosiły się nad wodami przybrzeżnymi. Ich taniec był zwyczajnym polowaniem, częścią długiego zapewne łańcucha pokarmowego, a gracia wynikała z przystosowania ewolucyjnego, ale Ronaldowi nie przeszkadzała świadomość, że to w tym sensie najzupełniej trywialne zjawisko przyrodnicze i właśnie patrzy na to, jak powietrzne ławice spożywają obiad, a zarazem same są spożywane. Trwał w zachwycie, zafascynowany widowiskiem.

Niestety w pewnej chwili wewnątrz kulistego hełmu odezwał się brzęczyk. Powietrze na planecie przypominało składem ziemskie, ale zawierało zbyt wiele tlenu, a przede wszystkim amoniak. Gdyby nie ten drugi związek, wystarczyłyby zwykłe maski ograniczające przepływ życiodajnego, lecz szkodliwego w nadmiarze gazu, jednak za sprawą amoniaku przy dłuższej ekspozycji powietrze działało drażniąco na oczy i skórę, a mogłoby nawet zabić. Dlatego trzeba było nosić lekkie kombinezony ochronne i małe hełmy. Za to członkowie ekspedycji nie musieli zakładać niewygodnych plecaków ze sprężonym powietrzem, zwykłe filtry bowiem doskonale sobie radziły. Pod tym względem bardziej wymagająca była tutejsza woda, w której znajdowało się sporo izotopów metali ciężkich – zapewne pamiątka po którejś z licznych kolizji z asteroidami. Co ciekawe, promieniowanie tła na lądzie, choć podwyższone, ledwie wychodziło poza górne granice norm i wystarczyło od czasu do czasu przyjąć środki odkażające, by zażegnać ryzyko związane ze zmianami nowotworowymi czy zatruciem. Natomiast po dłuższych wyprawach oceanicznych piloci i naukowcy musieli poddawać się nieco uciążliwym rutynowym procedurom medycznym.

Ronald niecierpliwym ruchem wyłączył alarm zegara, westchnął ciężko

i skierował się w stronę stacji. Czekał go dwunastogodzinny dyżur na stanowisku nasłuchu, potem cztery godziny odpoczynku i rutynowa wachta. Dokonał szybkich obliczeń i wyszło mu, że dopiero za cztery dni zdoła wykroić tyle wolnego, aby zgrać się z kolejną ewentualną wizytą chmur w strefie nadbrzeżnej. Bo równie dobrze mogła przesunąć się o miejscową dobę w którąkolwiek stronę.

– Wracasz? – rozległ się głos Maurice’a.

– Wracam, wracam – odpowiedział. – Spokojnie, zaraz będę.

– Pośpiesz się, dobra? Jeśli się spóźnisz choć sekundę, złożę raport! Pierdoła na pewno się ucieszy.

Maurice był mocno zniecierpliwiony – chciałby już dostać zmianę, chociaż zostało mu jeszcze pół godziny służby. Cóż, to było zrozumiałe. Dwanaście godzin przy milczących skanerach i odbiornikach fal radiowych mogło doprowadzić do rozpaczy. Dlatego Ronald zazwyczaj przemycał na dyżur jakąś książkę. Chociaż „przemycał” to nieodpowiednie słowo. Po prostu wbrew regulaminowi brał czytnik, kładł płaskie jak papier urządzenie na pulpicie i udając, że obserwuje martwe odczyty i śledzi monotonne interferencje, oddawał się lekturze.

*

Rwący Sieć już drugi raz w ciągu doby standardowej przebywał w odżywalni. Kiedy bowiem wyszedł z niej poprzednio, na korytarzu natknął się na vengu Ostrze Światła, który zażądał od niego kończyny informacyjnej. W pierwszej chwili chciał zaprotestować, jednak powstrzymał się. Vengu należał do kasty Niedostępnych, w dodatku warstwy wojowników-naukowców, i nie służył z wielkiej cierpliwości. Kiedyś na oczach Rwącego Sieć brutalnie skarcił gorszego. Gniew zaspokoił dopiero, kiedy nieostrożnego

robotnika trzeba było już transportować w kapsule medycznej na dno lokalnej otchłani. Wrócił dopiero po ośmiu dobach standardowych, a dochodził do siebie jeszcze przez trzy cykle Zejścia.

Dlatego Rwący Sieć posłusznie podał kończynę informacyjną dowódcy. Myślał przy tym, że vengu równie dobrze mógłby zapoznać się z materiałem zdeponowanym w mózgu lokalnej otchłani. Zajęłoby mu to może nieco więcej czasu niż otrzymanie danych w takiej kondensacji, jaką zapewniała kończyna, ale starszy badacz nie musiałby znów przyswajać posiłku regeneracyjnego, a jego następna wizyta na dole trwałaby nieco krócej.

Przypomniawszy sobie, że przecież te nieprzyjemne refleksje mogą trafić do umysłu Ostrza Światła, ale było już za późno.

– Odike Rwący Sieć, przypominam, że przywilejem dowódcy jest decydować o wszelkich sprawach związanych z nauką i przekazywaniem danych. – Vengu nadał komunikat z intonacją surową, choć bez wyraźnej irytacji. – Niedawno wyszedłeś ze Zjednoczenia, posiliłeś się porządnie i masz dość sił, aby użyć jeszcze niejednego raz kończyn informacyjnych.

– Błagam o wybaczenie, czcigodny vengu – odparł z pokorą naukowiec. – Widocznie wciąż jeszcze jestem trochę oszołomiony, zarówno po przeżyciach, jak i wizycie w Otchłani.

Vengu milczał przez chwilę, a starszy badacz czekał na jego decyzję. Za formułowanie myśli godzących w autorytet lepszych można było otrzymać dotkliwą karę. Co prawda w warunkach lokalnej otchłani dodatkowy dyżur nie był wielkim obciążeniem, ale już czyszczenie urządzeń asenizacyjnych było męczące i bardzo niebezpieczne.

– Możesz odejść, odike Rwący Sieć – postanowił wreszcie Ostrze Światła. – Tym razem daruję ci chęć okazania nieposłuszeństwa i nieprzyjemne myśli. Zbyt jestem zaprzątnięty tym, co mi przekazałeś, by zajmować się podobnymi drobiazgami.

Badacz z ulgą wycofał się i przywarł do ściany, aby zrobić drogę vengu. Zastanawiał się tylko, cóż takiego ujrzal dowódca w przekazie, że zrezygnował ze skarcenia winowajcy. Był równie znakomitym naukowcem jak wojskowym, choć niechętnie przyznawał się do tego, że jego uzdolnienia pozostają w równowadze. W końcu to kasta wojowników stworzyła całą cywilizację i chociaż badacze zyskali na znaczeniu, szczególnie od początków ery kosmicznej, to – mimo że bojownicy nie stanowili trzonu wypraw, a równorzędną z vengu pozycję miał najstarszy uczony Wędrowiec Po Niebie – szacunek dla wojowników wciąż był żywy wśród Opokan. I nawet przebywanie w dwuświadości, ze swej natury nastawionej na inne wartości niż hołdowanie autorytetom, nie mogło tego zmienić.

Kiedy vengu precyzyjnie przycisnął się obok starszego badacza, celowo zawadzając go jednym z ramion, choć nie na tyle mocno, by uczynić mu krzywdę, Rwący Sieć natychmiast wrócił do odżywalni. Tym razem zamówił potrójnie wzmocniony zestaw odżywczy. Wprawdzie zupełnie nie czuł głodu i nie musiał zaspokajać innych potrzeb niż podstawowe, ale wiedział, że powinien wyrównać bilans płynów, inaczej bowiem jego sangis zacznie słabnąć. Mieszankę kazał sobie podać przez łącze żywieniowe, pozostałość po dawnych czasach, kiedy Opokanie nie mogli przebierać w diecie i zdarzało się, że przyswajali pokarmy, których przyjmowania nie zniosłyby sensory smakowe i węchowe. Te wykształciły się u nich stosunkowo późno, kiedy cywilizacja osiągnęła już dość zaawansowany stopień rozwoju. Zresztą najwyższe i najbardziej pogardzane kasty nadal nie posiadały zmysłu smaku. Nie był im potrzebny, jako że ich dieta składała się zawsze z tych samych składników.

W najniższych kastach zdarzali się tacy, którzy kazali sobie to łącze usuwać, w pewnych kręgach zaś pobieranie pokarmów tą drogą uchodziło wręcz za rzecz niedopuszczalną.

Jednak najlepsze kasty nie podróżowały w wielkiej pustce i nie trzeba było

podtrzymywać ich funkcji życiowych podczas skamienienia w trakcie lotów, więc nie musiały też korzystać z tak prymitywnych, danych przez naturę narządów. Podobno najnowszym obyczajem było wśród lepszych dotykanie się tylko kończynami informacyjnymi na powitanie, a nie tradycyjna wymiana danych. Takie dotknięcie na pewno nic nie dawało, stanowiło natomiast kolejny dowód na to, że cywilizacja miewa zupełnie irracjonalne oblicza.

– Ciekawe, czy każda – powiedział do siebie Rwęcy Sieć. – O ile jakaś poza naszą w ogóle istnieje, bo jak dotąd nie napotkaliśmy śladu istot rozwiniętych, a moje ostatnie spotkanie może nic nie znaczyć.

Kiedy automat zakończył podawanie substancji odżywczych, starszy badacz udał się do swojego gniazda. Powinien oddać się głębokiej medytacji, przeanalizować dostępne wspomnienia, dopóki są świeże i nie zostały zatarte przez inne doznania, aby przy następnym Zjednoczeniu dysponować jak najlepszym materiałem. Same dane mogą się okazać mniej wartościowe dla dwuświadości bez osobistych przemyśleń.

*

Pułkownik Romulus Dethardt spoglądał na Georges'a Linneaux jak pies na muchę. Uwielbiał pastwić się nad naukowcami. Nie tylko zresztą nad nimi, bo żołnierzy też gnębił. Uważał na dodatek, że ten doktorek zasługuje na odpowiednie potraktowanie.

– Dlaczego nie zameldowałeś natychmiast, że coś się wydarzyło?! – warknął.

Linneaux w pierwszej chwili zachnął się, bo nigdy nie przechodził z dowódcą wojskowym wyprawy na „ty”, ale zaraz przypomniał sobie, że ten trep zwraca się tak do wszystkich z wyjątkiem profesora Solimowa. Taki już miał styl. W chwilach wyjątkowej irytacji używał w stosunku do rozmówców

koszarowego „wy”, a to zawsze oznaczało nieliczne kłopoty, czy należało się do kadry wojskowej, naukowej czy mieszanej.

– Dlaczego nie zameldowałeś natychmiast? – powtórzył pułkownik.

Georges przełknął ślinę.

– Może dlatego, że nie wydarzyło się nic niesłychanego – odpowiedział po chwili. – To, co zobaczyłem, nie stanowiło dla mnie zagrożenia. Poza tym...

– Skąd wiesz? – przerwał mu Dethardt.

– Co skąd wiem? – spytał zdezorientowany doktor.

– Skąd wiesz, że ta nibymedusa nie stanowiła zagrożenia? Pytałeś ją? Podpłynąłeś, żeby pogłaskać, i łąsiła ci się do ręki? – Kiedy naukowiec nie odpowiedział, przemówił: – Z raportu wynika, że to coś uciekło błyskawicznie, i wszystko wskazuje na to, że nie wykonało skoku, lecz poleciało gdzieś nad wodą. Chcesz mi wmówić, że tutejsza fauna ma w dupie silniki odrzutowe i występują w niej amfibia zdolne do nurkowania i latania jednocześnie?

Linneaux potrząsnął głową.

– We wstępnych wnioskach wyraźnie zaznaczyłem, że obiekt nie przypominał tutejszych stworzeń. Przecież pan wie, pułkowniku.

– Tym bardziej powinieneś przyjść do mnie, idioto! – wysyczał oficer.

– Przypominam, że złożyłem raport dyżurnemu, a potem rozmawiałem z naukowcem wojskowym z zespołu mieszanego. Porucznik doktor Sordis powinien go panu bezzwłocznie przekazać. Takie są regulaminy...

– Mam regulaminy tam, gdzie ta meduza prawdopodobnie silnik lotniczy! – Dethardt znów nie dał dokończyć zdania naukowcowi. Zaraz jednak zorientował się, jak dziwnie to zabrzmiało w ustach dowódcy wojskowego, i poprawił się: – Oczywiście mam je tam, jeśli chodzi o względy bezpieczeństwa. Powinieneś przyjść z tym do mnie zaraz po wizycie u dyżurnego! Pamiętasz, mówiłem o tym na pierwszej odprawie. Jeśli dzieje

się coś nietypowego, żądam powiadomienia mnie o tym bez najmniejszej zwłoki.

Linneaux wreszcie zaczął tracić cierpliwość. Bał się pułkownika jak ognia, ale poczuł się skrzywdzony tą połajanką.

– Przecież dane od Stana... to znaczy porucznika doktora Sordisa otrzymał pan, gdy tylko dokonał on wstępnej interpretacji!

– I za to mu się oberwie, kiedy tylko zejdzie ze służby – burknął Dethardt. – Być może będzie się tłumaczył, że to ty powinieneś się do mnie zgłosić, ale to dla mnie żadne wyjaśnienie.

– Wątpię, czy zechce to zrzucić na mnie – odpowiedział Georges. – To nie w jego stylu.

Pułkownik zaśmiał się, a jego śmiech brzmiał grobowo, nie miał nic wspólnego z prawdziwą wesołością.

– Synu, nie wiesz nawet, co potrafią wymyślić ludzie, żeby tylko uniknąć mojego opieprzu i konsekwencji dyscyplinarnych!

Doktor nie zamierzał dyskutować ze wściekłym oficerem. Nie cierpiał go, podobnie jak większość ludzi na stacji, w tym personel wojskowy. Facet był czepliwy jak posokowiec, a kiedy dorwał się do ofiary, nie odpuszczał, aż zobaczył, że rozmówca jest na skraju załamania. Georges już współczuł Stanowi, który jako członek personelu mieszanego pozostawał w większej zależności służbowej od pułkownika niż on. Sordisowi Dethardt mógł pojechać po premii, wlepić dodatkową służbę, a nawet pozbawić części podstawowego wynagrodzenia, gdyby uznał postępowanie porucznika za wyjątkowo rażące naruszenie przepisów. Jeśli chodziło o cywilnych naukowców, każdą taką decyzję musiał zatwierdzić profesor Solimow, a z zasady nie był on skory do zbyt dalekich ustępstw w tym względzie.

To była trzecia daleka wyprawa badawcza Francuza i za każdym razem szef pionu wojskowego okazywał się podobnym upierdliwcem jak Dethardt. Było

to nieznośne i sprawiało, że człowiek funkcjonował w ciągłej niepewności, nigdy nie wiedząc, kiedy i za co może mu się oberwać. Tak jak on dzisiaj. Zrobił wszystko, co do niego należało, postąpił zgodnie z procedurami, a jednak został wezwany na dywanik.

Z drugiej strony Georges pamiętał słowa profesora Martina Vanna, doświadczonego naukowca z poprzedniej wyprawy. To był jego ostatni lot, po nim przechodził na emeryturę. Był dla kolegów jak starszy brat, w podobnych sytuacjach podtrzymywał ich na duchu. Kiedy Linneaux przyszedł do niego wzburzony, że zebrał za niewinność od dowódcy wojskowego, Vann powiedział z charakterystycznym ciepłym, dobrotliwym uśmiechem:

– Zapewniam cię, że to potrzebne. Taki oficer ma do odegrania swoją rolę, a jest ona doniosła. Kiedyś, gdy ryby hodowano w stawach gospodarstw rolnych, wpuszczano do akwenu roślinożerców drapieżniki. Na przykład do karpia szczupaka czy dwa. Wiesz po co? Żeby ruszyć przekarmione, leniwe rybska znad dna, przegonić je. Dzięki temu zyskiwały na wartości, ich mięso było smaczniejsze.

– Ale przecież taki drapieżnik zabijał je – zauważył Georges, który pierwszy raz o tym słyszał.

– Pewnie tak, ale kilka zabitych ryb było wartych końcowego efektu. My też rozleniwilibyśmy się podczas monotonnej pracy badawczej, bo kierownicy naukowcy niezmiernie rzadko mają aż tak dyktatorskie zapędy, więc mały szok od czasu do czasu i świadomość, że ktoś patrzy nam na ręce, mają poprawić jakość pracy.

– Czyli jak ten przeklęty trep doprowadzi wreszcie kogoś do samobójstwa, to będzie uczciwa cena za taki efekt? – spytał z goryczą Linneaux.

– Nie przesadzajmy – zaśmiał się stary uczonek – jeszcze się nie zdarzyło, żeby po interwencji dowódcy wojskowego ktoś targnął się na życie. Dobierają nas spośród najbardziej twardych i zrównoważonych osobników.

Georges spojrział prosto w oczy pułkownika Dethardta, ale zaraz spuścił wzrok. To trepisko miało tak przenikliwe spojrzenie, tak kłujące źrenice, że doprawdy trudno było w nie patrzeć.

– W związku z tym, że zlekceważyłeś moje zalecenia, pozwolę sobie wnioskować o przydzielenie ci dodatkowych obowiązków. Myślę, że tym razem pan profesor przychyli się do mojej prośby. Nigdy dość rąk do pracy w takiej placówce.

Linneaux zacisnął wargi w wąską kreskę. Gdyby na jego miejscu siedział ktoś inny, na przykład Sonia Vega fertyczna doktor chemii, pewnie by ostro odpowiedział, nie bacząc na konsekwencje. Ale on wolał położyć uszy po sobie. Pewnie za pół godziny znowu będzie myślał, że zachował się jak zwykła szmata, jednak nie cierpiał konfliktów i unikał ich, nawet jeśli miało to się odbyć jego kosztem.

Postanowił, że następnym razem niezwłocznie zamelduje pułkownikowi nawet o tym, że pojawił się nowy odcień barw na dziwacznych roślinno-zwierzęcych wodorostach. I niech szanowny Romulus się wścieka, że zawracają mu głowę duperelami. Skoro tak bardzo tego chce...

*

Profesor Solimow nieśpiesznie przeglądał wstępnie obrobione oraz surowe dane z odczytów. Podobnie jak towarzyszący mu Stan Sordis wolał zapoznać się z wynikami, zanim przetrawi je sztuczna inteligencja.

– Że też w tych wodach jest tyle zakłóceń – mruknął. – Tylu rozpuszczonych izotopów nie widziałem, jak żyję, a trochę lat już mam. Musimy zatem polegać głównie na danych w widmie promieniowania widzialnego, skoro Georges nie zdążył uruchomić kompletu sensorów, zanim obiekt się oddalił.

– To skutek dużej zawartości cennych surowców w skorupie planety –

zauważył Stanislaus. – Co dla nas jest problemem, dla korporacji górniczych będzie wielkim zyskiem.

– O ile te wszystkie rewelacje ostatecznie się potwierdzą – odparł profesor.
– Ale rzeczywiście, wygląda to obiecująco pod względem wykorzystania gospodarczego. Musimy tylko zadbać, żeby przemysłowcy nie zrujnowali doszczętnie tutejszej natury. I bez tego miejscowe organizmy nie mają łatwo. Przy takim promieniowaniu mutacje muszą dawać im w kość.

– Już widzę, jak korporacje, konsorcja, holdingi i trusty przejmują się naszymi wnioskami – mruknął porucznik doktor.

– Przejmą się nimi tak jak zawsze. – Solimow wzruszył ramionami. – Czyli wcale. Ale federalny nadzór ekologiczny będzie miał jasne wytyczne, na co zwracać uwagę. Trochę utrudnimy tym hienom dewastację globu. Jednak teraz mamy inny problem. Spójrz na to, co zdążyły uchwycić kamery.

Zapis z urządzeń zewnętrznych batyskafu okazał się nieco zniekształcony. Były co prawda ekranowane, lecz promieniowanie, choć nie zabójcze, okazywało się zadziwiająco przenikliwe. Jak zauważył kiedyś profesor, to była miejscowa specyfika. Widocznie koktajl izotopów właśnie tak działał. Natomiast aparaty wewnętrzne, chronione solidnym pancerzem pokrytym grubą warstwą farby przeciwpromiennej i kopułą ze szkła ołowiowego, pozwalały na lepszy przegląd, jednak zwracały się głównie tam, gdzie operator kierował właśnie wzrok. Taka była konstrukcja batyskafów, takie miały oprogramowanie i w warunkach wyprawy badawczej niezmiernie trudno byłoby to zmienić. Modyfikacje niosły zbyt wielkie ryzyko uszkodzenia podzespołów oraz programów, aby coś kombinować. Byli w tym zgodni zarówno eksperci, jak i sztuczna inteligencja stacji.

– Obiekt pojawił się dwie sekundy przed tym, jak został zauważony przez Georges'a – powiedział profesor. – I znieruchomiał. Widzisz ten zapis? – Wskazał odczyt z pasywnego sensora promieniowania elektromagnetycznego

w zakresie fal poddźwiękowych.

– Tak, też zwróciłem na to uwagę – potwierdził Stan. – W momencie pojawienia się obiektu szum na poziomie sześciu i pół herca zwiększył się, a wrócił do poprzedniego stanu, kiedy tylko to coś przebiło powierzchnię wody.

– Właśnie. – Solimow uśmiechnął się pod nosem. – Niby nic nie mamy, ale gdyby porządnie pokopać w tych skąpych informacjach... No dobrze, zobaczmy raz jeszcze, jak obiekt wygląda oczami człowieka. To znaczy z wnętrza batyskafu.

Znowu obejrzeni krótki zapis od chwili, kiedy Linneaux zwrócił wzrok w stronę obiektu, aż do jego gwałtownego zniknięcia.

– Im dłużej na to patrzę, tym bardziej przypomina mi to wielką meduzę – oznajmił Sordis. – No, cholera, duże zwierzę. Przezroczyste, w środku ciemna masa niepodobna do anatomicznych cech ziemskich parzydełkowców, ale przecież jesteśmy na obcym świecie. Nie wiem, skąd u Georges'a takie poczucie, wręcz pewność, że to zupełnie obcy dla planety stwór. Przecież nie mamy skatalogowanych wszystkich gatunków. I mieć nie będziemy, bo to praca na dziesiątki lat, co najmniej. A jednak kiedy założyłem hełm sensoryczny, również poczułem pewien niepokój.

– Też mnie to zastanawia – rzekł profesor. – Na zapisie wizualnym widać po prostu jakiś obiekt, najprawdopodobniej zwierzę. Ale tutaj może się kryć wyjaśnienie. – Wskazał wykres fali poddźwiękowej. – Wiesz przecież, co potrafią infradźwięki o odpowiedniej częstotliwości i natężeniu. Są w stanie wywołać lęk albo, przeciwnie, uspokoić czy doprowadzić do ekstazy. Tutaj mamy falę o częstotliwości sześciu i pół herca i dużym natężeniu. Mogła wywołać u naszego doktora stan, w którym uznał to, co widzi, za niepokojące zjawisko. Stąd poczucie obcości. To oczywiście tylko robocza hipoteza.

Stan popatrzył na zapisy, a potem powiedział coś, co w tej chwili stało się

oczywiste, a przynajmniej bardzo prawdopodobne.

– Ta częstotliwość pojawia się dwie sekundy przed tym, jak kamery zewnętrzne zarejestrowały obiekt, a urywa w chwili rozpoczęcia ruchu i przebicia się przez powierzchnię wody. Wygląda to tak, jakby meduza skanowała batyskaf.

– Właśnie – potwierdził Solimow. – Tylko to o niczym nie świadczy. Ziemskie zwierzęta potrafią generować ultra- oraz infradźwięki, odkryliśmy też takie gatunki na innych światach. Tutaj to pierwszy taki przypadek, ale nie można zbyt pochopnie wyciągać wniosków, że to znów podkreślę. Ciekaw jestem interpretacji SI. Jak myślisz, poprosimy ją już chyba o przedstawienie wniosków?

– Pan tutaj rządzi. No i od tego w końcu mamy sztuczną inteligencję nowej generacji. Na pewno jest w stanie zauważyć więcej niż my.

Profesor roześmiał się serdecznie.

– I to powiedział człowiek, który podobnie jak ja nie do końca ufa zdolnościom sztucznej inteligencji.

– W zdolności myślenia heurystycznego i intuicyjnego wątpię – odparł poważnie Stanislaus. – Ale analizę wykonuje bardzo porządnie. Kto wie, może zderzymy się jeszcze z czymś, co nas znów zaskoczy, kiedy nasza panienka przedstawi wyniki.

– Zgadzam się z tobą. W takim razie załaduj materiał do komputera. – Solimow wstał i ruszył do wyjścia. – Ach, właśnie. – Odwrócił się jeszcze w drzwiach. – Pułkownik chce cię widzieć możliwie najszybciej. Jak to on określa po wojskowemu, ASAP.

Sordis skrzywił się. Wiedział już o wizycie Georges'a u Pierdoły i połajance, jaką wielki Romulus zapowiedział także jemu. Swoją drogą rodzice Dethardta mieli fantazję, żeby tak dać na imię chłopakowi. Już tym skazali go na karierę wojskową jako spadkobiercę bojowych tradycji

starożytnych Rzymian. Ciekawe, czy gdyby pułkownik miał brata bliźniaka, daliby mu na imię Remus. Lecz gdyby ten tyran miał rodzeństwo, chybaby je udusił przy pierwszej próbie sprzeciwienia się jego żelaznej woli. Albo załatwił pępowiną już w brzuchu matki.

– Dziękuję za wiadomość, panie profesorze – rzekł. – Pójdę do niego, jak tylko tu skończę.

– Trzymaj się – powiedział serdecznie Solimow. – Wiesz, cieszę się, że nie jestem podwładnym Dethardta. Chybabym go zastrzelił z jego broni, chociaż pijam jego whisky. Oczywiście nic nie słyszałeś.

– Ja nie – zaśmiał się Stan – ale jeśli pułkownik zechce przejrzeć zapisy z naszej pracowni, pańska opinia i tak do niego dotrze. W laboratoriach wszystko się nagrywa.

– Jakoś to obaj przeżyjemy. Zresztą on doskonale wie, co o nim sędzę. – Profesor machnął ręką i wyszedł.

*

Rwący Sieć potrzebował kontaktu. Po niezbyt długiej medytacji doszedł do przekonania, że nie poradzi sobie sam z tym, co kłębiło się w jego monoświadomości. Analizował wciąż materiał zapisany na tymczasowej wewnętrznej matrycy informacyjnej. Każda chwila, każdy period i ułamek periodu były dla niego na razie w pełni dostępne, jednak niewiele z tego wynikało. W tej nieprzejrzystej cieczy mógł zdać się tylko na odczyty podstawowych sensorów, a te były zawsze obciążone sporym błędem.

Starszy badacz sięgnął dolnym ramieniem do płytki komunikatora wewnętrznego lokalnej otchłani. Zawahał się. Jeśli zakłóci spokój młodszemu uczonemu, może się narazić na nieprzyjemności. Ale sprawa wydawała się zbyt ważna, aby nie zaryzykować. Położył koniec ramienia na płytce, zassał się

i wysłał do urzędnika kod poszukujący. Gdziekolwiek teraz przebywał Podróżnik W Mroku, zostanie odszukany i przywołany do najbliższej płytki komunikacyjnej. Oczywiście jeśli lepszy zechce w ogóle rozmawiać ze starszym badaczem. Dzieliła ich wszak przepaść w statusie społecznym i naukowym, młodszy uczonec mógł zaś uznać, że nie ciekawi go, co ma do powiedzenia byle naukowiec niższego szczebla.

Jednak po kilku periodach Podróżnik W Mroku zgłosił się.

– Czego chcesz, odike Rwęcy Sieć? – spytał, a płytka zadrżała wyrazem niecierpliwości.

– Potrzebuję rady, sanduke.

– Czy ma to związek z twoją ostatnią wyprawą? – Teraz płytka już nie wibrowała irytacją.

– Tak, sanduke Podróżniku W Mroku. Nie mogę sobie poradzić z analizą danych.

– O ile wiem, wszelkie materiały przekazałeś vengu Ostrze Światła. On i vinduke Wędrowiec Po Niebie zajmą się nimi. Mam rozumieć, że bez ich wiedzy rozważasz ten temat? Zostawiłeś sobie tymczasową matrycę?

Rwęcy Sieć wyczuł w przekazie napomnienie, ale także zainteresowanie.

– Nie zabroniono mi tego – odparł. – Vengu Ostrze Światła kazał sobie oddać kończynę informacyjną, lecz nie sięgnął we mnie, by ograniczyć mi dostęp czy wymazać dane. Nie nakazał mi też tego zrobić.

– Wy, z wyższych kast, zawsze usiłujecie naginać prawa – nadał sanduke. – Pewnie dlatego wciąż jesteś tylko starszym badaczem. I nikim więcej nie możesz zostać.

Rwęcy Sieć wysiłkiem woli powstrzymał się przed wyraźnym sformułowaniem myśli na temat swojego pochodzenia. Choćby był najlepszym z naukowców, choćby najbardziej skrupulatnie przestrzegał zasad postępowania, i tak nie zostanie nikim więcej niż starszym badaczem, nie

otrzyma stopnia znacznie niższego niż odike. Był on ostatnim możliwym do zdobycia w jego kacie, dotyczył najniższej jej warstwy i aby stać się sadurą, musiałby zostać przeniesiony do niższej kasty, a taki zaszczyt mógł spotkać tylko wyjątkowo zasłużonych.

Takie rozważania Podróżnik W Mroku mógłby uznać za wyraz niezadowolenia, a może nawet coś w rodzaju buntu, dlatego Rwący Sieć w ułamku periodu zepchnął je głęboko do monoświadomości. Po Zjednoczeniu zawsze nachodziły go podobne refleksje. Nie wiedział, czy inni także mieli tego rodzaju symptomy, a pytać i odsłaniać się byłoby niebezpiecznie.

– Czy zechcesz mi udzielić rady, sanduke?

– Dobrze, jednak nie przez tę sieć. Przybądź do mojego gniazda za sześć wielkich periodów.

– Dziękuję, sanduke Podróżniku W Mroku. Liczę bardzo na twoją mądrość.

Rwący Sieć poczuł ulgę. Wprawdzie spotkanie z młodszym uczonym mogło zakończyć się dla niego niepomyślnie, mógł niczego nie zyskać, a zaciągnąć tylko zobowiązanie wobec sanduke, ale postanowił podjąć ryzyko. Za to jeśli Podróżnik W Mroku uzna sprawę za interesującą, można będzie liczyć na jego życzliwość również w przyszłości.

*

– Żyjesz? – spytał Linneaux, kiedy Stanislaus wszedł do mesy.

Francuz siedział z Melindą Stark, astrofizykiem z mieszanej, oraz jej mężem Edwinem Starkiem, cywilnym informatykiem. Pewnie zdążył im już opowiedzieć o pretensjach Dethardta.

– Nie przejmuj się Pierdołą – powiedziała Melinda. – On musi się czepiać, inaczej by mu żyłka pierdząca przy sercu pękła. Taki los nas, mieszaińców, że obrywamy ze wszystkich stron. Dobrze, że Solimow nie jest przykrym typem.

Sordis dosiadł się do ich stolika i na panelu zamówień wybrał tonizowaną kawę z ziołami.

– Opowiadał mi kiedyś taki jeden gość – ciągnęła gadatliwa chorąży – który też latał do Ramienia Perseusza...

– Jaki gość? – spytał czujnie Edwin. Był niesłychanie zazdrosny o urodziwą żonę.

– Nie znasz. – Melinda zbyła go machnięciem ręki. – W każdym razie wspominał wyprawę, na której takiemu trepowi jak nasz Romulus przydzielono równie okropnego profesora. Nie cierpieli się jak wściekłe psy, więc jeden bronił przed karami cywilów, a drugi żołnierzy. Ale personel mieszany miał przerąbane. Zgodnie gnębili wojskowych naukowców. Tyłu kar finansowych nie pamiętają najstarsi szkoccy górale. A, jak wiecie, Szkoci pamiętają dosłownie wszystko, co się tyczy pieniędzy.

Stan upił łyk gorącego, pachnącego kolendrą, kardamonem i miętą płynu.

– To ma mnie pocieszyć? – spytał nieco opryskliwie. – Dziewczyno, właśnie jestem po rozmowie z Pierdołą. Wściekłym Pierdołą.

– Mówił do ciebie per „wy”? – zainteresował się Georges.

– Nie, ale kilka razy był bliski, szczególnie pod koniec.

– Rozumiem, że się stawiałaś – powiedziała Melinda. – Po co? Było wysłuchać, przełknąć i zapomnieć. Ja tak robię i dzięki temu dobrze sypiam.

Stan potrząsnął głową i upił kolejny łyk.

– Wiesz, on jednak trochę lepiej traktuje kobiety – rzekł po chwili. – Byłem cierpliwy, ale w końcu doprowadził mnie do szewskiej pasji. Powiedziałem mu, że jak ma w głowie tylko regulaminy, to powinien znać je na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie może wymagać od kogokolwiek podporządkowywania się jego prywatnym zarządzeniom dyktowanym przez nie mniej prywatne widzimisię.

– No to grubo pojechałeś – mruknął Linneaux z mimowolnym podziwem. –

Ja bym się nie odważył, chociaż mogę liczyć na obronę profesora...

– Dlatego nie jesteś żołnierzem, tylko cywilem – fuknęła Melinda. – Poza tym z ciebie miły facet, taki do rany przyłóż, a nasz dzielny Stanislaus to typ nieprzyjemny i skory do zwady. Dobrze mówię, kochanie? – zwróciła się do męża.

Edwin wciąż jeszcze był trochę obrażony, po tym jak pani chorąży wspomniała jakiegoś obcego faceta, ale uznał za stosowne odpowiedzieć.

– Ja tam lubię Stana. Obu ich lubię, a że każdy jest inny, to chyba normalne.

– Pewnie, że normalne! – Melinda pociągnęła męża lekko za ucho. – Nie naburmuszaj się już tak, bo ktoś pomyśli, że jesteś okropnym zazdrośnikiem, przy którym nic nie wolno powiedzieć! Tobie nie grozi dywanik u Pierdoły, nie ma za co cię opieprzać, bo sieć informatyczna pracuje bez zarzutu. Ale niech tylko coś się zacznie chrzanić, stary dostanie wścieku i zobaczysz, co to znaczy niezadowolenie pułkownika Romulusa Dethardta, baczność, spocznij, czołgaj się i do raportu.

Sordis musiał się roześmiać. Melinda bywała irytująca, ale potrafiła człowieka rozkrochmalić, a on tego teraz potrzebował. Rozmowa przebiegła naprawdę nieprzyjemnie. Stary czepiał się dosłownie wszystkiego.

Kobieta pociągnęła nosem i spojrzała z odrazą na kubek Stana.

– Jak możesz to pić, człowieku? – spytała i odchyliła się na oparcie, jakby chciała uciec przed zapachem. – Toż to śmierdzi jak cholerny zielnik Baby-Jagi!

– A próbowałaś kiedyś? – spytał porucznik doktor.

– Daj spokój, chybabym pawia puściła, jak po porządnej wirówce przeciążeniowej.

– Po prostu spróbuj – poradził Stan. – Kiedy się weźmie tej kawy w usta, nie jedzie zielskiem, tylko pachnie czymś, co trudno dokładnie określić. W każdym razie bardzo przyjemnie.

– Nie skusisz mnie – ucięła dyskusję Melinda. – Lepiej powiedz, kiedy będą wiadomości z domu. Nic się nie zmieniło? Burza kwantowa wciąż szaleje?

– No błagam cię, dobra kobieto! – jęknął Stan. – Ta burza szaleje od jakiegoś miliona lat, prognozy nie są więc zbyt optymistyczne. Guido mówił, że za tydzień wejdziemy w strefę komunikacji. Dobrze, że ta planeta zapieprza tak wokół Izydy, bo gdyby miała dłuższy czas obiegu, byłby niezły pasztet. Łączność rwałaby się nie na trzy tygodnie co pół roku, tylko na parę miesięcy. Wprawdzie wtedy okres komunikacji byłby odpowiednio dłuższy, ale wiesz, jak to jest.

– Silne to zakłócenie – zauważył Edwin. – Zawsze myślałem, że łączność kwantowa jest niezależna od takich czynników.

– A tutaj popatrz, niespodzianka – powiedziała Melinda. – To zakłócenie jest rzeczywiście bardzo egzotyczne. Panowie profesorowie nazwali je aberracyjnym, bo kwanty nie powinny się tak zachowywać. Ale przecież to tylko mądre słowo na określenie czegoś, o czym nie mają pojęcia. Tak czy inaczej, łączność kwantowa zawodzi, kiedy to zjawisko znajduje się między nami a bazą. Zupełnie jakby w tej burzowej chmurze były kwanty pasujące do tych zamkniętych w naszej radiostacji splątaniowej i w centrum komunikacyjnym. Teoretycznie to wykluczone, bo para kwantów to para kwantów, a nie skomplikowany układ małżeński. To nie moja specjalność, ale jakoś tam to rozumiem. W każdym razie Pierdoła się wścieka, bo tacy jak on lubią dostawać rozkazy i namiętnie je potwierdzać, tymczasem jest na razie zdany na siebie.

Linneaux chrząknął, zwracając uwagę rozmówców.

– Już dawno chciałem o to zapytać... Dlaczego nazywacie pułkownika Pierdołą? Przecież to zdecydowany gość, mocny i wytrenowany.

Melinda i Stanislaus wymienili spojrzenia.

– Ty mu wytłumacz – poprosiła kobieta. – Ja za każdym razem zaczynam się śmiać, gdy komuś muszę to wytłumaczyć. A ty znasz to na pamięć, prawda?

Sordis skinął głową, dopił kawę i zamówił nową. Robot podjechał dosłownie po kilku sekundach, zupełnie jakby system obsługi wiedział, że porucznik złoży kolejne zamówienie. Może zresztą właśnie tak było, bo sztuczna inteligencja, nawet tak wyspecjalizowana jak mały mózg w dziale gospodarczym, uczyła się na podstawie algorytmów. Kiedy Stan przychodził sam do mesy, wypijał jedną ziołową kawę tonizującą, ale gdy siedział w towarzystwie, zwykł zamawiać dwie lub trzy. SI musiała dostrzec ten schemat i przygotować napój natychmiast, gdy czujniki zarejestrowały, że pierwsza filiżanka jest pusta.

Stan powąchał napar i skrzywił się lekko. Melinda miała rację, mówiąc, że intensywność zapachu ziół jest przykra. Zanurzył wargi w parującej cieczy, ale zaraz się cofnął – była jeszcze zbyt gorąca.

– Opowiesz to czy będziesz się napawał tym smrodem? – zniecierpliwził się Georges.

– Opowiem, opowiem. Wyłazą z ciebie gaskońscy przodkowie, panie d'Artagnan – zakpił Sordis.

– Kto?! – zdumiał się naukowiec. – Jacy gaskońscy przodkowie?

– Nie zwracaj na to uwagi – powiedziała Melinda. – To postać literacka. W akademii są lektury obowiązkowe, takie do wyboru, ale też zakazane. Akurat powieści Dumasa należą do dwóch pierwszych kategorii. Ale zaraz usłyszysz cytaty z czegoś, co znajduje się na indeksie wszelkich uczelni wojskowych. Rzecz jasna, ponieważ tak jest, nie każdy kadet ma zaliczonych *Trzech muszkieterów*, choć to świetna rzecz, za to każdy zna na wrywki właśnie te książki, których czytanie jest surowo zabronione. Dawaj, Stan, słyszałam to milion razy, ale chętnie posłucham jeszcze raz!

– Należy się słowo wstępu dla cywilów – zaczął Sordis. – Pozycja, o której

mówi Melinda, to powieść z czasów Wielkiej Wojny, zwanej też pierwszą wojną światową. Pewien pisarz z państwa, którego nazwa pewnie nic wam nie powie, przedstawił historię żołnierza pochodzącego z jego ojczyzny. Szeregowiec ten był uznawany przez otoczenie za idiotę, chociaż tak naprawdę był wielkim spryciarzem. O kadrze oficerskiej wyrażał się zawsze uprzejmie, aczkolwiek bez należytego respektu. Co bystrzejsi przełożeni to dostrzegali, ale w większości miał do czynienia z tępymi trepami, dla których był po prostu idiotą. W tejże książce jest opis, który wyjaśni wam, dlaczego, kiedy tylko możemy, nazywamy pułkownika właśnie w taki sposób, w jaki nazywamy. – Przymknął oczy, przypominając sobie wielokrotnie powtarzane słowa. – W słowniku wojskowym słowo „pierdoła” było od dawna używane z wielką miłością, osobliwie gdy chodziło o pułkowników lub starych kapitanów i majorów, a było stopniem wyższym ulubionego epitetu: „pieski dziadyga”. Bez tego przymiotnika słowo „dziadyga” było raczej uprzejmością w stosunku do starego pułkownika czy majora, który dużo ryczał, ale pomimo to żołnierzy swoich lubił i stawał w ich obronie wobec innych pułków, osobliwie zaś gdy chodziło o obce patrole, które wyławiały jego żołnierzy z różnych spelunek, gdy ci żołnierze nie mieli zezwolenia na pozostawanie na mieście po capstrzyku. „Dziadyga” troszczył się o swoich żołnierzy, jedzenie musieli dostawać jak się patrzy, ale miewał także swoje dziwactwa. Czepiał się tego czy owego i dlatego nazywano go dziadygą. Ale gdy dziadyga niepotrzebnie szykanował żołnierzy i szarże kombinując na przykład ćwiczenia nocne i podobne rzeczy, to mówiono o nim „pieski dziadyga”. Z „pieskiego dziadygi” awansowano zwolenników idiotycznych szykan i głupich zaczepek na „pierdołów”. To słowo znaczyło bardzo wiele i trzeba podkreślić, że między pierdołą cywilem a pierdołą wojskowym jest różnica ogromna*.

Melinda zachichotała, kiedy tylko Stan zaczął cytować fragment powieści, i śmiała się jeszcze po zakończeniu. Edwin tylko się uśmiechnął – słyszał to

już parokrotnie, nie był wojskowym, więc bawiło go to jedynie trochę – a Georges najpierw patrzył na porucznika nieruchomym wzrokiem, potem zaś nagle ryknął śmiechem tak głośno, że ludzie przy innych stolikach spojrzeli w ich stronę.

– No to teraz wszystko jasne! – powiedział, kiedy nieco się już uspokoił. – Definicja jasna i prosta, a przede wszystkim pasuje do naszego dowódcy jak ulał. Ciekawe, czy on wie, że tak o nim mówicie.

– Staramy się używać tego terminu tylko w mesie, na platformie obserwacyjnej, w kajutach, słowem, w miejscach, gdzie nie nagrywa się wszystkiego automatycznie, lecz na polecenie – wyjaśniła Melinda. – Tak doświadczony oficer raczej wie, że podwładni kwaśno się o nim wyrażają.

– Nie wiem jednak, czy byłby zadowolony ze statusu pierdoły – zauważył Linneaux.

– Cóż, zasłużył sobie na to – odparła Melinda. – Z takim wrednym szefem jeszcze nie pracowałam. Ostatni mój dowódca zdobył zaszczytny stopień dziadygi i wszyscy go kochali. No, prawie wszyscy. Pamiętasz go, drogi mężu? Właśnie ty najbardziej nie lubiłeś pana majora, prawda?

Edwin zacisnął wargi, a Stan uśmiechnął się. Znał tę historię. Kiedy ludzie służą razem dłuższy czas, tajemnice nie istnieją, a Melinda w dodatku nie miała skrytej natury. Dzięki temu Stan mógł ją śmiało nazwać świetnym kumplem. A że miała nienaganną figurę, ładną buzię i piękny uśmiech, tym milej było z nią przebywać. Zakochany bezgranicznie informatyk podejrzewał żonę o romans z przełożonym. To była oczywiście bzdura, chociaż wspomniany major nie miałby zapewne nic przeciwko temu. Sordis znał przyjaciółkę na tyle dobrze, by mieć pewność, iż nie ma zwyczaju przyprawiać mężowi poroża, trudno to jednak wytłumaczyć komuś, kto wykazuje inklinacje do tak zwanej włoskiej zazdrości. Edwin chyba tylko Stana nie podejrzewał o bałamucenie mu ukochanej. Przyjął najwyraźniej do wiadomości jego słowa,

że romans z koleżanką, z którą pracuje się tak długo, przypominałby kazirodztwo. Rzeczywiście, o ile podczas poprzedniej wyprawy chętnie by ją bliżej poznał, a w każdym razie z łóżka nie wyrzucił, o tyle po jakimś czasie fascynacja zbladła. Wikłanie się w romanse, w dodatku pod nosem męża, to w zamkniętej grupie rzecz wyjątkowo niezdrowa.

Co nie znaczy, że takie rzeczy się nie zdarzały. Zdarzały się, i to wcale nie tak rzadko, bo w trakcie wypraw nader często panowała nuda. A człowiek z nudów robi najróżniejsze głupstwa, nawet jeśli przeszedł najdokładniejszą selekcję. Ludzki umysł nie cierpi monotonii, a ponieważ homo sapiens został tak niefortunnie skonstruowany, że w chwilach bezczynności narasta w nim zazwyczaj napięcie seksualne, najprostszą formą rozładowania frustracji stają się podchody i związane z tym gry. Są najłatwiejszą, ale zarazem najbardziej ryzykowną rozrywką.

Dlatego kiedyś próbowano rozwiązać ten problem, wysyłając na misje wyłącznie małżeństwa lub pary pozostające w stałych związkach, czy to hetero-, czy homoseksualne. Niestety, okazało się, że nuda jest w stanie rozbić nawet najtrwalsze więzy, a trójkąty, czworokąty i jeszcze bardziej skomplikowane figury nie dość, że występują w takich społecznościach niezwykle często, to prowadzą do opłakanych skutków. Nikt nie potrafi powiedzieć, ile z zaginionych wypraw przepadło za sprawą zagrożeń zewnętrznych, a ile doprowadziły do zagłady wewnętrzne tarcia i niesnaski. Pewnym rozwiązaniem okazało się zwiększenie liczby uczestników dalekich wypraw, skazanych na wielomiesięczne, a nawet wieloletnie odosobnienie. Ale to było możliwe dopiero po wynalezieniu nowoczesnych silników i opracowaniu na nowo technologii oraz strategii ekspedycji kosmicznych. Jeszcze pół wieku wcześniej przeciętna wyprawa liczyła najwyżej dwanaście osób. Teraz liczebność załóg szła nawet w setki przy bliższych ekspedycjach, a w dziesiątki w przypadku dalszych.

Oni byli jedną z mniej licznych, jako że podróż w ten słabo eksplorowany rejon Ramienia Perseusza wymagała zabrania większej ilości paliwa, prowiantu i części zapasowych, w tym kompletu syntetyzerów. Ale i tak pięćdziesiąt pięć osób zapewniało pewną swobodę doboru towarzystwa. W dodatku ludzie nie mieli zbyt wiele czasu, żeby się nudzić. Harmonogram był napięty, korporacje górnicze i koncerny przemysłowe naciskały bowiem na jak najszybsze załatwienie spraw naukowych oraz formalnych. Bogaczom bardzo się śpieszyło do zdobycia jeszcze większego bogactwa.

– A ty co się tak zadumałeś? – Melinda poufale szturchnęła Stana. – Nie przejmuj się Pierdołą.

– Już o nim zapomniałem – burknął Sordis. – Musiałaś odświeżyć mi pamięć?

Przypomniał sobie o kawie, wziął filiżankę, ale zaraz ją odstawił. Znow miał przed oczami wykrzywioną złością twarz pułkownika. Dethardt nie cierpiał, kiedy podwładni z nim dyskutowali, nawet jeśli mieli rację. Racja niższych stopniem oficerów zresztą dla starego Pierdoły nie istniała.

– Ciekawe, jaką by miał minę, gdyby go przeczołgał jakiś generał – mruknął porucznik bardziej do siebie niż do pozostałych.

– Nigdy się o tym nie przekonamy – westchnęła Melinda. – Wyżsi oficerowie nie opieprzają się publicznie. Musiałby generałem zostać ktoś z nas, a to nierealne, bo taki służbista jak Romulus zawsze awansuje prędzej i ma przewagę wieku.

– Nie macie innych tematów? – Edwin skrzywił się.

– Właśnie – zawtórował mu Georges. – Nie chcę już myśleć o tym człowieku.

Stanislaus wstał od stołu.

– Muszę trochę odpocząć, później jest narada z profesorem i odprawa u pułkownika. Ty też masz być – przypomniał Georges'owi.

– A my? – spytał Edwin.

– Wy nie. Zagadnienia nie dotyczą waszych specjalności.

– My też już pójdziemy – oznajmiła Melinda. – Pojedliśmy, pośmialiśmy się, pora pomieszkać w naszym małżeńskim apartamencie. Muszę trochę ugłaskać swojego mężczyznę, bo jest cokolwiek spięty i naburmuszony.

– Dałabyś spokój z takimi uwagami – powiedział z wyrzutem Stark. – Jeszcze ktoś pomyśli, że zachowuję się jak rozkapryszony szczeniak.

– Ależ tak właśnie się zachowujesz, kochanie! – roześmiała się kobieta. – I za to także cię kocham.

Stan machnął im ręką na pożegnanie, wyszedł z mesy i powlókł się korytarzem. W tej chwili każdą komórką odczuwał tutejszą grawitację, jedenaście procent większą niż standardowa. Normalnie nie dostrzegał większej różnicy, w chwilach zmęczenia jednak zaczynała dawać się we znaki. To nie było pierwsze takie doświadczenie. Podczas poprzedniej ekspedycji przebywał na planecie znacznie większej od Ziemi, na której grawitacja wynosiła półtora g. Tam dopiero przekonał się, co to znaczy podwyższone ciążenie przy zmęczeniu. Przez z górą połowę pobytu miał ochotę położyć się i odpoczywać. To był pewien paradoks, bo z kolei przy podwójnej grawitacji czuł się całkiem niezłe. Widocznie pięćdziesiąt procent więcej stanowiło jakąś wartość kryzysową.

Dobrnął do kajuty. Właściwie powinien kwaterę nazywać pokojem, gdyż na stacji badawczej panowały o wiele bardziej komfortowe warunki niż na statku, ale przyzwyczajenie robiło swoje. Właśnie dlatego wszyscy zgodnie nazywali jadłodajnię mesą, choć w każdym innym miejscu miałyby status restauracji.

– Ależ myśli przychodzą mi do głowy – mruknął do siebie Sordis, po czym rzucił się na koję.

Tę też powinien nazywać raczej łóżkiem, lecz myśl ta wyparowała pod

wpływem narastającej senności.

– Pobudka za dwie godziny – wydał jeszcze polecenie komputerowi obsługi kwater, ale potwierdzenia już nie usłyszał.

Zasnął.

* Jaroslav Hašek, *Przygody dobrego wojaka Szwejka*, przekład Paweł Hulka-Laskowski

2

Ronald Ross płynął miniaturowym okrętem podwodnym na głębokości pięćdziesięciu metrów. Pod nim rozciągała się prawdziwa przepaść, tam gdzie szelf kontynentalny nagle przechodził w głębinę. Urządzenia oszacowały ją na tysiąc dwieście metrów, ale z uwagi na zakłócenia powodowane przez wszechobecne promieniowanie nie była to wartość pewna.

Nie miało to jednak w tej chwili większego znaczenia, nie prowadzili bowiem badań głębinowych, a Ron stanowił ubezpieczenie większej maszyny, która zbierała próbki ze ściany opadającej w przejrzystą otchłań. Nawet na tej głębokości woda była zupełnie przezroczysta, a światło Izydy wydobywało szczegóły otoczenia. Ta ciecz była wprost niesamowita! Podczas ćwiczeń z pojazdami podwodnymi porucznik nigdy nie miał do czynienia z podobnym zjawiskiem, nawet kiedy symulacje odbywały się w sztucznych akwenach. Tylko ocean metanu na Orestesie, planecie w układzie Sienny, miał podobne właściwości, ale tam światło odległej gwiazdy ledwie go rozjaśniało, a reflektory batyskafów nie sięgały dalej niż na trzysta metrów.

Tutaj cały ocean zalany był słońcem gwiazdy, na skałach zaś odbijały się refleksy, wydobywając z nich nieoczekiwane barwy. Ronald nie skupiał się jednak na urokach natury. Miał za zadanie obserwować wszystko wokół, a jego zmysły były wyczulone na każde zaburzenie, każdy sygnał, że coś jest nie tak. Lecz na razie batyskaf badawczy z dwojgiem naukowców na pokładzie spokojnie poruszał się wzdłuż ściany opadającej w czeluście oceanu.

Dzień wcześniej kapitan Ballard ogłosił kod pomarańczowy i nakazał, aby od tej chwili eskorta badaczy nie oddawała się dłubaniu w nosie ani innym równie problematycznym przyjemnościom, lecz zachowywała maksymalną czujność. Ludziom przekazano, że Linneaux podczas samotnej wyprawy natknął się na jakąś nową formę życia.

Podobnie jak zgromadzeni kapitan nie wiedział nic bliższego i po odprawie wyszedł z sali, nie wypowiadając nawet sakramentalnego „Czy są pytania?”.

Uciekł tak pośpiesznie zapewne dlatego, że pytania by były. W dodatku liczne, chociaż nie od razu wypowiedziane. Ludzie musieli przetrwać nowe informacje i przeanalizować rozkazy. Ale już po kilkunastu sekundach w sali zawrzało. Operatorzy stanowili piętnastoosobową grupę cywilów i wojskowych podporządkowanych obu kierownictwom. Różnie między nimi bywało, lecz tym razem wszyscy byli zgodni – coś się działo, a oni chociaż z grubsza powinni wiedzieć co, jeśli mieli prowadzić badania.

Jednak niczego się nie dowiedzieli. Być może wszystko to było tylko dmuchaniem na zimne, tym bardziej że od czasu odprawy wyruszyło kilka misji i nikt nie przywiózł żadnych rewelacji. A może po prostu ta nowa forma życia nie była groźna. Pewnie za jakiś czas pomarańczowy alert zostanie odwołany.

– Pobieram próbki – zatrzeszczał głośnik.

– Przyjąłem, Odilo. Ubezpieczam – odpowiedział.

Batyskaf zbliżył się do skał, a miniaturowy okręt podwodny ułożył się za nim, pięć metrów wyżej. Ronald włączył wszystkie systemy namierzania aktywnego, zabuczały cicho obwody urządzeń. Skanery przeczesywały wody, tworząc półsferę wysuniętą w stronę otwartego akwenu. Gdyby chciał trzymać się ściśle regulaminu postępowania alarmowego, powinien objąć tą niewidzialną kopułą także batyskaf naukowców, ale to mogłoby utrudnić im zadanie. Aktywny skan potrafił zakłócać pracę delikatniejszych przyrządów.

– Dzięki, poruczniku – doleciał do niego głos Saskii Morre, która towarzyszyła mikrobiologowi. – Postaramy się jak najszybciej skończyć.

– Spokojnie – odparł. – Nie wydaje mi się, żeby groziło nam niebezpieczeństwo. Ale jak tylko skończycie, melduj. Muszę was chociaż przez parę minut potrzymać w polu czujników, żeby był ślad w odczytach skanerów. Inaczej Dethardt nie da mi spokoju.

– Jasne.

Dowódcy wojskowi wypraw bywali zbyt skłonni do wystawiania podwładnych na niebezpieczeństwo albo przeciwnie – zbyt ostrożni. Oczywiście ideałem był oficer, który potrafi zrównoważyć obie tendencje, lecz to zdarzało się nieczęsto. Przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy załóg, bo obraz obiektywny mógł się przecież różnić od subiektywnego. Ronald zdawał sobie z tego sprawę i musiał uczciwie przyznać, że pułkownik Dethardt, skądinąd słusznie zwany Pierdołą, jeśli chodziło o działania związane stricte z wyprawami naukowymi i bezpieczeństwem, wykazywał się wyczuciem. Dlatego jeśli uznał, że trzeba podjąć wyjątkowe środki ostrożności, nie należało tego lekceważyć. Zresztą lekceważenie poleceń tego starego sadysty byłoby bardzo niezdrowe.

– Macie coś ciekawego? – spytał Ron. Trochę się nudził, tym bardziej że został przydzielony do naukowców praktycznie od razu po zakończeniu potwornie nużącego dyżuru. Zdążył się tylko zdrzemnąć i coś zjeść.

– Czy ty nie powinieneś zostać naukowcem zamiast wojakiem? – Mikrobiolog Odilo Sammenhall zaśmiał się. – Ile razy z nami płyniesz, trzeba ci opowiadać, co robimy.

– Powinienem – odpowiedział z powagą porucznik. – A przynajmniej laborantem...

– Muszę cię zmartwić, nic nowego na razie nie odkryliśmy. Może jak zejdziemy na sześćset metrów, czyli osiemdziesiąt poniżej dotychczasowego

poziomu badań, coś się trafi.

– Chcesz to zrobić dzisiaj? – zdziwił się Ronald. Spojrzał na harmonogram, żeby się upewnić. – Mamy wyznaczone badanie skał tylko do trzystu pięćdziesięciu metrów.

– To zmienimy trochę plany – odpowiedział beztrąsko Odilo. – Profesor się nie obrazi. Tu jest nudno i rutynowo jak w łóżku po pięćdziesięciu latach małżeństwa.

– Ale pułkownik może się wściec – ostrzegła Saskia, uprzedzając Rona. – W końcu obowiązuje ten alert...

– To niech się wścieknie. Nasz przyjaciel z eskorty wie chyba, co robić, żeby nam zapewnić bezpieczeństwo. – W głosie naukowca pojawił się dziwny ton, jakby nacisku albo mocnej sugestii.

Ron w pierwszej chwili nie rozumiał, o co chodzi mikrobiologowi.

– Dobra, schodzimy najpierw na trzysta osiemdziesiąt – oznajmił Sammenhall. – Poruczniku, wiesz, co powinieneś zrobić? – Znow ten natarczywy ton.

Wreszcie Rossa olśniło.

– Wyrażam stanowczy sprzeciw – powiedział. – Nie powinno się aż tak modyfikować harmonogramu działań, szczególnie w stanie podwyższonej gotowości. Punkt trzydziesty drugi regulaminu...

– Nas nie obowiązują regulaminy wojskowe – wpadł mu w słowo Odilo Sammenhall. – Dopóki nie został ogłoszony wyższy stopień zagrożenia, możemy traktować rozkazy dowódcy wojskowego jako sugestie.

– Ponownie wyrażam sprzeciw – odparł Ron.

– Może pan zostać na przepisanej głębokości, jeśli towarzyszenie nam naruszy dyscyplinę wojskową, poruczniku.

Ronald uśmiechnął się pod nosem. Na to czekał.

– Moim priorytetem jest ochrona batyskafu badawczego – rzekł. – Muszę

wam towarzyszyć, inaczej czekałoby mnie postępowanie dyscyplinarne.

Spryciarz z tego Odila – pomyślał. – Niech teraz pułkownik odsłuchuje sobie nagrania. Wszystko odbyło się zgodnie z regulaminami. Ale pewnie mikrobiolog uzgodnił całą tę hecę z profesorem, na własną rękę raczej by się nie odważył tak postąpić. Solimow mógłby od razu zarządzić inny plan misji, lecz przeforsowanie zejścia poniżej dotychczasowego poziomu eksploracji natrafiłoby na żywiołowy sprzeciw Detharda. Zaczęłyby się przepychanki formalne, profesor w końcu postawiłby na swoim, ale kosztowałoby go to sporo energii i nerwów. A tak pułkownik klepnął harmonogram po wstępnym przejrzaniu, wezwał tylko Ronalda i nakazał mu zachowywać szczególną ostrożność. „Nie jak przy poziomie zagrożenia dwa, ale stopień wyżej – napomniał go. – I trzymaj w karbach tych jajogłowych”.

Cała konwersacja z Odilem dowodziła, że porucznik, zgodnie z rozkazem, starał się zapobiec zmianom w harmonogramie. Wprawdzie stary i tak będzie wiedział swoje i zrobi awanturę pilotowi, ale nie wyciągnie wobec niego konsekwencji. Formalnie wszystko zostało załatwione, jak należy.

– Mam nadzieję, że nie spotkamy tam żadnej meduzy – powiedział Ross.

– A ja, że jednak zobaczymy coś ciekawego – zaprotestowała Saskia. – Tutejsza przyroda jest straszliwie nudna. Niby mamy dziwaczne kształty i formacje, niektóre twory ewolucji trudno zaklasyfikować do świata roślin albo zwierząt, ale nic się nie dzieje! Przydałaby się właśnie jakaś groźna mątwą na rozruszanie kości.

Ronald nie skomentował tego. Zgadzał się z panią egzobiolog, że planeta okazała się mało pasjonująca i trudno było spotkać się z jakimiś zagrożeniami, jeśli człowiek zachowywał ostrożność. Wprawdzie wodorosty unoszące się tuż nad dnem na szelfie mogły unieruchomić pojazd, jeśli uznały go za pożywienie, ale wystarczyło odczekać kilkadziesiąt sekund, żeby uwolniły coś, co nie nadawało się do jedzenia. Kiedy pierwsza sonda utknęła w nich,

członkowie wyprawy uznali, że to niezmiernie groźne stworzenie, ale chwilę później emocje opadły. Potem okazało się, że to nawet nie są zwierzęta, tylko drapieżne rośliny wykazujące bardzo silne tropizmy.

Jednak życzenie Saskii, aby napotkać coś naprawdę robiącego wrażenie, wcale go nie zachwycało. Miał pilnować naukowców. Gdyby coś im się przydarzyło, to on stanąłby do raportu, a Pierdoła urwałby mu najpierw uszy, a potem jaja.

– No dobra, schodzimy – oznajmił Odilo. – Ty będziesz cały czas z włączonymi skanerami bojowymi? – upewnił się.

– Tak i będę was nimi omiatał, dopóki się nie zatrzymacie. Wtedy znów utworzę półsferę, ale nie wypuszczę was zupełnie spod swoich skrzydeł. Po prostu w waszą stronę pójda mniej energetyczne wiązki.

– Ale to nam może zakłócić... – próbowała protestować Saskia, jednak Odilo przerwał jej:

– Tak musi być. Porucznik nie może sobie pozwolić na zbyt daleko idącą dezynwolturę w interpretacji przepisów. I tak bardzo idzie nam na rękę. Dobrze, Ron, działamy.

*

Rwący Sieć przyssał się czterema górnymi kończynami do płytek sterowniczych. Dwie środkowe obsługiwały urządzenia skanujące. Spoczywał w kokonie zabezpieczającym, ślizgi opierały się na panelach wspomagających. Dzięki temu w razie niebezpieczeństwa mógł aktywować dodatkową energię i przekazać ją do napędu, musiał tylko przełamać zabezpieczenia.

Starszy badacz nie bardzo lubił podróżować w kokonie. Czuł się nim ograniczony, tracił pewność siebie i miał wrażenie niedostatecznej koordynacji ruchów. To było oczywiście złudzenie, po jakimś czasie

przyzwyczajął się do tego, jednak za każdym razem musiał adaptować się od nowa. Cóż, w końcu był przede wszystkim naukowcem, a zdolności pilota po prostu ułatwiły mu zdobycie miejsca w wyprawie.

Kapsuła płynęła w zanurzeniu, na głębokości, na której było nieco mniej zakłóceń. Mętność oceanu była wręcz przygnębiająca. Ileż zanieczyszczeń zawierała ta woda! Prawdziwy, przyjazny ocean rodzimej planety był wprawdzie o wiele mniejszy od tutejszych wód otaczających lądy, ale za to krystalicznie czysty, pozbawiony jakiegokolwiek promieniującej zawiesiny. Na Opoce dominował twardy grunt, w niepamięć odeszły czasy, kiedy prawie cała powierzchnia była zalana przez wielki ocean. Po rozległych wodach pozostały tylko wypłukane w skałach jaskinie Otchłani, w których narodziło się świadome życie. Owszem, wyszło z wody, podobnie jak tutejsze, ale w zupełnie inny sposób i nie ze zwykłej cieczy, lecz z sangis, daru praprzodka Stwórców.

Jednak właśnie na tym globie najwyraźniej znajdowały się złoża gwarantujące obecność sangis i możliwość jej pozyskania. Liczba Opopan na rodzimym świecie i w koloniach już jakiś czas temu zaczęła stanowić problem. Wprawdzie taka tendencja była zgodna zarówno z religią, jak i doktrynami naukowymi, ale od pewnego czasu w wyższych kastach obywatele schodzili do Otchłani rotacyjnie, często popadając przy tym w choroby wskutek zbyt małej częstotliwości Zjednoczenia. W dodatku byli zmuszeni do wspólnego korzystania z tych samych zasobów dwuświadości, co prowadziło do zaburzeń nie tylko organicznych, ale też mentalnych, wręcz degradacji monoświadości co wrażliwszych jednostek. Taką sytuację Rwęcy Sieć znał ze swojego najbliższego otoczenia. On, jako naukowiec, miał zagwarantowany pod tym względem pewien komfort, lecz pogorszenie tego stanu było tylko kwestią czasu. Jeśli nie znajdą świata, na który będzie można przenieść część populacji, sytuacja stanie się bardzo niebezpieczna.

Rwący Sieć poprawił się w kokonie. Wrócił myślami do rozmowy z Podróżnikiem W Mroku. Było coś, co nurtowało go od samego początku, a czego monoświadomość, najpierw zmęczona pracą, a potem nieco rozkojarzona po zbyt krótkim Zjednoczeniu, nie mogła wyłuskać i poddać analizie.

Sanduke był na tyle uprzejmy, że pozwolił przekazać sobie dane za pomocą łącza zewnętrznego, a nie zażądał kończyny informacyjnej, choć starszy badacz byłby gotów nawet tak podzielić się wiedzą, na dodatek tym razem bez żalu.

– Ciekawe – rzekł Podróżnik W Mroku. – Nawet bardzo ciekawe...

Rwący Sieć poczuł ulgę. Te słowa oznaczały, że młodszy uczonec nie uznaje czasu poświęconego na spotkanie za stracony i nie będzie wnioskował o ukaranie gorszego rangą naukowca.

– Odczyty są rzeczywiście niewyraźne przez te wszystkie zanieczyszczenia, ale zgadzam się z tobą, odike, że mamy do czynienia z obcym obiektem. Jego konstrukcja jest dziwaczna, jakby do budowy użyto pierwiastków i minerałów, których my nigdy byśmy nie zastosowali. Tak...

– Czy mogę coś zauważyć, czcigodny sanduke? – spytał Rwący Sieć.

– Teraz mów śmiało, odike – zachęcił go Podróżnik W Mroku. – To spotkanie naukowców, twoja ranga i pochodzenie są w tej chwili sprawą drugorzędną.

Rwący Sieć wskazał pełne zakłóceń odczyty w niskich częstotliwościach.

– Wygląda to tak, jakby stanowiło twór złożony z wielu części. Przypomina nieco naszą kapsułę, lecz nie jest całością. Doprawdy, dziwaczny sposób hodowania maszyn. Jeżeli to jest oczywiście maszyna.

– A cóż innego? – spytał sanduke. W jego przekazie wyczuwalne było zainteresowanie zdaniem starszego badacza, ale też coś w rodzaju pułapki. Lecz na szczęście nie zastawiał sideł na członka wyższej kasty, chcąc przyłapać go na błędzie czy przewinieniu, tylko rywalizował z drugim

naukowcem.

– Nie możemy wykluczyć, że to przedstawiciel innej rasy.

– Poskładany z tak wielu rozmaitych elementów? Uważasz, odike, że to możliwe?

– Bardzo mało prawdopodobne – przyznał Rwący Sieć. – Ale czy można mówić o niemożliwości w aspekcie nieskończoności?

– A cóż to jest ta nieskończoność? – W przekazie sanduke pojawiły się srozsze elementy, bez wątpienia celowo tam dodane. – Nie ma czegoś takiego, wszystko jest ograniczone i widzimy granice wszystkiego. Cała przestrzeń jest zbudowana na podobieństwo leja Otchłani, ma swoje dno, nawet jeśli znajduje się ono niewyobrażalnie daleko. I nawet jeśli to dno stanowi zarazem początek tego samego leja. Nieskończoność to tylko teoria, w dodatku przez tysiąclecia jej głoszenie było zakazane pod groźbą surowych kar. Dzisiaj również nie ma wielu zwolenników. Osobiście uważam ją za szkodliwą.

– Nie mam na myśli przestrzeni – zaprotestował Rwący Sieć. – Chodzi mi o drogi rozwoju i zdaję sobie sprawę, że i one nie są nieskończone, choć również niepoliczalne, czy raczej niemożliwe do policzenia przez zwykłego osobnika, choćby był największym geniuszem. Użyłem niefortunnego sformułowania, proszę o wybaczenie, czcigodny sanduke.

Podróżnik W Mroku milczał przez jakiś czas. Rwący Sieć uznał, że spotkanie jest zakończone, a urażony naukowiec czeka, aż odike sam się domyśli, że powinien odejść. Lecz kiedy już miał wysłać stosowne pożegnanie, sanduke przemówił. Przemówił akustycznie! To było wręcz niesłychane, aby obywatel lepszej kasty odzywał się tak do zwykłego odike!

– Możesz mieć słuszość, starszy badaczu – rzekł młodszy uczonec. – Nie powinniśmy wykluczać możliwości, iż obcy obiekt tworzy w takiej nienaturalnej dla nas integracji jednolitą całość. To byłoby niesłychanie interesujące. I należy to sprawdzić.

W ten sposób Rwaćy Sieć znów znalazł się w nieprzejrzystym oceanie. Przydzielono mu najnowszą kapsułę, w której działały wszystkie przyrządy. Nawet vengu Ostrze Światła uznał, że do zbadania takich zjawisk nie należy wysyłać starzejącej się maszyny. Odike czuł całym sobą odpowiedzialność, jaka na nim ciążyła, a jednocześnie był wdzięczny za tak wielkie zaufanie. Nie był wcale pewien, czy na miejscu lepszych powierzyłby komuś z górnej kasty tak cenny przedmiot, nawet gdyby mógł on z nim uczynić coś niesłychanie interesującego.

Tylko ten ciasny kokon... Ale cóż, umiejętność godzenia się z okolicznościami to także część mądrości. Uczony powinien umieć dostosować się do każdej sytuacji.

I zaraz naszła go refleksja – jeśli tak na to spojrzeć, to właśnie jedna z najwyższych kast społeczeństwa Opokan składała się z największych mędrców. Nikt tak jak Niedostrzegalni nie potrafił przystosować się do najgorszych choćby warunków. A przecież nie dawali ogłowi ani naukowców, ani nawet wykwalifikowanych robotników. Sprawdzali się przy prostych pracach, brudnych i ciężkich. Osobników miłujących wiedzę tam nie było. Chyba że wiedza ta dotyczyła produkowania środka przypominającego wyglądem sangis, ale działającego jak jej przeciwieństwo – zamiast spokoju, ukojenia i równowagi pobudzał, wprowadzał nerwowość i skłaniał do gwałtowności. Oszałamiali się nim, aby zapomnieć o marnej egzystencji.

A na dodatek w niższych kastach, przynajmniej wśród niektórych ich przedstawicieli, wchodziło podobno właśnie w modę zażywanie tej trucizny. Było to zakazane, jednak kto raz spróbował pseudosangis, ten musiał od czasu do czasu jej zażywać, aby nie popaść w szaleństwo.

– Skoncentruj się na zadaniu, odike Rwaćy Sieć. Możesz pokazać lepszym, że naprawdę coś potrafisz. Wykorzystaj tę szansę, bo drugiej nie będzie.

Skupił się na informacjach z sensorów. Aktywne przeczesywały

nieprzeniknioną toń, pasywne zbierały napływające dane. Na razie niczego nie wykazywały, ale też do rejonu, w którym napotkał tamto coś, było jeszcze daleko. Co najmniej dziesięć nadperiodów. Mógłby nawet przekazać kontrolę nad kapsułą autonomicznemu podzespołowi monoświadomości, w zaistniałej sytuacji wolał jednak nadzorować wszystko pełnią umysłu.

Gdyby poruszał się w wodzie na rodzimej planecie, zapewne w tej chwili odbierałby podróż jako wielką przyjemność. Lecz tutaj widział wokół tylko substancję wypełnioną nieprzyjazną formą energii, wprawdzie niezagrażającą życiu, ale kojarzącą się z czymś obrzydliwym.

Silniki, które zostały wyhodowane wstępnie tuż przed wyprawą, a dokończyły wegetację już na miejscu, nie wprawiały kadłuba w drżenie, do jakiego przywykł w swoim pojeździe, nie wykazywały tendencji do interferowania z jego strukturą, za to wibrowały przyjemnie, wręcz uspokajająco, pchając kapsułę. Rwący Sieć nigdy jeszcze nie miał okazji prowadzić urządzenia w tak doskonałym stanie, młodego i pełnego energii. Opokanom z jego kasty przypadał nieodmiennie sprzęt nieco już zużyty, wykorzystany przez dolne, uprzywilejowane warstwy. O dodatkowej mocy, do jakiej miał teraz dostęp, nie było w nich nawet mowy. Urządzenia pod ślizgami były martwe na długo przed tym, zanim przydzielono kapsułę byle odike.

Dlatego w tej chwili postanowił przekonać się, jak to jest prowadzić maszynę, wykorzystując jej znakomity stan. Przyśpieszył gwałtownie, czując, jak całe jego ciało poddaje się przeciążeniu. To było przykre i przyjemne zarazem. Część jego istoty stwardniała niczym kamień, a część pozostała płynna i półpłynna, równoważąc skutki manewru. Kokon z kolei zacisnął się, żeby wspomóc organizm pilota.

Rwący Sieć zdawał sobie sprawę, że po powrocie może otrzymać od lepszych ostrą reprymendę za takie zachowanie, a nawet zostać ukarany, lecz

gdy gnał przez mętną ciecz, czuł rozkosz podobną do tej, jaką osiąga się podczas zjednoczenia sangis w akcie prokreacji. A dokładniej przypuszczał, że może temu towarzyszyć takie uczucie, gdyż sam nie miał jeszcze sposobności dokonać aktu pączkowania. Jako starszy badacz liczył na zezwolenie, tak by jego potomstwo przyszło na świat wśród lepszych. Oczywiście było to uzależnione od uznania przełożonych. Wyższe kasty, w tym jego własna, mnożyły się w sposób niekontrolowany albo bardzo słabo kontrolowany, ale też przeżywalność młodych osobników była niewielka. Niższe i lepsze miały doskonale wyposażone centra, w których używano czystej sangis, a nie brudnej żybury lub surogatu życiodajnej substancji. On był teraz pośrodku drogi. Jeśli ktoś z niżej postawionych dojdzie do przekonania, że warto kontynuować jego linię, będzie mógł liczyć na poparcie wniosku o uzyskanie potomstwa. Rzecz jasna nigdy go potem nie zobaczy – już na poziomie pęcherzyków zostanie ono przydzielone do odpowiedniego ośrodka, gdzie ukształtują je zgodnie z potrzebami społeczeństwa. Spotka je dzięki temu o wiele lepszy los, niż gdyby to Rwały Sieć decydował o nim, korzystając z tego, co oferuje się jego kacie i warstwie.

Pogrążony w tej refleksji, nieświadomie przyśpieszył jeszcze bardziej, tak że do kończyn sterujących dotarł sygnał ostrzegawczy. Długotrwałe przeciążenie groziło uszkodzeniem struktury kapsuły.

Natychmiast zwolnił i poczuł lęk na myśl o tym, że vengu Ostrze Światła osobiście sprawdzi pamięć pojazdu i z pewnością zechce wyciągnąć konsekwencje. Odike pozwolił sobie na zbyt wiele, nie mógł szukać usprawiedliwienia. Gdyby przyznał się, jakie myśli wywołały tę nie w pełni kontrolowaną reakcję, miałby dopiero prawdziwe kłopoty.

– Zbierz się w kroplę – rzekł do siebie na poziomie subwokalnym, czując, jak niskie wibracje tonizują wzburzone wnętrze. – Zaraz znajdziesz się w obszarze, gdzie spotkałeś tamto... zjawisko.

*

Profesor Solimow i porucznik doktor Sordis po raz kolejny studiowali wyniki analizy dokonanej przez sztuczną inteligencję stacji przy wsparciu mózgu laboratorium biologicznego.

– Nie widzę tutaj niczego, co by rzucało nowe światło na całe zdarzenie – powiedział Stanislaus z wyraźnym zawodem. – Nadal nie wiemy, czy to stworzenie typowe dla tego świata. SI odrzuciła odczucia Georges’a jako mało wiarygodne. Nawet to, co wydaje nam się skanowaniem batyskafu przez to zwierzę, albo czym tam ono jest, nie daje pewności.

Solimow pokiwał głową.

– Tak. Ziemskie delfiny też potrafią skanować osobniki swojego gatunku, a także inne zwierzęta. Tyle że używają do tego wysokich częstotliwości. Zresztą sam wiesz doskonale, że na kilku planetach napotkaliśmy podobne istoty. Sztuczna inteligencja laboratorium ma kompletne dane z wszelkich badań i właśnie dlatego główna SI nie wysuwa zbyt daleko idących wniosków. Jedyne, co widzę nowego, to wniosek o prawdopodobnej zaawansowanej amorficzności obiektu. Ale to też tylko niepotwierdzona hipoteza. Ciało przypominało meduzę, a one przecież mają uporządkowaną strukturę komórkową, chociaż może się wydawać, że to jedynie z grubsza ukształtowany worek z cieczą w środku.

Wcześniejsze spotkanie biologów u profesora, już po wysłaniu batyskafu z miniaturowym okrętem, nic nie dało. Doszło tylko do ostrej kłótni między Sordisem, profesorem, Georges’em i Daisy Farango, biologiem i chemikiem molekularnym. Na wieść o spotkaniu kobieta zaatakowała wszystkich teorią o inteligentnym życiu rozwijającym się na planecie, ale ukrywającym przed intruzami.

– Chyba oszalałaś – powiedział Sordis spokojnie, wręcz flegmatycznie. – Na tym świecie nie ma śladu cywilizacji. Żadnej. Zresztą tak samo jak na każdym globie, jaki do tej pory eksplorowaliśmy. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy jedynym inteligentnym gatunkiem, jeśli nie we wszechświecie, to w tej części Galaktyki. Mam ci to tłumaczyć jak jakiemuś uczniakowi?

– Uważam, że to nie było zwierzę, lecz istota w pełni świadoma tego, co się wokół dzieje.

– Kot też jest w pełni świadomy otaczającego go świata, a jednak nie stworzył kultury, prawda? – Stan zaczął się irytować. – Elementarna samoświadomość to zbyt mało, aby zbudować cywilizację.

– Co nie znaczy, że w sprzyjających okolicznościach taki gatunek nie może jej stworzyć – odparowała Farango.

Daisy była członkiem wspólnoty „Sancta Sapientia” głoszącej istnienie inteligencji we wszechświecie. W zasadzie doktryna tej religii opierała się na przekonaniu, że kosmos jako taki sam wykazuje inteligencję. To jednak kłóciło się z przekonaniem zarówno Stana, jak i ogromnej większości naukowców. Wbrew pozorom wspólnota ta nie należała wcale do zwolenników ortodoksyjnego kreacjonizmu, lecz raczej skrajnego ewolucjonizmu. W rozumieniu jej twórców i ich kontynuatorów inteligencja wszechświata nie opierała się na istnieniu pierwiastka boskiego, genialnego demiurga, lecz na ustawicznej ewolucji, która sama z siebie miała stanowić wyraz inteligencji materii jako całości.

Na samą myśl o takim steku bzdur zarówno Stanislaus, jak Linneaux odczuwali mdłości, a przede wszystkim żywiołową niechęć do głoszących je ludzi. Niemniej Daisy, podobnie jak wielu jej współwyznawców, brała udział w wyprawach naukowych. Mówiono, że ktoś w rządzie federalnym doszedł do wniosku, jakoby ich karykaturalne postrzeganie świata miało stymulujący wpływ na innych naukowców.

Istniało też inne wytłumaczenie poważnego traktowania „Sapientii”. Kiedy bowiem nie wiadomo, o co chodzi, zgodnie ze starożytnym powiedzeniem chodzić musi o pieniądze. Dla koncernów, konsorcjów i trustów, robiących interesy w eksplorowanych rejonach tłumaczenie wszystkiego inteligencją wszechświata było wygodne, szczególnie gdy wydobywanie surowców miało prowadzić do zagłady wielu gatunków na jakiejś planecie czy księżycu. Naukowcy wyznający geniusz, który przenika całe uniwersum, z jednej strony stali na straży ewolucji, ale z drugiej dawali podstawy do twierdzenia, że zniszczenie tego czy innego życia nie wpływa znacząco na kondycję całości.

– Przecież to idiotyczne – powiedział kiedyś Stan podczas podobnej, choć czysto teoretycznej, gorącej dyskusji, w której uczestniczył profesor Solimow.
– Dawniej na Ziemi także były organizacje ekologiczne, które walcząc z zatruciem środowiska i zagładą gatunków, dawały alibi koncernom. Wystarczyło odpowiednio dużo im zapłacić, by przestawały głośić, że ta czy inna platforma wiertnicza albo fabryka zagraża środowisku.

Solimow zaśmiał się i nim Daisy zdążyła ostro zareagować, uciął dyskusję.

– Sam sobie odpowiedziałeś na swoje wątpliwości. W burzach uczuciowych zawsze szukaj kobiety, lecz w burzach związanych z prawem wykorzystania kogokolwiek lub czegokolwiek wyłącznie pieniędzy.

– Chce pan powiedzieć, że mój kościół jest nastawiony tylko na zyski i żerowanie na ludzkiej naiwności? – oburzyła się Farango.

– Co chciałem powiedzieć, to powiedziałem – odparł chłodno Solimow. – Pani wspólnota religijna nie jest jedyną organizacją wspierającą wielkich przemysłowców ani też jedyną przez nich wspieraną.

– Pan... pan, profesorze...

– Jestem bezczelny i impertynencki, wiem – dokończył Rosjanin. – Słyszałem to już wiele razy. Ciekawe, że z reguły właśnie od członków pani tak zwanego kościoła, że pozwolę to sobie podkreślić.

– Wcale się nie dziwię. Pańskie wsteczne poglądy rzucają nowe światło na dotychczasową tak zwaną naukę – próbowała się odgryźć Daisy.

Solimow popatrzył na kobietę takim wzrokiem, że zamilkła, porażona wyrazem pogardy na jego twarzy. Nawet Stan był zdziwiony. Nigdy nie widział, żeby słynny naukowiec kogoś tak potraktował.

– Droga pani doktor – odpowiedział po chwili profesor, mówiąc jakby z przymusem, wbrew sobie – moje wstecznictwo wynika z wiedzy. Zasadniczo nigdy nie daję do zrozumienia rozmówcom, że są gorzej wykształceni niż ja, ale w pani przypadku z prawdziwą przykrością muszę zrobić wyjątek.

Daisy zadarła głowę, dając znać, że żadne argumenty do niej nie trafiają, jednak kiedy profesor wypowiedział następne zdanie, była zszokowana.

– Nie brakuje pani inteligencji – ciągnął Solimow – ale jest pani okropnie, wręcz nieskończenie głupia.

Farango wytrzeszczyła na niego oczy, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, dokończył:

– Tak, pani doktor, jest pani głupia. Inteligentna, ale zwyczajnie głupia. To się nie wyklucza, żeby wszystko było jasne. Inteligencja to tylko sposobność do podejmowania mądrych decyzji, ale człowiek inteligentny może podjąć decyzję głupią. Natomiast ktoś posiadający mądrość, choćby nie był błyskotliwy, w tej samej sytuacji zachowa się jak filozof, a nie jak głupiec. Coś jeszcze?

Daisy Farango milczała przez dłuższą chwilę, zanim wrócił jej głos.

– To nadaje się do trybunału sprawiedliwości! – oświadczyła. – Pan obraził mnie i wszystkich członków mojej wspólnoty!

– Dobrze – odparł spokojnie profesor. – Wytoczy mi pani proces, kiedy wrócimy do domu. Zapisy naszego spotkania zostaną przechowane, aby ułatwić pani zadanie. SI, proszę nie wymazywać ostatnich dziesięciu minut.

– Tak jest, panie profesorze – odparł kobiecy głos głównego mózgu stacji.

– Będzie pan tego żałował! – zagroziła wściekła Farango. – Nie tylko ja założę panu sprawę! To będzie pozew zbiorowy.

Solimow machnął ręką, a milczący do tej pory Linneaux zachichotał.

– O co ci chodzi? – rzuciła się od razu do niego Daisy. – Co cię tak bawi?

Georges wzruszył ramionami.

– Nic takiego. Po prostu wyobraziłem sobie, jak sędzia odsłuchuje nagranie. Będzie miał niezły ubaw. Aż mu zazdroszczę.

Teraz znów patrzyli na nią jak wtedy, a ona zaczynała się wściekać.

– Zawsze chcecie odrzucić wszystko, co wam nie pasuje! – burknęła, kręcąc się nerwowo w fotelu. – Macie pewność, że to nie jest życie z tej planety?

Linneaux westchnął.

– Pamiętaj, że to ja widziałem tę meduzę. To ja czułem jej obcość. I uwierz mi, nie wiem, czym jest, ale nie przypuszczam, żeby to było tutejsze życie.

– Bo? – Daisy wyduła wargi.

– Bo, do jasnej cholery, cywilizacji na takim poziomie nie da się przeoczyć nawet podczas wstępnych badań! Byle sonda wykryłaby coś podejrzanego.

– Albo i nie – wysunęła argument nie do zbicia. – Bo jeśli taka cywilizacja się ukrywa...

– To jej przedstawiciel nie natyka się na obcy pojazd przypadkiem i nie zachowuje, jakby był tak samo zaskoczony jak druga strona – wpadł jej w słowo Sordis.

– Bo? – Tym razem Farango nie wydymała warg, tylko zmrużyła oczy.

– Bo z definicji ukrywanie się przed kimś oznacza, że ma się świadomość jego istnienia, idiotko! – nie wytrzymał Georges.

Chwilę później doktor Farango opuściła salę. Gdyby można było trzasnąć przesuwными hydraulicznymi drzwiami, pewnie by to zrobiła. Ale i tak cała jej postawa sugerowała właśnie taki zamiar. Po tym incydencie zebranie nie kleiło się. Kilkanaście minut później profesor odesłał wszystkich do kwater

i do pracy.

Dopiero po jakimś czasie poprosił do siebie Sordisa.

– Rozmawiałem z pułkownikiem Dethardtem – oznajmił. – Dopóki nie dowiemy się, co właściwie zobaczył nasz przyjaciel, musimy zachowywać najdalej posuniętą ostrożność. Właśnie z tego powodu z batyskafem badawczym wysłano miniaturowy okręt podwodny. Poczuliśmy się zbyt pewnie, przynajmniej zdaniem dowódcy wojskowego.

– Chyba po raz pierwszy, odkąd go znam, muszę się z nim w pełni zgodzić – mruknął Stanislaus.

– Ja też – rzekł profesor. – Dlatego uważam za błąd, że nie powiadomiliśmy od razu całej załogi. Ale te przekłete wojskowe procedury i tendencja do robienia ze wszystkiego wielkiej tajemnicy... To po prostu nieznośne. Przecież nawet Ballard nie ma pojęcia, co się właściwie stało.

Stan Sordis spojrział na holoe ekran z odczytami i westchnął. Na razie mogli sobie tylko gdybać. Dotychczas ustalili z całą pewnością jedynie to, że infradźwięki mogły wywołać niepokój u Georges'a. A to było stanowczo zbyt mało.

– Powinniśmy chyba jednak poinformować Rona, Odila i Saskię, że mogą coś napotkać – zauważył Stan.

– Doszliśmy z Romulusem do wniosku, że w razie kontaktu ich obserwacje i opinie będą cenniejsze, jeśli ich nie uprzedzimy. Ross to świetny operator, a naukowcy też mają spore doświadczenie. Poradzą sobie w razie czego.

Pomyślał, że powinien dodać „Mam nadzieję”, ale tego nie zrobił. Nie musiał.

– Miejmy nadzieję – rzekł Sordis. – I miejmy nadzieję, że to coś nie okaże się agresywne.

Profesor wzruszył lekko ramionami.

– W końcu to wyprawa eksploracyjna – mruknął. – Bezpieczeństwo to

jedno, ale też płacą nam po królewsku właśnie za ewentualne ryzyko.

– Cywilom nawet więcej – zaśmiał się Sordis. – Plus te wasze premie...

*

Na głębokości prawie pięciuset metrów panował mrok. Niezupełny jeszcze, co było zaskakujące, bo podczas treningów Ronald przywykł do tego, że na takim poziomie króluje noc. Przejrzystość tutejszej wody była jednak zdumiewająca. Wprawdzie istniały naukowe tego wytłumaczenia, łącznie z tym, że z uwagi na wzmożone promieniowanie coś w rodzaju planktonu unosiło się nad powierzchnią, a nie funkcjonowało w toni, jednak w obliczu nietypowej sytuacji odczuwał pewien niepokój.

– Dalej nic ciekawego? – odezwał się do naukowców.

Tak naprawdę nie był specjalnie ciekawy mikrobów na powierzchni skał, chyba że śpiewałyby arie operowe i tańczyły *Jeziorko łabędzie*, ale cisza była bardzo męcząca.

– Strasznie jałowe te kamienie – poskarżyła się Saskia. – Na górze są większe skupiska mikroflory i mikrofauny. A tutaj wygląda tak, jakby ktoś przeprowadził odkażanie.

– To ciekawe, bo właśnie na tej głębokości promieniowanie jest mniejsze – dodał Sammenhall. – Podłoże podobne, jakieś światło dociera, więc niektóre roślinki powinny kwitnąć, a zwierzątka mieć pożywienie.

Ronald wzruszył ramionami. Widocznie tak działała tutejsza przyroda. Nie było to wcale takie niespodziewane. Zwiększone promieniowanie mogło wpływać zabójczo na pewne organizmy, ale dla innych stanowiło wręcz katalizator rozwoju. W Akademii Floty Kosmicznej omawiali konflikt nuklearny, który wybuchł na Ziemi w połowie pierwszego wieku trzeciego tysiąclecia. W strefie wzmożonego, zabójczego dla ludzi promieniowania

zaczęły się bujnie rozwijać pewne rośliny, a niektóre zwierzęta ewoluowały w korzystnych z ich perspektywy kierunkach.

– Wracamy czy zamierzacie naciągać harmonogram także czasowo? – spytał. – Bo jeśli tak, to muszę się wynurzyć i zameldować o tym dyżurnemu. A on poleci do pułkownika. Mówić, co będzie dalej?

– Jeszcze pięć minut – odpowiedziała Saskia. – Spokojnie zmieścimy się w czasie.

– Pięć minut – potwierdził Ronald. – Od tej chwili. Potem przejmę sterowanie waszą krypą. Nie mam ochoty wylądować na opierniczu u Pie... u starego – poprawił się natychmiast, wiedząc, że stary przyk będzie miał dostęp do zapisów z ekspedycji.

Spojrzał na przyrządy. Nic się nie działo, a czujniki promieniowania rzeczywiście stanęły na wartościach tylko nieco powyżej norm.

Pięć minut. Z doświadczenia wiedział, że będzie to bardzo długie trzysta sekund. Końcówki są zawsze najgorsze. Minuty ciągnęły się jak godzina.

– Kończcie już – mruknął pod nosem, nie włączwszy oczywiście komunikatora. – Za chwilę dostanę szau.

Przymknął oczy, odetchnął głęboko.

I właśnie wtedy to poczuł. Niepokój. Wrażenie, że coś jest nie tak, jak trzeba.

– Wszystko u was w porządku? – spytał naukowców.

Saskia odpowiedziała dopiero po chwili:

– Jakoś dziwnie się czuję. A Odilo cały zeszywniał.

– Nie zeszywniałem! – zaprotestował Sammenhall. – Po prostu na chwilę mnie ścięło.

W tym momencie odczyty skanerów aktywnych ożyły, wskazując na obecność jakiegoś obiektu.

– Reflektory! – krzyknął Ron. Mógł wydać rozkaz cicho albo nawet

korzystając z aparatury subwokalnej, ale wyrwał mu się okrzyk.

Dla komputera okrętu nie miało to znaczenia, po prostu wykonał polecenie. Rozbłysły mocne światła, przecinając mrok we wszystkich kierunkach. Prawie pionowa ściana urwiska odpowiedziała całą feerią barw, ale porucznik nie miał głowy do podziwiania cudów natury. Zobaczył coś po przeciwnej stronie. I to coś sprawiło, że skamieniał na chwilę.

W wodzie rozjaśnionej łunami światła trudno było określić, w jakiej odległości znajduje się obiekt, ale skanery oceniły ją na sto metrów.

– Spore bydlę – mruknął Ronald, odzyskując panowanie nad sobą.

Biorąc pod uwagę odległość, proporcje wskazywały, że meduza ma rozmiary batyskafu badawczego, czyli jest dwa razy większa od miniaturowego okrętu Rossa.

– Doktorze Sammenhall – rzekł pilot – proszę zachować spokój i uruchomić silniki główne.

– Już – wybełkotał Odilo. – Co to jest?! O to chodziło z tą wielką tajemniczością na odprawie?

Tymczasem meduza znieruchomiła. Jeszcze przed sekundą skanery wskazywały, że zbliża się z prędkością jedenastu węzłów, a teraz wisiała w morskiej toni. Ron zorientował się nagle, że opanowało go poczucie obcości. Ten obiekt nie pochodził z tego świata, porucznik zyskał pewność w jednej chwili.

– Niech to diabli! – warknął. – Może puścić w to torpedy?

– Ani się waż! – zawołała Saskia. – To nie wykazuje zachowań agresywnych! Poza tym, co nam może zrobić meduza? Nawet taka wielka?

Ale Ron opanował się już. Wciąż się bał, zupełnie jakby metr przed sobą miał jadowitego węża, lecz zdawał sobie sprawę, że jego odczucia, skutek najbardziej prymitywnych instynktów, nie muszą być trafne.

– Dobrze – odpowiedział. – Ale na wszelki wypadek zalewam wyrzutnie

i włączam namierzanie. Tak każe instrukcja.

– Zalewaj i namierzaj – zgodziła się Saskia. – Tylko na razie nic nie rób! Odilo, ładunek skanujący!

Ron wytrenowanymi podczas wielogodzinnych ćwiczeń ruchami aktywował systemy. Kiedyś można to było zrobić głosem, ale później okazało się, że komputery jednostek bojowych odczytują neutralne w intencjach zdania jako rozkazy. Z rozmów wyławiały kluczowe słowa i tylko refleks oraz trzeźwość umysłu obsługi zapobiegały konfliktom. Teraz, aby kierować systemami uzbrojenia głosowo, trzeba było wydać osobne, autoryzowane polecenie. W sytuacji, w jakiej znalazł się pilot, polecenia manualne zabierały mniej czasu niż głosowe.

– Ładunek skanujący? – upewnił się, kiedy mógł się już skupić na tym, co się dzieje. – Przecież to oślepi nasze systemy na dobre trzy minuty!

– Co najmniej pięć – uściśliła Saskia. – Pozostanie nam tylko obserwacja wzrokowa. Ale dostaniemy maksimum informacji w ciągu sekundy, może dwóch tych przeklętych zakłóceń.

– Jasne – odparł Ronald. – Włączam systemy pasywne i aktywne.

Ładunek skanujący był czymś w rodzaju bomby elektromagnetycznej. Jak powiedziała piękna Saskia, zapewniał maksimum informacji zwrotnych, ale jego energia sprawiała, że wszystkie systemy namierzania ślepy i musiały się resetować, czasem nawet dwu- albo i trzykrotnie, jeśli po eksplozji następowały interferencje. A przy skałach mogły, a nawet musiały wystąpić. Sama idea impulsu wywodziła się z wojskowego projektu ataku elektromagnetycznego mającego zagłuszyć działanie wszelkich systemów namierzania wroga. I, jak to zazwyczaj bywa, wojenne pomysły przeszły gładko do dziedzin cywilnych, gdzie wykorzystywano je zupełnie inaczej.

– Mam nadzieję, że nie odpłaci nam pięknym za nadobne – zauważył Ronald. – Może to uznać za atak, jeśli nie jest zwierzęciem.

– Masz lepszy pomysł? – prychnęła Saskia.

Porucznik nie widział jej twarzy, ale przysięgłby, że wygląda teraz jak rozzłoszczona kotka.

– Róbcie swoje, jestem gotowy – odpowiedział, nie zamierzając wdawać się w utarczki słowne.

Zgodnie z procedurami założył pancerny hełm taktyczny, a ten przyssał się do kryzy kombinezonu. Nie powinno się stać nic, co rozhermetyzuje pancerz i poszycie, ale regulamin nakazywał takie postępowanie, a w podobnych sprawach porucznik nie zwykł z nim dyskutować. W wojsku niektóre przepisy były albo nieżyciowe, albo kiedyś nawet sensowne, lecz od wielu dekad martwe, jednak w przypadkach związanych z bezpieczeństwem rzadko zdarzały się zupełne idiotyzmy. „Nigdy nic nie wiadomo” – tego nauczyło pilotów dalekiego zasięgu i operatorów sprzętu na obcych światach samo życie, regulaminy obowiązujące w przestrzeni opracowywali zaś z reguły praktycy. A przynajmniej je poprawiali.

Meduza trwała w bezruchu. To było nieco dziwne. Gdyby była żywym stworzeniem, powinna się poruszać, utrzymując pozycję, a tymczasem nie było widać żadnych drgań. Zresztą ciało też nie wyglądało typowo. Wprawdzie zdawało się, że pulsuje, ale to mogło być złudzenie optyczne. Światło załamujące się w szklistej strukturze nie było pewnym źródłem informacji.

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden – powiedział Sammenhall. – Teraz!

Równie dobrze mógł zlecić przeprowadzenie akcji komputerowi pokładowemu czy nawet którejś z jego podstacji. Człowiek jednak ma zakodowane w psychice przekonanie, że jeśli coś zrobi osobiście, może sobie powiedzieć, że nad tym całkowicie panuje, chociaż rzadko jest to prawda.

Tak czy inaczej, ładunek skanujący poszedł. Zgęstek energii pomknął z prędkością niemal stu tysięcy kilometrów na sekundę, znalazł się przy meduzie i eksplodował.

Ron odruchowo przytknął oczy, wiedząc, że eksplozji bomby skanującej towarzyszy też promieniowanie w zakresie światła widzialnego. Odbicie od obiektu pełnego spektrum powinno przynieść mnóstwo informacji. Rejestratory pracowały pełną mocą, wszystkie systemy – oprócz bojowych – nastawione były na wchłonięcie jak największej ilości danych, zanim przestaną działać.

W ciągu setnych części sekundy skanery pasywne osłepły, aktywne zaś już się resetowały, porażone nadmiarem promieniowania. Przez najbliższe kilka minut załodze batyskafu i pilotowi miniaturowego okrętu podwodnego pozostawała tylko obserwacja wzrokowa, początkowo również niepełna, bo przesączona przez włączające się automatycznie filtry.

Przez kilkanaście sekund byli praktycznie bezbronni, pozostawało tylko liczyć na to, że obiekt, czymkolwiek jest, również zmagają się z problemami i nie może przeprowadzić ataku.

– Zdejmij filtry z kopuły i bulajów! – rozkazał Ronald sztucznej inteligencji okrętu.

– Muszę się sprzeciwić – odpowiedział chrapliwy męski głos. – Promieniowanie widzialne...

– Zdejmij, do cholery! To rozkaz na podstawie artykułu siedemnastego, paragraf trzeci! Awaryjnie!

SI nie kontynuowała już dyskusji. Procedura awaryjna oznaczała, że osłony nie schowały się, ale odpadły od kadłuba i powoli poszybowały tam, gdzie panowały zupełne ciemności. Woda dookoła wciąż kipiała światłem, a Ron doskonale zdawał sobie sprawę, że kipi też w zakresach niewidzialnych. Aktywował osłony hełmu, żeby coś dostrzec.

I dostrzegł.

Meduza znajdowała się w tym samym miejscu. Sprawiała wrażenie, jakby fajerwerki elektromagnetyczne nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia.

– Twarda bestia – mruknął Ross z mimowolnym podziwem. – Ja bym się chyba wkurzył.

– Widzisz coś? – przez trzaski zakłóceń przebił się głos Saskii. – Nasza SI odmawia zdjęcia osłon. Bez wskazań skanerów siedzimy tu jak w ciemnej dupie.

– Widzę – odpowiedział Ron. – Obiekt pozostaje w bezruchu. Zupełnie jakby pozwalał się przeświecić. Cholera ciężka, nie podoba mi się to!

Żywe stworzenie albo by zginęło, albo uciekło gdzie pieprz rośnie przerażone nadmiarem promieniowania. Nawet jeśli jego receptory znacznie różniły się od ludzkich, w którymś zakresie powinno je odbierać jak okropnie jasne światło. A może nawet jak uderzenie bądź poparzenie.

– Mów, co się dzieje – rzuciła Saskia.

– Nic się nie dzieje! – warknął niecierpliwie. – To cholerstwo wisi sobie i mam wrażenie, że teraz to ono nas skanuje!

*

Rwący Sieć był zaskoczony intensywnością doznań, a jednocześnie pozostawał pod wrażeniem ich skali. Kiedy znalazł się w odległości sześciu jednostek od skał schodzących w głębinę, na odczytach znów pojawiły się charakterystyki obiektu podobnego do tego, który napotkał cztery standardowe doby wcześniej. Przed nim znajdował się mniejszy obiekt, ale starszy badacz nie miał pojęcia, czy pozostają one ze sobą w jakimś związku, chociaż odczyty wskazywały na pokrewieństwo struktury.

Odike był teraz wyjątkowo niezadowolony, że tutejszy ocean jest tak mroczny i pełen zanieczyszczeń. Inaczej mógłby przeprowadzić obserwację za pomocą sensorów dających wyraźniejsze odczyty. A tak widział tylko rozmazane kształty, które niewiele mogły mu powiedzieć. Musiał polegać na

danych z prostego systemu skanującego, co nie gwarantowało uzyskania pełnych informacji.

– Obiekty pozostają nieruchome – zanotował w pamięci systemu kapsuły, dublując zapisy urządzeń skanujących. – Oba nie stanowią integralnej całości, zupełnie jakby pod szkieletem zewnętrznym pozostawały częściowo puste, a do tego zbudowane są z wielu struktur. To potwierdza wcześniejsze obserwacje.

I właśnie w tej chwili sygnały dochodzące do przyrządów zintensyfikowały się. W obiektach coś się działo, a ściśle rzecz ujmując, w tym większym. Ale co to mogło być, Rwący Sieć nie umiał powiedzieć. To wszystko było poza jego zdolnością pojmowania, przynajmniej w tym momencie.

Chciał się połączyć z lokalną otchłanią, poprosić o rozmowę z Podróżnikiem W Mroku, a może nawet z samym vinduke Wędrowcem Po Niebie. Aktywował już płytkę łączności, kiedy z większego obiektu wystrzeliło coś, co najpierw oślepiło jego receptory organiczne, a po chwili eksplodowało bezgłośnie i bez fali uderzeniowej, wyłączając wszystkie przyrządy. Pompa wody przestała pracować i kapsuła zaczęłaby się pewnie pogrążyć w toni, gdyby autonomiczne systemy nie wtłoczyły powietrza do pęcherzy pławnych, utrzymując pojazd w dotychczasowej pozycji.

Rwący Sieć błyskawicznie sprawdzał połączenia, ale nic nie działało prawidłowo. Czy to był atak, czy raczej samoobrona? Ta kwestia wydawała się teraz najważniejsza. Bo jeśli to pierwsze, odike stał się bezbronny, jeśli zaś było to działanie prewencyjne, zaraz po nim mógł nastąpić właśnie atak.

Lecz nic się nie działo. Wprawdzie starszy badacz nie był w stanie nic dostrzec, ale gdyby obiekty bardzo się zbliżyły, wyczułby przecież ich masę. Tymczasem zmysł grawitacyjny mówił mu, że to coś tkwi w tym samym miejscu co przedtem.

Po jakimś czasie szok zaczął mijać. Rwący Sieć spróbował uruchomić

ponownie urządzenia. Z początku szło opornie, ale czuł, że coś się jednak dzieje, więc po chwili przerwy dokonał restartu. Tym razem otrzymał odpowiedź od całej kapsuły. Postanowił sprawdzić, czym była ta eksplozja, lecz niewiele zrozumiał z danych. Wyglądało to na coś w rodzaju wybuchu promieniowania w najróżniejszych zakresach. To sprawiło, że woda stała się jeszcze mniej przejrzysta, a sylwetki obiektów jeszcze bardziej się rozmaszały.

Nic nie zostało uszkodzone, kapsuła podjęła już pracę. Nie wyglądało nawet na to, żeby się chociaż trochę postarzała, jak działo się w przypadku nawet niezbyt poważnych uderzeń.

Zatem co to było?

Obserwowane obiekty zaczęły wykazywać aktywność, lecz nie wydawały się agresywne. Rwący Sieć wyczuwał w nich pulsowanie, przepływ jakiejś masy...

I nagle zrozumiał, że one również uruchamiały swoje systemy. A to znaczyło, że eksplozja dosięgła także ich. Czyli nie miała go zgładzić, bo wówczas przeciwnik zrobiłby wszystko, żeby znaleźć się poza polem rażenia własnej broni.

W dodatku w większym obiekcie wyczuł przesuwanie się niewielkich mas. Zupełnie jakby coś w jego trzewiach poruszało się dość chaotycznie. Po chwili wszystko się uspokoiło i obiekt znów stał się jedną, choć niejednorodną strukturą.

Ale jeśli zjawiska przed nim należały do innego świata, mogło to oznaczać, że ma do czynienia z bytem inteligentnym. To jest takim, którym się interesuje, ale który również może interesować się nim. W takim wypadku mógłby zinterpretować eksplozję na kilka sposobów, chociaż żaden oczywiście nie gwarantował słuszności rozumowania. Po pierwsze, mógł to być rzeczywiście atak, chociaż nieudany, skoro nie zdeintegrował kapsuły ani Opokanina. Po drugie, mogło to być coś w rodzaju powitania, tyle że różnice gatunkowe

i kulturowe nie pozwoliły na właściwe odczytanie znaków. Po trzecie, obiekty mogły zastosować coś w rodzaju kamuflażu, co by tłumaczyło, że same znalazły się w zasięgu tego oddziaływania. I pozostawało jeszcze „po czwarte”. Skoro wysłany został impuls działający w praktycznie całym spektrum promieniowania, starszy badacz musiał się liczyć z ewentualnością, że była to próba pozyskania informacji na jego temat.

Oczywiście wszystko to mogło się okazać nieprawdą, ale innych wariantów odlike na razie nie widział, chociaż bardziej zaawansowani naukowcy mogliby dalej mnożyć hipotezy. Na razie postanowił więc uzupełnić raport.

– Potężny impuls zakłócił działanie kapsuły na... – Zawahał się, wyczuł chronometr pokładowy. Urządzenie niewiele mu powiedziało. Jako część systemów kapsuły stanęło i dopiero przed chwilą skalibrowało się do czasu lokalnej otchłani. – Na pewno upłynęło co najmniej dwa razy osiem periodów, zanim podjęły pracę podstawowe struktury pojazdu, a wyspecjalizowany sprzęt odzyskał sprawność po kolejnej ósemce. Obecnie obiekty pozostają na poprzednich pozycjach, podobnie jak kapsuła.

Śledził odczyty, ale w mętnej cieczy wciąż były zbyt niewyraźne. W zasadzie, zgodnie z regułami, powinien oddalić się z miejsca spotkania od razu po odzyskaniu sprawności przez kapsułę, lecz nie mógł się na to zdecydować. W końcu sanduke powierzył mu tę misję, aby coś ustalił, a nie umykał przy pierwszej sposobności. W dodatku Podróżnik W Mroku nie podjął decyzji sam – o wyprawie musieli wiedzieć zarówno vinduke, jak i vengu. A to oznaczało, że Rwęcy Sieć absolutnie nie mógł zawieść ich oczekiwań, nawet jeśli zasłuży na formalną karę za narażanie cennego sprzętu.

Trwał więc w tym samym miejscu, czekając na rozwój wypadków.

*

– Nie żałowaliście sobie – powiedział Ronald.

Skutki eksplozji elektromagnetycznej minęły już na tyle, że SI batyskafu badawczego wreszcie opuściła osłony. W kryształowej wodzie promienie reflektorów wydobywały przejrzystą sylwetkę meduzy.

– Cholera, to nie może być efekt tutejszej ewolucji – powiedział Odilo.

– Z czego to wnioskujez? – spytał porucznik.

– Takie mam przeczucie, a raczej poczucie – odparł Sammenhall. – Wiem, wiem, nauka nie opiera się na przeczuciach, ale one nie biorą się znikąd. Ten obiekt ma w sobie coś, co przywołuje skojarzenia ze sztuczością.

– On ma rację – Saskia poparła kolegę. – Też coś takiego mi się nasuwa. W życiu nie widziałam meduzy, która by utrzymywała się na tym samym poziomie. Zawsze wykonuje jakieś ruchy w górę i w dół. A poza tym faluje. Tymczasem to przed nami trwa nieruchomo. Tylko ta ciemna materia w środku jakby się przelewała, ale to może być po prostu załamanie światła.

– To nie jest załamanie światła – poinformował ją Ron. – Jestem nieco bliżej, ustawiony pod innym kątem, ale też to widzę.

– W takim razie ktoś ma pomysł, z czym mamy do czynienia?

– Nadajmy trzy impulsy laserowe w równomiernych odstępach i w różnych częściach widma.

– W paśmie widzialnym?

– Macie podczerwone? – spytał Ross. – Tak? No to w podczerwonym też. Szkoda, że nie dysponujemy rentgenem.

– Rentgenem dysponujemy, ale na stacji – odpowiedziała Saskia. – Dużym. Nikt tego bydlęcia nie zabierze na pokład batyskafu.

– Dobra. Wyślijcie trzy sygnały co trzy sekundy w każdym dostępnym paśmie. Zobaczmy, czy to coś zareaguje, czy będzie tak dalej wisieć. A jak z danymi po impulsie?

– Komputer je przetwarza. Na razie mamy informację, że obiekt jest albo

organiczny, albo bardzo zbliżony do organicznego. Wygląda na zwierzę lub roślinę. Pełniejsze analizy będą za dziesięć minut.

– No tak – mruknął Ron. – Nie ma czasu, za dziesięć minut tego czegoś może tu nie być.

Albo nas – dodał w myślach, lecz nie powiedział tego głośno. Sam był zaniepokojony, więc nie chciał jeszcze dodatkowo straszyć naukowców.

– Pierwsze pasmo poszło – oświadczył po kilkunastu sekundach Odilo.

– Drugie poszło – zameldowała Saskia.

– Szkoda, że nie możemy spróbować poddźwiękowo – zauważył Ronald. – To by chyba było dla tego czegoś łatwiejsze do odczytania.

Po kilku minutach wszystkie dostępne pasma sygnalizacji laserowej zostały wykorzystane. Tymczasem obiekt wciąż wisiał nieruchomo. Już samo to świadczyło, że nie jest przedstawicielem świata naturalnego, lecz sztucznym tworem. Wprawdzie zwierzęta potrafią zastygnąć na wiele godzin, ale tylko ukrywając się lub czatując na zdobycz, nie zaś kiedy stają oko w oko z czymś nieznanym, czego nie potrafią ocenić. Tak przynajmniej było na wszystkich światach, jakie porucznik miał okazję odwiedzić.

– Niech to diabli – burknęła Saskia. – Nic.

– A jakiej spodziewałaś się reakcji? – spytał Ron.

– Pojęcia nie mam. Jakiejś. Jakiegokolwiek!

Ross zastanowił się. A gdyby tak... Kto wie?

– Słuchajcie, stuknę go sonarem – zaproponował.

– Jeśli nawet mocne sygnały świetlne... – zaczął Sammenhall.

– A skąd wiemy, w jakich pasmach to coś operuje? – przerwała mu Morre.

– Co, jeśli używa infradźwięków? Dobrze, spróbuj.

Ron uruchomił sonar. Na batyskafie naukowym go nie mieli, ale wojskowy sprzęt wciąż jeszcze wyposażano w proste środki namierzania. Na wszelki wypadek.

– Daję impulsy – zawiadomił naukowców. – Trzy co trzy sekundy.

Dźwięk poleciał przez wodę, skupił się na obiekcie i wrócił do odbiornika. Trzy krótkie impulsy.

– Dalej nic – stwierdził z rozczarowaniem Odilo. – To chyba jednak...

I wtedy rozległ się ogłuszający dźwięk. Ron poczuł wibracje pokładu pod stopami, wskaźniki i ekrany przyrządów zadrżały, a dane się rozmazały. Na chwilę wszystko się uspokoiło, lecz zaraz ryk znów wypełnił pomieszczenie, a potem jeszcze raz.

– Co to było? – spytał oszołomiony mikrobiolog. Batyskaf, jako obiekt cywilny, nie był wyposażony w tak dobre systemy tłumienia jak maszyna wojskowa, więc naukowcy nieco mocniej niż Ron odczuli drgania.

– Wydaje mi się... – zaczął Ross, lecz urwał.

Nieruchomy do tej pory obiekt nagle skoczył w prawo, potem w górę, a następnie pognał, ciągnąc za sobą sznur bąbelków efektu kawitacyjnego.

– Szlag jasny – odezwał się znowu Sammenhall. – O mało nie ogłuchłem!

– Coś mi się zdaje, że otrzymaliśmy odpowiedź na nasze sygnały – powiedziała Saskia. – I że naprawdę mamy do czynienia z przedstawicielem nieznaney nam cywilizacji albo jej wytworem...

– Wracamy! – zdecydował Ronald. – Natychmiast i bez dyskusji! Łączę się z pułkownikiem Dethardtem, więc darujcie sobie głupie teksty w eterze. Poza zresztą też.

– Nie mamy ochoty na żadne teksty – zapewniła pilota Saskia. – Ani mądre, ani głupie. Będziemy analizować materiał.

*

Romulus Dethardt czekał na przystani sprzętu pływającego i podwodnego. Przy krótkim plastonowo-aluminiowym nabrzeżu zacumowano kilkanaście

jednostek różnego typu. Pułkownik przechadzał się niecierpliwie w workowatym skafandrze, który na nim leżał jak doskonale skrojony mundur.

Wysiadając z miniaturowego okrętu, Ronald spojrzął na Dethardta z mimowolnym podziwem. Prawdziwy oficer w każdym calu. Ale zaraz sobie przypomniał, co ten przeklęty trep, słusznie zwany Pierdołą, potrafi, kiedy jest wzburzony. A teraz niewątpliwie był.

– Dlaczego nie meldowaliście od razu o kontakcie?! – krzyknął tak, że słuchawki hełmu porucznika zaskrzeczały w proteście.

Ron zmniejszył głośność.

– Bo nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia – odpowiedział tak spokojnie, jak tylko mógł, chociaż miał ochotę wrzasnąć na Dethardta, a najlepiej potrząsnąć nim.

– Powinniście meldować natychmiast po zobaczeniu obiektu!

Porucznik nie odezwał się, a nabuzowany pułkownik nagle odpuścił.

– Dobra, od razu dawajcie wszystko, co macie, do głównej SI stacji – polecił naukowcom. – Prosto z batyskafu, nie chcę żadnej zwłoki. A potem narada. Obecność wszystkich obowiązkowa!

– Zdamy coś zjeść? – spytał Sammenhall.

Ronald aż przymknął oczy. Czy ten facet nigdy się nie nauczy? Mało mu regularnych opieprzów? Chyba że to lubi. Ale Dethardt nie był w swoim zwyczajnym nastroju, więc zamiast wykładu na temat obowiązków i stwierdzenia, gdzie dokładnie ma stan żołądka jaśnie pana naukowca, warknął tylko:

– Nie! – Ruszył, zostawiając porucznika z tyłu, ale nagle zatrzymał się i odwrócił. – Zaraz, a ty gdzie leziesz?! Zasuway do okręciku i prześlij materiał do SI!

– Wszystko, co zarejestrowałem na lilipucie, mają naukowcy. Wyślą komplet.

Pułkownik stał przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Nie miał już się do czego przyczepić, a to nie była dla niego komfortowa sytuacja.

– No to zasuwasz na stację! Czego sterczysz?! – warknął wreszcie, po czym odwrócił się i długimi krokami poszedł przed siebie.

– Tak jest – odpowiedział Ross.

Nie zamierzał dotrzymać kroku dowódcy. Po pierwsze, wysoki jak wieża były komandos miał długie nogi i był szybki, a po drugie, towarzyszenie mu mogłoby się skończyć kolejnym ruganiem.

– Już przesłaliśmy dane – powiedziała Saskia. – Poczekaj, razem pójdziemy.

Ron stał, czekając na nich. Jednostki pływające chwiały się lekko na falach. Zadziwiający był klimat tej planety. Nad tak wielkim akwenem powinny szaleć sztormy, a nawet zdarzać się cyklony. Tymczasem tutaj pogoda była stabilna jak nigdzie na Ziemi, jak na żadnym globie z atmosferą, który widział porucznik.

Nie żeby narzekał, w końcu lepiej mieć spokój, niż go nie mieć, ale to było naprawdę niespotykane. Zastanawiał się nawet, czy jakiejś roli nie odgrywają w tym te chmury drobnych organizmów, które tak lubił obserwować. Prowadzono kompleksowy pogodowy nadzór satelitarny całej planety, lecz na razie nie znaleziono wystarczająco wiarygodnego wytłumaczenia tej anomalii. Na całym globie klimat był mało dynamiczny, chociaż zdarzały się zjawiska meteorologiczne, ale w miejscu, gdzie założono stację, wyjątkowo nie dawał się we znaki. Zresztą dlatego właśnie tutaj została umiejscowiona.

O tej porze dnia ocean nabrał barwy szafirowej przy brzegu, a zielonkawoszarej w oddali. Oba te kolory, choć pozornie kontrastujące, harmonijnie współgrały na podobnej zasadzie jak intensywna zieleń koron drzew z ostrym błękitem nieba. To była po prostu natura, a z nią się nie dyskutuje.

– Pięknie, prawda? – powiedziała Saskia, podążając wzrokiem za spojrzeniem Ronalda. – Aż by się chciało wyskoczyć z kombinezonu i zanurzyć w tej wodzie.

– To możliwe – mruknął Ron.

– Słucham? – Morre popatrzyła na niego zdumiona. – Przecież nie wolno wychodzić bez strojów ochronnych i hełmów.

Ron pokiwał głową.

– Zgadza się, nie wolno. Ale można.

– Nie rozumiem – wtrącił się Sammenhall.

Porucznik zerknął na oddalającego się pułkownika, sprawdzając, czy na pewno znalazł się poza zasięgiem radia bliskiego kontaktu. Kombinezony były wyposażone w małe, ale dość mocne radiostacje, jednak miały też radia służące do komunikowania się na niewielkich dystansach. Dzięki temu eteru nie zaśmiecały rozmowy prowadzone w pracujących na zewnątrz grupach, które nie potrzebowały łączności z bazą, a przy tym zużywało się mniej energii.

– Kilkuminutowe wdychanie amoniaku da się przeżyć – powiedział cicho, ale zaraz zorientował się, że w przypadku fal radiowych natężenie głosu nie ma znaczenia, i dodał głośniej: – Można też założyć proste filtry, wystarczające na godzinę, a nawet nieco dłużej. A woda jest tutaj wspaniała.

– Tylko że ma cholernie wysokie tło promieniowania.

– Ma – zgodził się Ross. – Jednak wystarczy prysznic odkażający, żeby uniknąć konsekwencji.

Odilo prychnął tylko pogardliwie i machnął ręką, ale Saskia wyglądała na zaaferowaną.

– Dałoby się to zrobić?

– Jak dotąd kąpałem się tylko raz, ale chętnie bym to powtórzył. Trzeba tylko trafić na odpowiedni skład dyżurujących.

Sammenhall szedł przed nimi, nie zwracając już uwagi na rozmowę.

– Jakby co, to ja chętnie – oznajmiła Saskia. – Będiesz o mnie pamiętać?

– O tobie trudno zapomnieć – wyrwało się Ronowi, lecz zaraz się zreflektował. – Przepraszam, nie chciałem...

Odpowiedział mu perlisty śmiech kobiety.

– Nie ma za co – stwierdziła. – Raczej to ja powinnam podziękować za komplement. Może niewyszukany, ale na pewno szczery.

Ronald cieszył się, że ma na głowie hełm, bo nie było widać, że spiekł raka, zupełnie jakby był chłopcem. Że też przyszedł mu do głowy taki banalny koncept. Ale przecież był po prostu szczery, nic więcej.

– To jak? Jesteśmy umówieni? – spytała. – Chętnie się przekonam, jaka jest w dotyku ta cudowna z wyglądu woda.

– Nieziemską – odpowiedział Ron, zadowolony, że kobieta wróciła do tematu. – Z początku sam nie mogłem uwierzyć, że ciecz potrafi tak pieścić skórę. Ale w końcu musiałem.

– Kuisz – zamruczała Saskia. – Czemu wcześniej nie wiedziałam... – Mówiła coraz wolniej, a potem nagle skonstatowała: – No tak, wojskowi. Robicie różne rzeczy po swojemu i niekoniecznie zgodnie z regulaminami, co?

– Zawsze według przepisów – odpowiedział z godnością Ross, ale nie wytrzymał i parsknął śmiechem. – Pewnie, że je naginamy.

– Taaak? – Saskia zdziwiła się z przesadą. – A ja zawsze myślałam, że wy tylko wedle regulaminu, na baczność i *semper fi*...

– *Semper fi* to akurat dewiza Korpusu Marines – zaśmiał się Ron. – Piloci mają inne dewizy, operatorzy jednostek specjalnych jeszcze inne. Ale pomyśl, czy to „zawsze wierni” zawiera jakiegokolwiek zobowiązanie do przestrzegania regulaminu.

– Nie zastanawiałam się nad tym – przyznała kobieta. – Ale taki żołnierz „zawsze wierny” chyba powinien być wierny także przepisom, prawda?

– Boziu kochana. – Ron wzniosł oczy w jasnofioletowe niebo. – Dobrze, że nie ma z nami żadnego marine. Dałby ci popalić za nazywanie ich żołnierzami!

Saskia zmarszczyła brwi – tego porucznik był pewien.

– Obawiam się, że nie rozumiem – powiedziała chłodno. – Dla mnie każdy w wojskowym mundurze to żołnierz.

– Właśnie... – Gdyby westchnienie oddawało w pełni stan ducha, w skafandrze Ronalda zapanowałby prawdziwy huragan. – Cywilom od wieków zdaje się, że to wszystko jedno. Tymczasem w wojsku panuje ścisły podział. Niby żołnierzem jest każdy, kto należy do formacji militarnej, ale musisz wiedzieć, że pilot to zawsze pilot, jak ja. Marynarz to marynarz, nieważne, czy pływa po morzach planetarnych, czy służy na statkach liniowych, transportowcach czy okrętach międzygwiazdnych. A piechota morska to piechota morska, bez względu na to, gdzie delikwent pełni służbę.

– A żołnierz? – Saskia nadal nie bardzo rozumiała niuansy wywodu porucznika.

– A żołnierz to w zasadzie piechociarz. Pancerniaków też często nazywa się żołnierzami, ale służba w jednostce pancernej to jednak coś innego niż mieszanie błota własnymi kopytami. Dawniej, kiedy armia opierała się w dużej mierze na konnicy, kawalerzyści także mieli własne określenia: kirasjer, ułan, huzar, husarz, dragon, pancerny, spahis. Nazwałabyś takiego żołnierzem, a mogłabyś nie dożyć następnego tak głupiego ich zdaniem pytania. Chociaż... tobie może by uszło na sucho.

Saskia zaśmiała się, ale tym razem nie skomentowała słów porucznika. Sam natychmiast się zorientował, że znów palnął gafę. Niech to szlag!

– Zaczynam rozumieć – powiedziała doktor Morre. – W świecie naukowców też można znaleźć takie obyczaje i przesady, chociaż nikt za to raczej nie tłucze nikogo po głowie ani nie wyciąga sploty. Doktor doktorowi nierówny, profesor profesorowi zresztą też.

– I sami naginacie własne regulaminy, z tego, co wiem – dodał Ron.

– Ależ pieprzycie! – rzucił nagle wyraźnie poirytowany Odilo. – Co to kogo obchodzi, ludzie? Jedni mają tak, drudzy inaczej, a przepisy łamią wszyscy. Najczęściej ci, co zarzekają się, że nigdy tego nie robią. Truizm, nie? Ale przynajmniej logiczny. Piloci, marines, komandosi czy inne zwierzęta. Kogo to obchodzi?

Ronald przez chwilę zastanawiał się, czy nie złapać doktora i nie wykazać mu namacalnie różnicy między wyszkolonym wojskowym a sflaczałym cywilem, ale zrezygnował. Gdyby nie mieli na sobie ubiorów ochronnych, może by się zdecydował, lecz teraz wyglądałoby to co najwyżej śmiesznie, jeśli nie żałośnie.

– Sammenhall, wiesz co? – odezwała się Saskia.

– Nie wiem, bo jeszcze mi nie powiedziałaś – burknął.

– Ty nie jesteś chłopem. Jesteś zwykłym smętnym fiutem – oświadczyła takim tonem, jakby ogłaszała zwycięstwo kandydatki w konkursie piękności. – Skrajnie obwisłym, żeby nie było wątpliwości. Właśnie wygrałeś romantyczną jednoosobową wycieczkę na planetę Masturbo w układzie Onanii. Myślę, że nie będziesz się nudził.

Odilo dłuższą chwilę nie odpowiadał, a Ron myślał w tym czasie, że nawet gdyby stłukł doktora na kwaśne jabłko, efekt nie byłby tak porażający, a upokorzenie większe.

– Mówiłem ci kiedyś, że cię nie trawię? – spytał wreszcie Sammenhall.

– Niejednokrotnie, kochany. Niejednokrotnie – odparła Saskia. – A teraz przymknij się łaskawie, kiedy dorośli rozmawiają.

Odczekała moment, ale ponieważ mikrobiolog nie zbierał się do riposty, wróciła do tematu.

– Ron, powiedz jeszcze, jak to jest pływać w tej wodzie.

– Sama się przekonasz. – Ross wzruszył lekko ramionami. – Opowiadanie

niewiele tu da. To trzeba przeżyć samemu.

– Przeżyć albo i nie – burknął Odilo.

– Zamkniesz się wreszcie?! – ofuknął go Ronald i zaczął się śmiać, bo w tym samym momencie Saskia powiedziała to samo.

– Raz, dwa, trzy, moje szczęście!

To także powiedzieli jednocześnie, co wywołało kolejny wybuch śmiechu.

– Powinniście się pobrać – zauważył naukowiec urażonym głosem. – Wyjątkowa jednomyślność.

– Chodź, złapiemy go, rozbierzemy i utopimy gdzieś kawałek od przystani – odezwała się Saskia.

– A szefom powiemy – podchwycił Ronald – że z wody wyskoczyła ta meduza i porwała biedaka.

– W stronę otwartego morza oczywiście? – upewniła się kobieta.

– Może być. Chociaż lepiej byłoby powiedzieć, że porwała go w każdą stronę po trochu.

Śmiech Saskii był głośny i zaraźliwy. Ronald również chichotał, a po chwili dołączył do nich także Sammenhall.

– To było niezłe – powiedział z uznaniem. – Stary dobry angłosaski dowcip. Nie to, co współcześni rozśmieszacze z ich żenującym kopaniem się po tyłkach.

– Czyli co, zgadzasz się? – zapytała Morre.

– Oczywiście – rzekł naukowiec. – Tylko nie bardzo wiem, jak ta bestia miałaby mnie porwać spod śluzy stacji. Tu jest gęsty monitoring.

Rzeczywiście, znajdowali się dwadzieścia pięć, może trzydzieści kroków od stacji. Droga z przystani, zazwyczaj dłużąca się każdemu, kto wracał z patrolu, tym razem wydawała się bardzo krótka.

3

Rwący Sieć czekał w niewielkiej jaskini dla petentów przed gniazdem naukowym vengu Ostrza Światła. Najstarszy uczyony, vinduke Wędrowiec Po Niebie, odbywał właśnie naradę z dowódcą wyprawy. Rwący Sieć zastanawiał się, o czym tak długo deliberują, ale nie odważył się wysunąć kończyny i przyssać do ściany, aby wychwycić wibracje. Może nie umiałby przetworzyć sygnałów na zrozumiałe słowa, gdyż dolne kasty porozumiewały się własnym, niezrozumiałym dla niewtajemniczonych kodem, opartym nie na systemie ósemkowym, lecz zmiennym, a poza tym ich członkowie mogli również porozumiewać się techniką zupełnie dla niego niedostępną, ale miałyby szansę wyczuć ich nastrój i ogólne intencje. Jednak gdyby został przyłapany na inwigilowaniu dowódców, w dodatku członków znacząco niższych kast, miałyby duże problemy. Skłonny do radykalnych rozwiązań przewodniczący trybunału mógłby skazać go nawet na kilka lat nieświadomości. A dla większości karanych było to coś gorszego niż pełna dezintegracja. Poza tym istniała możliwość, że fałszywie odczyta sygnały i kiedy pojawią się vengu z vinduke, zareaguje nieadekwatnie, co byłoby jeszcze gorsze niż przyłapanie na gorącym uczynku. Nigdy już nie miałyby najmniejszej nawet szansy, aby zająć istotniejszą pozycję wśród naukowców. Zostałby napiętnowany na zawsze.

Dopiero w tej chwili w całej pełni dotarło do niego, dlaczego tak właśnie zostało skonstruowane prawo Opoki. Czy on sam chciałby, aby

Niewyczuwalni lub – co gorsza – Nietostrzegalni słuchali jego rozmów? O Nieobecnych nawet nie wspominając...

Trwał więc przed gniazdem vengu i czekał, aż go wezwą. Jeśli wezwą, bo mogli przecież dojść do wniosków, które wykluczały odike z dalszego działania. Wszystko było możliwe. Wprawdzie we własnym przekonaniu zachował się, jak trzeba – odebrał sygnały obcych obiektów, rozważył wszystkie za i przeciw, skonsultował się z młodszym uczonym Podróżnikiem W Mroku i otrzymał zgodę na misję – ale to nie oznaczało, że bliżsi Otchłani uznają to za godne pochwały działanie. Sanduke nic się nie stanie, w końcu uczestniczył tylko w realizacji projektu starszego badacza, więc nie mógł ponosić za to odpowiedzialności, ale los Rwęcego Sieć zależał od opinii Ostrza Światła i Wędrowca Po Niebie.

Odike wciąż nie mógł się zdecydować, czy miał do czynienia z obcą rasą i świadomością, czy też natknął się na jakieś wybitnie wyspecjalizowane stworzenia z tego świata. Zadziwiało go, że najpierw impulsy od nich dobiegały w bardzo słabo dostrzegalnych pasmach nadcieplnych i niedźwiękowych. Były regularne, lecz łatwo je było pomylić ze zwykłymi sygnałami płynącymi z mętnej wody, w której roiło się tu od zanieczyszczeń zwodzących aparaturę. Wypływając w tutejsze głębiny od długiego już czasu, zdążył przywyknąć do takich anomalii, które na tej planecie były normą.

Lecz kiedy w górnych rejestrach odebrał sygnał dźwiękowy, regularny i rozciągnięty w periodach do najdrobniejszych ich części, uznał, że obiekty przed nim albo zawierają świadomość, albo są przedstawicielami świadomości, jakimiś urządzeniami. Szczególnie ten, w którym wyczuł fluktuacje masy, a nie ten, z którego wyszedł mocny sygnał. Trzy sygnały w regularnych odstępach czterech periodów. Być może w pojęciu nadawcy interwały były liczone inaczej niż w czterotakcie, ale zapewne chodziło o regularność. O porozumienie na najniższym możliwym poziomie.

Tak się Rwącemu Sieć wydawało. Jednak czy jego przełożeni będą rozumować podobnie? Tego nie mógł być pewien.

Gdy nadał własną sekwencję i, zgodnie z procedurą, oddalił się jak najprędzej, nic już nie zależało od niego. Zdał się na osąd dowódców, zresztą również zgodnie z procedurami. To oni decydowali, co jest słuszne, a co nie, i to do nich należało ostatnie słowo.

Wreszcie w otworze gniazda ukazała się sylwetka najstarszego uczonego.

– Wejdz, odike Rwący Sieć – powiedział. – Musimy porozmawiać.

To nie zapowiadało niczego złego. Wręcz przeciwnie. Termin „porozmawiać” oznaczał bardziej partnerską wymianę myśli niż zwyczajowe i regulaminowe „skonfrontować informacje”.

Gdy Rwący Sieć wśliznął się do środka, dostrzegł Ostrze Światła przy podzielonej na sekcje centralnej płycie pracowni. Dowódca był do niej przyssany wszystkimi górnymi kończynami. Na starszego badacza zdawał się nie zwracać uwagi, choć odike wiedział doskonale, że obserwuje go bacznie, korzystając nie tylko z własnych zmysłów, ale także z urządzeń rozmieszczonych w całym gnieździe.

– Zajmij miejsce przy pulpicie, odike Rwący Sieć – nakazał vinduke. – Mamy do ciebie pytania. Oczywiście, jeśli zdołasz na nie odpowiedzieć.

To była kolejna próba. Starszy badacz znał schemat i zasadę takich testów. Zadadzą mu szereg pytań, a on nie będzie wiedział, które są istotne, a które nie. Dopiero jeśli przejdzie próbę, zacznie się konkretna dyskusja. W kontaktach z ważniejszymi kastami za każdym razem trzeba się było wykazać fachowością, mądrością i plastycznością monoświadomości. Na uczelni wykładowcy z uporem powtarzali, że każdy głupiec potrafi rozwiązać problem, przebywając w dwuświadomości, ale gubi się, gdy zostaje sam ze swoją niepełną częścią rozumu.

– Nie, odike – oznajmił niespodziewanie Wędrowiec Po Niebie, w dodatku

korzystając z transmisji akustycznej – nie będzie żadnych prób ani testów. Sprawa jest zbyt poważna, abyśmy mieli z całą surowością przestrzegać zasad. Obaj wiemy, co myśleć o możliwościach twojej monoświadomości. Jest niedoskonała, nie może się równać ze świadomością któregośkolwiek z nas, jednak na tyle sprawna, by dokonywać skomplikowanych operacji. Dlatego chcielibyśmy się dowiedzieć, co sądzisz o obiektach, które napotkałeś.

Rwący Sieć był rad, że oszczędzono mu kolejnego egzaminu, ale jednocześnie wolałby przejść całą procedurę. W tej chwili bowiem starsi naukowcy na niego przerzucali większość odpowiedzialności, jeśli nie całą. A przecież to oni z urodzenia znajdowali się bliżej Otchłani, zatem oświecenie ich monoświadomości powinno być o wiele doskonalsze niż jego. Słusznie to zauważył Wędrowiec Po Niebie. Monoświadomość lepszych, od Nielicznych w dół, nazywano nawet czasem półtoraświadomością, choć był to termin oficjalnie zakazany. W każdym razie ich organizmy zawierały na tyle wartościową sangis, że wszelkie procesy fizyczne i umysłowe przebiegały u nich sprawniej niż w wyższych kastach.

Lecz nie miał wyjścia, musiał podporządkować się woli przywódców. Włączył na chwilę uśpiony na ogół zmysł, żeby spojrzeć na ich aury. Vinduke lśnił niczym fala morską, w której odbija się promień gwiazdy centralnej, a vengu emanował tak jasno, jakby sam był tym promieniem. Rwący Sieć zdawał sobie sprawę, że jego aura jest blada i przy tych wspaniałościach może się wydawać czymś w rodzaju mętnej kałuży w wiecznym błocie zakazanego kontynentu Przekleństwo Nieba.

– Mów! – polecił Ostrze Światła. – Jak to wyglądało w twoich receptorach?

Rwący Sieć zastanowił się. A potem postanowił zaryzykować.

– Czy nie wolelibyście, czcigodni, abym przekazał to przez sensory? Taki

sposób będzie pełniejszy, choć nie odda dokładnie wszystkiego. Jednak włożę weń moje spostrzeżenia, doznania i wrażenia.

Lepsi zamilkli na chwilę. Odike wiedział, że wbrew pozorom bezczynności właśnie intensywnie się naradzają. Wreszcie odezwał się Wędrowiec Po Niebie.

– Zdziwiasz nas, odike Rwący Sieć. Lecz twoje propozycje dorównują poziomowi twojej rzetelności. Zgadzą się. Przekaż nam bezpośrednio informacje, nie tylko z twoimi wrażeniami, ale także koniecznie z wnioskami. To osobiste żądanie vengu.

Rwący Sieć poczuł, jakby stracił co najmniej połowę swej sangis. Sam vengu był ciekaw jego wniosków? To było wręcz niewyobrażalne przy takiej różnicy kast i warstw. A jednak stało się faktem.

Odike prześliznął się w pobliże głównego stanowiska, położył kończyny na dużej płycie komunikacyjnej i poczekał, aż się z nią połączy.

– Jestem gotów – oznajmił. Ośmielił się to nadać akustycznie i aż się skulił w oczekiwaniu połajanki, lecz żaden z lepszych nie zareagował. Zupełnie jakby nie zauważyli zuchwalstwa.

Zbliżyli się do płyty i również położyli na niej kończyny, choć tylko po dwie. Nie potrzebowali więcej do odbioru komunikatów przedstawiciela podrzędnej kasty. Ich zmysły były o wiele doskonalsze, więc zamiast informacji na innych poziomach otrzymaliby jedynie szum. Gdy vengu przyssał się i zjednoczył z urządzeniem, przez świadomość odike przemknęła jego refleksja, że będzie musiał gruntownie odkazić zbrukane dotykiem starszego naukowca stanowisko, ale zaraz przepadła w ciszy oczekiwania.

Rwący Sieć stłumił własne odczucia i bardzo głęboko schował przemyślenia natury społecznej. Zapewne ci dwaj, ukształtowani z lepszej sangis, nie zwróciliby większej uwagi na opinie starszego naukowca, lecz ostrożność w stosunkach z niższymi kastami była zawsze wskazana. Mogli

zlekceważyć jego refleksje, ale mogli też użyć swoich wpływów, aby go zniszczyć. I może nie tylko jego, lecz całe ramię powinowatych zuchwalca. W końcu Opokan zajmujących wyższe piętra w leju Otchłani było jak ziaren piasku na dnie oceanów, nikt nie wiedział dokładnie ilu, bo też nikt nie prowadził dokładnych badań. O gorsze kasty nie trzeba było się troszczyć, ich sangis była niewiele warta dla lepszych i starszych. Władcy Opoki mieli ich za nic. Tymczasem odkrycie źródeł życiodajnej substancji na tej planecie, nazwanej przez pierwszą wyprawę Obłokiem, mogło uratować wyżej postawione społeczeństwo Opokan. Jedno tylko dziwiło Rwęcego Sieć – dlaczego jego przełożeni nie okazywali wielkiej radości, mając na wyciągnięcie ręki rozwiązania wszelkich problemów, przynajmniej na długi czas.

Właśnie wszystkie te rozważania zepchnął odike w najdalsze warstwy monoświadomości. Nie wydobydzie ich wcześniej niż przy następnym Zjednoczeniu. Chociaż nie... Znał siebie i wiedział, że podczas najbliższego odpoczynku znów przywoła refleksje. A podczas zejścia do Otchłani tylko je będzie czytelował. Gdyby jego mocodawcy wiedzieli, w jaki sposób wykorzystuje dostęp do lepszej sangis, niż należała się warstwie, z której pochodził, zapewne nie tylko pozbawiliby go prawa do używania sprawniejszych sarkofagów, ale także zesłali do którejś kolonii i nie wyjrzałby z czeluści zakładów hodowlanych do końca swojej marnej egzystencji. A może nawet skończyłby w fabryce nawozów.

– Zwlekasz! – nadał ze zniecierpliwieniem Ostrze Światła. – Czy sam mam dokonać przeglądu twoich pakietów informacyjnych?

Rwęcy Sieć natychmiast zaczął nadawać. Lepszy otrzymał pełny zapis spotkania z obiektami zmagazynowany w pamięci najświeższej. Odike z pewnym żalem skonstatował, że w ich doskonałych umysłach pliki te pozostaną w nienaruszonym stanie dowolnie długo, podczas gdy jego

stopniowo będą ulegać zatarciu, a wreszcie rozkładowi. Jeśli nie odnowi ich co jakiś czas w magazynie danych lokalnej otchłani, z czasem przestanie uważać je za własne wspomnienia. A potem w ogóle znikną.

– Przestań natychmiast! – syknął Wędrowiec Po Niebie. – Twoje jęki przeszkadzają nam w odbiorze!

Odike zreflektował się, zsunął niechciane myśli głęboko i umieścił obok pozostałych.

– Proszę o wybaczenie – nadał, wkładając w komunikat całe pokorę i wstyd, jakie poczuł. – Wciąż odczuwam skutki...

– To nieistotne – przerwał mu Ostrze Światła. – Nikogo nie ciekawią twoje przeżycia i przemyślenia. Rozładuj pakiety do końca!

Rwący Sieć skupił się na zadaniu. Odsunął wszystko, co mogłoby mu przeszkadzać mentalnie, stał się przezroczysty i w pełni dostępny dla lepszych. A ci błyskawicznie wysłali z niego informacje. Gdy skończyli, już zaczął odczuwać to, co tak niedawno przeżył, jako coś mniej realnego niż przed chwilą. I tak było to lepsze niż żądanie ofiary z kończyny informacyjnej, ale sprawiło, że starszy badacz poczuł się mocno zdezorientowany.

– Czy wolno mi będzie odświeżyć przeżycia? – zapytał ostrożnie.

Wciąż jeszcze wszyscy byli podłączeni do płyty komunikacyjnej, więc od razu poczuł negację vengu, jednak po chwili dowódca zmienił zdanie, przychyłając się z jakichś względów do opinii vinduke, że należy mu na to pozwolić. Jednak z jakich, tego odike nie miał się dowiedzieć, w każdym razie nie teraz.

– Tak. Z pełną wiedzą możesz się przydać bardziej niż z jej szczątkami – oznajmił Ostrze Światła. – Zezwalamy ci również na zabranie pełnych pakietów, kiedy będziesz schodził następnym razem do Otchłani.

– Dziękuję, czcigodny – powiedział Rwący Sieć, wkładając w komunikat całą wezbraną i pieczołowicie zebraną wdzięczność.

– Na razie możesz się oddalić – polecił vinduke. – Musimy teraz dokonać analiz i przekazać je świadomości lokalnej otchłani. Sanduke Lśniący Bez Skazy wyznaczy ci następne zadania. Ty i młodszy badacz Pełzający Głaz wyruszyście na rekonesans do obszaru domniemanego kontaktu.

Rwący Sieć skurczył się i opuścił wysunięte ramiona na znak szacunku, po czym oddalił się do pomieszczenia odpraw przy gnieździe Lśniącego Bez Skazy.

*

– Wysłałem patrole w rejon tak zwanego kontaktu – powiedział major Hektor Dalostopulos, zastępca pułkownika Dethardta oraz dowódca połączonego zespołu pilotów i operatorów maszyn. – Dwa w pełni uzbrojone liliputy z kompletnymi załogami i dwa batyskafy opancerzone. Do tego trzy motorówki i dwa obserwacyjne drony lotnicze.

– Jakiś naukowiec z nimi popłynął? – upewnił się Solimow.

– Po jednym w każdym batyskafie – odparł Hektor. – Oczywiście wszyscy z zespołu mieszanego. W takiej sytuacji nie wolno mi angażować cywilów bez ich i pana zgody, a miałem zbyt mało czasu, żeby to z panem uzgodnić.

– Na przyszłość proszę również dysponować moimi podwładnymi – rzekł profesor. – Oczywiście wyłącznie za ich zgodą, gdyż dowództwu wojskowemu podlegają tylko w stanie najwyższej konieczności. Jestem pewien, że większość z nich chętnie wzięłaby udział w ekspedycji.

Dalostopulos uśmiechnął się. W odróżnieniu od swojego bezpośredniego przełożonego nie był sztywnym żołdakiem. Podobnie jak ulubieniec profesora, Ronald Ross, miał sporo z naukowca. Solimow zdawał sobie sprawę, że wyższego stopnia oficerskiego nie dostał za darmo. Nie on. Major urodził się na jednej z wysp greckich, a ludzie z tamtego rejonu zasadniczo nigdy nie byli

traktowani ulgowo, chyba że pochodzili z bogatych rodzin. Ale cóż, bogacze tworzą jakby osobną rasę i zawsze mają łatwiej, niezależnie od miejsca urodzenia. Tyle można było powiedzieć o sławetnej powszechnej równości gatunku ludzkiego po Wielkim Zjednoczeniu.

– Oczywiście, panie profesorze. Przyznam, że musiałem się od nich opędzać jak od natrętnych much! Gdyby był pan w tamtym momencie dostępny, na pewno któryś z nich by popłynął. Żądza wiedzy potrafi przemóc chyba każdy lęk. Z mieszanej kadry naukowej wysłałem porucznika doktora Stana Sordisa i podporucznik Alenę May, jako że on jest doświadczonym biologiem i fizykiem, a ona egzobiologiem.

– Bardzo dobrze. – Rosjanin pokiwał głową i spojrzał na Dethardta, który z chmurną miną słuchał raportu swojego zastępcy. – Pułkowniku, możemy chyba zaczynać?

Dowódca powstrzymał westchnienie. Wiedział doskonale, co się za chwilę będzie działo. Cała ta cywilbanda i półcywilni idioci zaczną dyskutować i skakać sobie do gardeł. Nie miał złudzeń, że wojskowym udzieli się to szaleństwo. Jajogłowi nazywali takie spędy „burzą mózgow”, ale Dethardt miał nieodparte wrażenie, że powinno się to nazywać „magłem półmózgow”. Nieraz już słyszał z ust ludzi, których uważał za całkiem inteligentnych, tak kretyńskie hipotezy, że czuł zażenowanie i złość. Jednak właśnie „burza mózgow” stanowiła nieodzowny element procedury naukowej, przepisy wręcz jej wymagały. On sam najchętniej zamknąłby teraz tych wszystkich szykujących się do dyskusji baranów w ciasnym pomieszczeniu, rzucił im trochę noży, cięższej broni siecznej i kilka blasterów, po czym wrócił parę godzin później z zespołem robotów sprzątających i ekipą tak zwanych „archeologów”, czyli żołnierzy wyspecjalizowanych w zbieraniu i kompletowaniu szczątków ludzkich. Inna rzecz, że na wyprawy naukowe akurat „archeologów” nie wysyłano...

Będzie tak: najpierw profesor zagai mądrze, potem zapadnie cisza, następnie zacznie gadać najgłupszy człowiek na sali, a po kilku, najdalej kilkunastu minutach rozpęta się piekło. Piekło, nad którym nie zdoła zapanować nawet on ze swoją marsową miną i budzącą powszechny respekt postawą. No, może przez jakiś czas cywile będą się pilnować, żołnierze nieco dłużej, ale potem... Szkoda słów.

W tym momencie profesor zatarł dłonie.

– Wszyscy już chyba zdążyli obejrzeć materiał przywieziony przez poranną ekspedycję – zaczął. – Poranną według czasu pokładowego, bo zgodnie z rytmem dnia planety to było wczesne popołudnie. Akurat to wydaje się mało istotne, ale wymaga podkreślenia, czasem bowiem rzeczy mało istotne okazują się nader ważne.

Dethardt jęknął w duchu. Tak właśnie zaczynało się naukowe dzielenie włosów na czworo. Za jakiś czas naprawdę okaże się, że to, co wydawało się z gruntu nieważne, a nawet głupie, nabiera zupełnie nowego wymiaru.

– Każdy z was ma kryształ pamięci z pełnymi danymi wyprawy – kontynuował Solimow. – Zdanie tych, którzy brali w niej udział, będzie rzecz jasna najcenniejsze...

– A dlaczego „rzecz jasna”? – przerwała dowódcy naukowemu Daisy Farango. – Przecież ich opinie mogą być skażone właśnie tym, że przeżyli bezpośredni kontakt z obcą cywilizacją! Są z założenia nieobiektywni.

– Droga koleżanko – odparł profesor – widzę, że zakłada pani, iż obserwowany i skanowany obiekt był przedstawicielem inteligentnej rasy. Na razie nie mamy na to niezbitych dowodów. Uczciwie rzecz biorąc, właściwie żadnych dowodów na to nie mamy.

– Jak to?! – zaperzyła się doktor. – Przecież odpowiedział sekwencją sygnałów!

– Proszę posłuchać – wtrąciła się Sonia Vega. – Nie jestem wprawdzie

biologiem, a tym bardziej egzobiologiem, skromny ze mnie chemik.

– Skromna doktor habilitowana – mruknął ktoś, ale kobieta puściła to mimo uszu.

– Jednak, o ile się orientuję, na naszej starej dobrej Ziemi nie brakuje gatunków zwierząt, które potrafią właśnie tak reagować: odtwarzając zasłyszane dźwięki i sygnały. O innych światach nie wspomnę, bo tam można spotkać najróżniejsze rzeczy.

– Ale to coś bezsprzecznie... – zaczęła Daisy, lecz Vega jej przerwała.

– To coś bezsprzecznie wypluło z siebie sekwencję sygnałów w identycznych interwałach jak nadane przez naszych, tylko na niższych częstotliwościach, po czym umknęło. Zakładanie, że ma to związek z inteligencją, jest równie uprawnione jak założenie, że zwykła papuga to przedstawiciel cywilizacji, bo wypowiada słowa, a nawet całe zdania.

– Papuga nie uczy się w ciągu sekund, tylko dni i miesiące! – zaprotestował z boku Odilo Sammenhall.

– Ale już taki gwarek nie potrzebuje długiej nauki – zauważyła Sonia. – Są zwierzęta mimetyczne i musimy brać pod uwagę możliwość, że nasi koledzy mieli z czymś takim do czynienia.

– Bzdura! – krzyknęła doktor Farango. – Przecież to bezsprzecznie był produkt obcej cywilizacji. Wierzę w to nieugięcie po obejrzeniu materiału.

– Wiara nie zastąpi nauki – warknęła Saskia Morre.

– Sama to widziałaś i wątpisz? – Twarz Daisy wykrzywiła niechęć pomieszana z niedowierzaniem.

– Właśnie dlatego nie dowierzam – odparła egzobiolog. – To było bardzo dziwne, nieoczekiwane, a w obliczu obiektu sama doszłam do przekonania, że kryje inteligencję, ale im dłużej o tym myślę, tym większe nachodzą mnie wątpliwości.

Tym razem pułkownik nie stłumił westchnienia. Rozejrzał się po sali. Byli

wszyscy oprócz dyżurnych i ekipy wysłanej na patrol. A to zapowiadało prawdziwą „burzę mózgów” i niezmiernie długie popołudnie. Robiło się coraz gwarniej i duszniej, przy czym to drugie wrażenie było natury czysto psychicznej, bo klimatyzacja działała doskonale. Jałowe gadanie naukowców zawsze przyprawiało Dethardta o duszność i mdłości. Czy oni nie mogli inaczej?

Nie mogli – odpowiedział sobie natychmiast. Rozważania i snucie hipotez to przecież ich zawód, a przede wszystkim pasja. Nie potrafił tego pojąć, nie tylko on zresztą. Wielu jego kolegów biorących udział w ekspedycjach z jajogłowymi czuło podobnie.

Vanessa Temple, informatyk ze specjalizacją programowania sztucznych inteligencji, właśnie perorowała z tak pewną siebie miną, jakby nie tylko była na miejscu kontaktu, ale miała okazję z bliska obejrzeć obiekt i go dotknąć.

– Jeśli to nie była inteligencja, to dlaczego ta meduza tak długo wisiała w jednym miejscu? Przecież zwierzę zaraz albo się znudzi, albo przestraszy i nie będzie tak tkwić, mam rację?

– Tak, masz rację – powiedział z przekąsem Zack MacFearn, podporucznik pilot, również informatyk, tyle że zajmujący się zwykłymi komputerami pokładowymi: kwantowymi i nukleinowymi. – Żadne zwierzę nie jest w stanie znieruchomieć w obliczu nieznanego zjawiska. Nawet niektóre gatunki węży, czy też ogólnie gadów. Poczytaj może coś z dziedziny, o której się wypowiadasz, co?

– Idiota! – syknęła Vanessa.

– Szkoda, że twoja mądrość nie dorównuje urodzie – odgryzł się pilot.

Kobieta chciała już coś powiedzieć, ale profesor zdusił w zarodku grożącą im awanturę.

– Dostyc! Przypominam, że to burza mózgów, nie ma złych ani głupich pomysłów. Panie MacFearn, to było niepotrzebne. Mógł pan wypowiedzieć

swoją opinię, nie obrażając koleżanki. A pani, droga Vanesso, niepotrzebnie daje się prowokować. Proszę o zachowanie rozsądku!

Pułkownik pokręcił głową. Rozsądek? Apelować o rozsądek? Cóż, może jeszcze pięć minut dyskutanci będą przestrzegać zasad, ale później... Miał ochotę uciec z tego armagedonu, ale mu nie wypadało. Najwyżej będzie musiał zażyć jakieś mocne środki na ból głowy, kiedy to się wreszcie skończy.

*

Alena May rozsiadła się wygodniej w fotelu. Wyglądała nieco zabawnie, bo przypominała dziewczynkę, która wdrapała się na ulubiony mebel dziadka. Oczywiście gdyby tylko jakiś dziadek dysponował najnowszej generacji sprzętem z magazynów wojskowych i siadał na fotelu w polowym skafandrze i hełmie roboczym.

Ale wrażenie było nieodparte. Alena była drobna i miała opadającą na oczy blond grzywkę, którą co chwila poprawiała. Rzecz jasna nie teraz, bo założyła hełm, a jej włosy trzymała specjalna siatka, spod której nic się nie mogło wymknąć, jednak Stanislaus zawsze widział oczyma duszy te jej urocze kosmyki, nawet w takiej sytuacji. A ona co jakiś czas unosiła rękę w charakterystycznym geście i natykała się na wzmocnione szkło.

– Wierzysz, że jeśli to było coś więcej niż duże zwierzę, pojawi się w tym samym miejscu drugi raz w tak krótkim czasie? – spytała.

– Nie bardzo. – Wzruszył lekko ramionami. – Ale i tak trzeba było tam wysłać jakieś patrole. Na wszelki wypadek.

– Zgłosiłeś się, chociaż niedawno zszedłeś ze stanowiska – powiedziała, patrząc na niego spod zmrużonych powiek.

– Dowiedziałem się, że ciebie wysyłają, i chciałem za wszelką cenę być blisko – odparł.

Zaśmiała się. Lubił jej śmiech. Przywodził na myśl jasny dzwonek, taki z prostej dziecięcej zabawki, jakie kiedyś były powszechne, a obecnie zostały zastąpione przez urządzenia edukacyjne. Jednak w większości dźwięk ten pozostał jako jedna z opcji zabawowych, psychologowie bowiem doszli do wniosku, że działa zarazem stymulująco i tonizująco na układ nerwowy.

– A tak poważnie? – Alena przekrzywiła głowę. Miękka kryza kombinezonu poddała się, ale i tak ograniczyła ruch, który w zwykłych warunkach byłby zapewne bardzo wdzięczny. – W stacji jest teraz ważne zebranie...

– Właśnie dlatego wolę być tutaj – wpadł jej w słowo Stan – i słuchać twojego paplania, a nie tych bzdur z ust naszych przyjaciół, kolegów i współpracowników.

– Paplania – prychnęła May i po raz kolejny uniosła rękę do twarzy. – Też coś! Od kiedy ja niby paplam?

– Prawdopodobnie od urodzenia – oznajmił Sordis z pełną powagą.

– Jesteś okropny! – Kobieta odwróciła się do niego tyłem na tyle, na ile pozwalały jej pasy.

Oboje byli przypięci zgodnie z procedurami obowiązującymi w stanie podwyższonej gotowości, a to oznaczało, że uprząże nie pozwala na swobodne ruchy.

– Wiem, wiem – mruknął. – Najchętniej byś teraz wyszła i trzasnęła grodzią, ale na miniaturowych okrętach podwodnych i batyskafach, nawet opancerzonych, nie ma takiej możliwości. Jesteś więc skazana na moje towarzystwo.

Alena znów prychnęła i zamilkła, urażona. Stan śledził przez cały czas hologram wiszący nad główną konsolą i ekrany skanerów, ale nic ciekawego się nie działo. Na szczęście, bo jakoś nie pragnął dodatkowych atrakcji w postaci spotkania z czymś nieznanym. Miał ochotę odpocząć po służbie. A teraz, skoro podporucznik May zamilkła i również zaczęła się przypatrywać

wskazaniom... przymknął oczy. Tylko na chwilę.

– A ja tam bym chciała wiedzieć, o czym rozmawiają – powiedziała nagle Alena.

Stan jęknął w duchu. No to się już zdrzemnął.

– Na pewno kłóć się jak najęci, a sala narad wygląda jak bazar na filmach o dawnych czasach, gdzie wszyscy wrzeszczą, machają rękami i nikt nikogo nie słucha. Nie różnimy się tak bardzo od naszych przodków.

– Wcale się nie różnimy – zaśmiała się May, zapominając, że jeszcze przed chwilą była zła na Sordisa. – Wychowałam się na kartuzjańskiej kolonii, wiesz? Mój ojciec był inżynierem w stoczni statków transportowych. Dosłownie godzinę jazdy od naszego habitatu znajduje się kolonia Persów. Oni tam zamiast zwykłego centrum handlowego mieli właśnie bazar. Napatrzyłam się na takie widoki. Hałas niesamowity, ale pewien urok to ma.

– Jeśli się idzie kupić kartuzjańskie arbuzy albo tuszę świnioryby, czy co tam sprzedają z mięsa, zapewne tak – podsumował Stan. – Tyle że w naszej sali narad można jedynie nabawić się uszkodzenia słuchu. I ewentualnie wzroku, jeśli ktoś w ferworze dyskusji niechcący wsadzi komuś palec w oko.

– A ja tam bym chciała wiedzieć, o czym rozmawiają – powtórzyła Alena.

– Jeśli bardzo pragniesz, możemy poprosić oficera dyżurnego, żeby ustanowił nam łącze. W dyspozytorni siedzi kapitan Ballard, nie będzie robił problemów.

– Nie jest na naradzie? – zdziwiła się kobieta. – Przecież to szef zespołu mieszanego.

– I zastępca dowódcy operatorów maszyn planetarnych – uzupełnił Stan. – Ma do tego podobny stosunek jak ja. Pułkownik musi uczestniczyć w takich imprezach, chyba że jest obłożnie chory, jego zastępca zresztą też. A kapitan wolał wziąć służbę za kogoś, kto koniecznie chciał iść na tę burzę mózgow czy też musiał na niej być. To co, poprosić go o transmisję?

Alena skinęła głową, a Stanislaus połączył się ze stacją.

– Czołem, szefie – rzucił.

– Co tam, Stan? – odezwał się Ballard. – Coś się urodziło?

– Na razie nudzimy się i osobiście jestem z tego powodu szczęśliwy.

– Taaak – powiedział przeciągle kapitan. – Spokój i cisza to moje ulubione słowa. Po co się w takim razie meldujesz?

– Nasza uroczna Alena May chciałaby zobaczyć i posłuchać, co się dzieje na sali narad.

Wprowadzie łącze było tylko głosowe, ale Sordis przysięgłby, że widzi, jak kapitan krzywi się z niechęcią.

– Na pewno wie, co robi?

– Bardzo tego pragnie. Dla niej nuda nie jest chyba tak błogosławionym stanem jak dla nas, panie kapitanie.

– Skoro nalega... Proszę.

– Tylko... – Porucznik chciał poprosić, żeby kapitan nieco wyciszył przekaz, ale nim dokończył zdanie, w jego uszy uderzył okropny hałas. Zmniejszył natężenie dźwięku w słuchawkach, przeklinając się w duchu, że od razu o tym nie pomyślał.

Alena odruchowo uniosła dłonie, ale z miejsca przypomniała sobie, że ma hełm, więc także wyregulowała potencjometr. Na zapasowym holoeckranie obraz przedstawiał salę. Mało kto siedział, ludzie wrzeszczeli na siebie. Wyraźnie wyodrębniły się już obozy zwolenników niekoherentnych hipotez i właśnie udowodniano sobie nawzajem skrajną głupotę.

Przez hałas przebijał się tylko schrypnięty bas Guida da Campy. Kwatermistrz i łącznościowiec, jako sierżant, tradycyjnie miał najlepszą emisję głosu. Teraz apelował o rozsądek, zapewne poproszony przez któregoś z dowódców, bo jak go Sordis znał, nieźle się musiał bawić, patrząc na skaczących sobie do oczu uczestników.

– Zamknijcie się wreszcie wszyscy! – zagrział. – Mordy w kubeł! To rozkaz!!!

– Babce swojej rozkazuj, trepie tępy! – wrzasnął ktoś.

Stan nie rozpoznał głosu, a wołający znajdował się właśnie poza kadrem. Musiał to być naukowiec, bo nikt z zespołu wojskowego czy mieszanego nie pozwoliłby sobie na tego typu inwektywy w stosunku do podoficera. Przynajmniej w obecności dowódców.

Da Campa odwrócił się w stronę zuchwalca. Minę miał jak wściekły buldog, zresztą jego twarz w ogóle przypominała kufę tego zwierzęcia. Był żywym dowodem na to, jak pozory mogą mylić, bo pod maską tępego zupaka krył się naprawdę błyskotliwy umysł. Guido znał się nie tylko na logistyce i technikach łączności, ale na wielu innych rzeczach, chociaż nigdy nie aspirował do stopni naukowych.

W tej chwili ludzie zaczęli cichnąć. Działo się coś, co wreszcie odwróciło ich uwagę od zasadniczego tematu spotkania, zmniejszyło zacietrzewienie. Kapitan Ballard zmienił nieco perspektywę i piloci mogli zobaczyć, na kogo patrzy sierżant.

– Kogo nazwałeś tępym trepem, Manuelu? – spytał warkliwie da Campa i ruszył powoli do najmłodszego w zespole naukowym doktoranta Manuela Lobo. – Nie za dużo sobie pozwalasz, szczeniaku?

Bójka wisiała w powietrzu. A właściwie, jak ocenił od razu Stan, zwykłe pobicie. Wprawdzie młody geolog nie należał do ułomków, był od sierżanta prawie o głowę wyższy, ale porucznik wiedział, na co stać doświadczonego podoficera. Co tu kryć, sam uczestniczył z nim parę razy w barowych walkach. Ostatnio zdarzyło się to, kiedy na stacji kosmicznej Nike nadgorliwy żandarm chciał usunąć starego wygę z kantyny oficerskiej, chociaż to właśnie oficerowie zaprosili da Campę na popijawę z okazji zbliżającego się wylotu do Ramienia Perseusza, w pobliże gwiazdy Izyda. Nieznający sierżanta

oficerowie z dokujących na stacji jednostek w sporej części postanowili wesprzeć żandarma, znajomi da Campy postawili się i od słowa do słowa zaczęła się bijatyka.

Stanislaus skonstatował, że było to stosunkowo niedawno, jakieś pół roku wcześniej. Z drugiej strony te wszystkie „tylko” albo „aż”... Kwestia perspektywy. Bo już prawie pięć miesięcy przebywali na tym globie, pod opieką samej bogini Izydy, i o tym porucznik myślał „aż”. Jednak kiedy pomyślał o takich samych pięciu miesiącach urlopu na ojczystej Ziemi, było to „tylko”.

Manuel cofnął się dwa kroki, zwiększając dystans do sierżanta. Postąpił rozsądnie, bo dysponował większym zasięgiem ramion i nóg – najwidoczniej nie spał na zajęciach z wychowania fizycznego albo uprawiał jakiś sport walki i zdobył już pewne doświadczenie. Lecz w starciu z da Campą nie miał większych szans. Mniejszych też nie.

– Dosyć! – We względnej ciszy głos pułkownika zabrzmiał bardzo władczo.
– Sierżancie da Campa, na miejsce! A pan, panie Lobo, niech trzyma język za zębami i nerwy na wodzy. Jeszcze jeden taki tekst, a nie tylko nie powstrzymam Guida, lecz także potrzymam mu furazerkę! I nie pomoże panu stryjek w Senacie! Zresztą nie sądzę, żeby sierżanta ciekawiły pańskie koneksje, kiedy zacznie machać pięściami.

Między zwaśnionymi mężczyznami stanął Hektor Dalostopulos. Sierżant spojrział na niego ponuro, ale zastępca dowódcy ledwo dostrzegalnie przymrużył oko. Był zwrócony lewym profilem do kamery, więc było to doskonale widać. Da Campa uśmiechnął się kącikiem lekko obwisłych warg i odstąpił.

Zapalczywy geolog zamierzał odpowiedzieć Dethardtowi, ale w tym momencie wtrącił się Solimow.

– Spokój, Manuelu! – syknął. – Przypominam ci, że zasady burzy mózgów

wykluczają takie osobiste wycieczki! Przynajmniej u nas, bo nie wiem, jak było tam, gdzie przedtem pracowałeś. W każdym razie wykluczam cię z dyskusji. Idź do swojej kwatery! Później porozmawiamy.

Lobo zacisnął zęby i widać było, że kusi go, aby rzucić jakiś gruby komentarz, lecz autorytet profesora zrobił swoje. Obrócił się na pięcie i po chwili zniknął za rozsuwanymi drzwiami.

Zebrani chwilę jeszcze patrzyli za nim, a potem Daisy Farango krzyknęła:

– To jest obca inteligencja! Musi być! Ukrywa się przed nami, i słusznie, bo człowiek to najokrutniejsza z istot! A zachowanie obiektu...

– Masz jakieś konkretne dowody czy tylko te fantasmagorie twoich pobratymców z „Sapientii”? – spytała Melinda Stark.

– To nie są żadne fantasmagorie! – zaprotestowała Farango.

– Są!

I znów wszyscy zaczęli się przekrzykiwać.

Stanislaus przerwał transmisję.

– Naprawdę chciałabyś tam teraz być? – spytał oszołomioną Alenę.

Kobieta wzdrygnęła się, ale odpowiedziała z przekorą:

– To całkiem interesujące. I ta atmosfera prawdziwego dyskursu na akademickim poziomie...

Stan musiał się roześmiać.

– „Dyskurs na akademickim poziomie” to właśnie określenie, którego mi brakowało, aby opisać intelektualne zmagania naszych kolegów i koleżanek.

– Jak myślisz, długo jeszcze będą się tak bawić? – zainteresowała się podporucznik.

– Długo – odpowiedział Sordis. – W każdym razie nie ma się do czego śpieszyć. Naprawdę nie brałaś nigdy udziału w takim cyrku?

Alena potrząsnęła głową.

– W takim na pewno nie. W ogóle podczas całej mojej służby tylko raz

zorganizowano burzę mózgów. I też miałam wtedy patrol. Przypuszczałam co prawda, że te narady są pełne napięć, ale żeby coś takiego... – Wykonała nieokreślony ruch ręką.

– Życie jest pełne niespodzianek – zauważył filozoficznie i banalnie zarazem Stan, a potem połączył się ze stacją. – Dzięki, szefie!

– Cała wątpliwa przyjemność po mojej stronie – odparł kapitan. – Gdybyście chcieli, to ja chętnie jeszcze...

– Nigdy w życiu! – przerwał mu Sordis. – Choćbym błagał na kolanach, proszę więcej nie dać się nakłonić do podobnej transmisji.

– Masz to u mnie – roześmiał się Ballard. – A ja u ciebie kolejkę po służbie.

– Jasne. Może nawet niejedną. Będę musiał splukać z siebie to traumatyczne wspomnienie...

Kapitan rozłączył się, a Stan spojrzął na odczyty. Drugi zespół zgodnie z planem płynął lekko rozbieżnym kursem z prędkością pół węzła. Za pół godziny znów zaczną się do siebie zbliżać, a potem nastąpi kolejne rozejście. Motorówki nad nimi zataczały kręgi na wodzie, a niestrudzone drony patrolowały przestrzeń powietrzną. W końcu z zeznań Linneaux wynikało, że ta meduza potrafi się wzbić nad wodę. A może i latać.

– Słuchaj, zdrzemnę się pół godziny – powiedział do Aleny. – Gdyby coś się działo, natychmiast mnie obudź.

– Drzem sobie – zgodziła się wspaniałomyślnie. – Pewnie nic się nie stanie, ale w razie czego cię obudzę. Możesz spać spokojnie. To całe...

– Alena, chcę się zdrzemnąć – przypomniał jej.

– Jasne. – Pokiwała głową. – Nie przeszkadzam. Mówię tylko, że gdyby coś się działo, to oczywiście cię obudzę. Nie trzeba mi tłumaczyć takich rzeczy jak dziecku. Ale sam stwierdziłeś, że nic się raczej nie stanie...

– Alena!!!

*

Tym razem nie otrzymał nowej kapsuły – podróżował tą, którą mu przydzielono na początku wyprawy. Nie martwiło go to, gdyż nie stanowiło dowodu niełaski lepszych. Po prostu w razie spotkania nie miał stawiać na szybkość ucieczki, tylko na uzyskanie danych. A poza tym towarzyszący mu erdike Pełzający Głaz miał jeszcze starszy pojazd. Mógłby nie nadążyć za tym, którego Rwący Sieć używał ostatnio.

Na odprawie dostali szczegółowe wytyczne, co i w jakiej sytuacji robić. Ale na koniec vengu Ostrze Światła oznajmił:

– Tak czy inaczej, musimy się zdać na wasz osąd, więc proszę traktować te zalecenia jedynie orientacyjnie. Oczywiście każde odstępstwo od nich musi zostać dokładnie wyjaśnione i uzasadnione.

Takiego marginesu wolności starszemu badaczowi nie pozostawiono jeszcze nigdy. Pełzający Głaz nie był w stanie ukryć drżenia, tak zaskoczyły go te słowa.

– Tym razem bodźce, szczególnie akustyczne i wizualne, potraktujesz jako platformę porozumienia, a nie tylko wymianę sygnałów – oznajmił vinduke Wędrowiec Po Niebie.

Rwący Sieć nie bardzo wiedział, co chciał przez to powiedzieć, bo wymiana sygnałów niejako z zasady stanowiła platformę porozumienia, ale też najstarszy uczonej nierzadko wysyłał niezupełnie zrozumiałe komunikaty.

Długo rozważali aspekty związane z ostatnim kontaktem. Jeden obiekt generował słabe impulsy, których zmysły odike nie zarejestrowały; sygnalizowały je tylko przyrządy. W podobnych pasmach porozumiewały się niektóre zwierzęta na Opoce, używano też takich częstotliwości do tresury i wydawania poleceń Niedostrzegalnym i Nieobecnym. Ale potem nastąpiła ta

sekwencja w bardzo wysokich rejestrach, na granicy odbioru dźwiękowego... To było doprawdy interesujące.

Pełzający Głaz wydawał się niezmiernie poruszony zadaniem, co zdradzały postawa i mowa ciała. Cóż za brak ogłady! Rwący Sieć nie przypuszczał, żeby ten potomek Niewyczuwalnych, który jakimś trafem został zrównany z kastą Niedotykalnych, mógł uzyskać coś więcej niż dotychczasowy stopień naukowy. I tego było za wiele dla kogoś z wyższej warstwy społecznej.

Lecz ani vengu, ani vinduke nie zwracali uwagi na niestosowne zachowanie młodszego badacza. Rwący Sieć zastanawiał się podczas lotu, dlaczego tak było, i myśl ta towarzyszyła mu również po zanurzeniu. Przecież gdyby on tak drżał i trząśł kończynami, zostałby przywołany do porządku jednym burknięciem któregoś z lepszych. Rozważał, czy mogło to mieć związek ze słowami vinduke.

– Jestem z ciebie zadowolony, odike – oznajmił mu w paśmie akustycznym. Ja, vinduke Wędrowiec Po Niebie, a nawet vengu Ostrze Światła. Jeśli będziesz nadal tak się starał i dokonywał doniosłych odkryć oraz wyciągał interesujące wnioski, kto wie, może twoje potomstwo spotka jeszcze lepszy los niż ciebie?

To oznaczało, że jego nadzieje się spełnią, a do rozrodu zostanie mu przydzielona lepsza protosangis niż ta, w której się urodził. Jego potomkowie mogliby zejść do lepszej kasty, choćby nawet jako zwykli służący. A gdyby odziedziczyli po nim możliwość rozumowania, swoim z kolei potomkom zapewniliby jeszcze korzystniejsze warunki.

Otwierała się przed nim wielka szansa. Jeśli ją zaprzepaści, będzie sam sobie winien. Postanowił, że gdyby coś poszło nie tak jak trzeba, całkiem zrezygnuje z wejścia do Jaskini Narodzin. Kto raz spróbował lepszej sangis i widział, jak kształtuje potomstwo czysta protosangis, ten nie zechce dać potomstwu niczego, co byłoby gorsze. A on przecież wiedział, jakich doznań

dostarcza podczas Zjednoczenia osobisty przydział z zapasów sangis lepszych kast. Kiedy w Otchłani jego autoklaw po raz pierwszy wypełniono właśnie taką substancją, miał wrażenie, że sięgnął wieczności. Taki przydział był przywilejem odike, któremu pozwolono dołączyć do wyprawy naukowej. Lecz po powrocie na Opokę znów będzie się musiał zadowalać tą samą życiodajną cieczą, do której przywykł od dzieciństwa. Kiedy pomyślał o rytuale Zejścia, w którym uczestniczył, nim został włączony do zespołu badawczego, i o jakości Otchłani, w której znajdował się wówczas jego sarkofag, miał ochotę zapaść się w sobie, wciągnąć wszystkie kończyny i rozstać się z trwaniem, zupełnie nie przyjmując pokarmów.

Może przełożeni uznali, że przyda się w ich kastach potomstwo kogoś takiego jak on? Och, gdyby udało się umieścić potomstwo wśród Niepoliczalnych! Ale kto wie. Zdarzało się już, że Opokanie z wyższych kręgów schodzili w pobliże najniższych kast. Wprawdzie nigdy nie zaliczono ich do Nieskończonych czy Nieosiągalnych, ale docierali nawet do poziomu Niedostępnych. Nieosiągalni w ogóle nie kontaktowali się z innymi kastami inaczej niż przez specjalnie hodowane byliny informacyjne, a co do Nieskończonych, to niektórzy powątpiewali, czy w ogóle istnieją, chociaż stanowili dopełnienie świętej ósemki, będąc ukoronowaniem niższej czwórki. Za wyrażanie takich opinii można było ponieść bardzo surowe konsekwencje, z długoterminowym pozbawieniem dostępu do sangis włącznie. Przez ten czas skazaniec mógł podtrzymywać trwanie tylko za pośrednictwem najgorszego surogatu wprowadzanego do organizmu poprzez kończynę informacyjną. Taki sposób przyprawiał o niewyobrażalne cierpienia, tak więc bardzo wielu wybierało zupełne odejście.

Lecz bardziej nawet niż w Nieskończonych powątpiewano w istnienie Niewymawialnego. To on, jako jeden niepodzielny byt, znajdował się na samym dnie Wspólnej Otchłani i na nim spoczywał podobno cały ciężar

doczesnej egzystencji społeczeństwa. Stanowić miał zaś połączenie między Opoką a światem Stwórców. Rwący Sieć do niedawna nie zdawał sobie nawet sprawy z istnienia Niewymawialnego. W górnych kastach w ogóle się o tym nie mówiło, nie istniała świadomość takiego stanu rzeczy. Odike dowiedział się o hipotetycznym bycie Niewymawialnego, dopiero kiedy zdobył nie tylko wykształcenie, ale też zaufanie lepszych.

– Nie należy absolutnie zazdrościć Niewymawialnemu – powiedział jego mentor, sedingu Poskromiony Żal. – Jeśli rzeczywiście istnieje, spoczywa na nim ogromny ciężar. Rzecz jasna twierdzenie, jakoby utrzymywał na sobie cały nasz świat, jest tylko metaforą. Chodzi raczej o decydowanie. Niewymawialny jest prawie równy Stwórcom, może nawet kwestionować decyzje Władców, choć zdarza się to niezwykle rzadko. Cokolwiek uczyni, o czymkolwiek zdecyduje, ma wpływ na wszystkich Opokan. Wyobrażasz sobie taką odpowiedzialność, Rwący Sieć?

Sedingu jako jedyny z lepszych zwracał się wówczas do niego właściwym imieniem, bez dodawania „odike” lub w ogóle bezosobowo. Rwący Sieć dowiedział się później, że jego nauczyciel został pozbawiony godności wykładowcy i opiekuna za hołdowanie poglądom sprzecznym z obowiązującym porządkiem rzeczy. Wprawdzie nigdy nie powiedział tego przy odike, ale podobno na gruncie nieoficjalnym głosił hasło zrównania kast. Jeśli tak, było to wręcz niewyobrażalne. Chociaż kiedy Rwący Sieć przypominał sobie niektóre jego nauki, przestawało się to wydawać aż tak nieprawdopodobne.

– Ja nie zdołałbym udźwignąć takiego brzemienia – odpowiedział wtedy odike. – Zmiażdżyłoby moją monoświadomość, a zapewne nawet w permanentnym stanie dwuświadomości i nieustającej pełni nie dałbym sobie rady. Lecz wielu lepszych, szczególnie z najniższych kast, bez wątpienia nadawałoby się do czegoś takiego.

– Nikt się nie nadaje do takiej roli – odparł Poskromiony Żal. – To ponad siły każdej znanej mi istoty. Taka władza jest niesamowita. Ratując jedną marną lukumę, pyłek przecież, możesz zmienić bieg wydarzeń na całej planecie, a może i w lejach kosmosu. Jeden uczynek pociąga za sobą drugi, ten następuje, aż zaczyna się nawałnica zjawisk.

– Co w takim razie Niewymawialny może uczynić z tak wielką mocą? – spytał zaintrygowany odike.

– Nie jestem pewien, mój uczniu. Ale wyobrażam sobie, że po prostu nic.

– Obawiam się, że nie rozumiem – przyznał przyszły starszy badacz.

– To bardzo proste. Jeśli nie chce zakłócać porządku rzeczy, pragnie, aby sprawy toczyły się swoim torem, nie robi nic, jedynie trwa. Tak postąpiłby mędrzec. Nie zdradzałby swego istnienia, dlatego nie byłibyśmy pewni, czy w ogóle został powołany do trwania.

– Lecz jeśli nie korzysta z władzy, po co w ogóle istnieje? – zapytał odike.

– Któż to może powiedzieć? – Sedingu milczał przez dłuższą chwilę. – Może po prostu obserwuje, co dzieje się na świecie, i wkroczy, jeśli zajdzie absolutna potrzeba? To naprawdę ciężkie brzemie mieć moc podobną do mocy Stwórców. Dlatego zawsze pamiętaj, aby nie chcieć od trwania zbyt wiele, bo gdy to „zbyt wiele” się ziści, może wcale nie przynieść pożądanych rezultatów.

Lecz teraz Rwący Sieć zyskiwał właśnie możliwość awansu. Wielkiego awansu, przy którym cała kariera naukowa zdawała się tylko przyjemnym dodatkiem do takiej nagrody. I wcale nie uważał, że oczekuje zbyt wiele. Przecież jako rodzic uprzywilejowanych sam zyska dużo, przede wszystkim niższy status i powszechny szacunek. To było najlepsze, co mogło spotkać Opokanina z jego kasty. Osiągnąć więcej nikt nie byłby w stanie.

– Czcigodny – nadał Pełzający Głaz, przerywając rozmyślenia odike – czy nie powinniśmy nieco przyśpieszyć?

Rwący Sieć nie odpowiedział od razu. Młodszy badacz okazywał się większym grubianinem, niż można się było spodziewać, nawet biorąc pod uwagę jego niestosowne zachowanie przy lepszych.

– Poruszamy się należyтым tempem, erdike. Uwzględniając małą przejrzystość tutejszej wody, musimy zachowywać najdalej posuniętą ostrożność, skoro korzystamy głównie ze wskazań przyrządów. Jeśli przyśpieszymy, możemy coś przegapić.

– Przepraszam, odike Rwący Sieć. Dopiero teraz, kiedy to powiedziałeś, stało się to dla mnie oczywiste.

Starszy badacz zamknął zupełnie połączenie na dwa periody, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalszą wymianę zdań. On tu dowodził, więc wszelkie uwagi ze strony gorszego były jak najbardziej nie na miejscu. Aż sangis w jego nowej kończynie informacyjnej zdrętwiała na myśl, że mógłby postąpić w podobny sposób wobec kogoś z lepszych.

– Zbliżyliśmy się do strefy poprzedniego kontaktu – nadał po jakimś czasie. – Erdike, nastaw wszystkie instrumenty na pełną moc.

– Zgodnie z poleceniem urządzenia pracują pełną mocą, czcigodny odike Rwący Sieć – zameldował Pełzający Głaz.

Starszy badacz z pewnym zadowoleniem przyjął tę pełną pokory i uszanowania odpowiedź. Nie miał wprawdzie nadziei, że wyższy pochodzeniem naukowiec pozwoli się należycie ukształtować, ale to już było coś.

– Cisza informacyjna – rozkazał. – Nadajemy tylko w razie zauważenia obcych obiektów.

I znów erdike zachował się jak należy, nie odpowiedział bowiem, tylko nadał krótki sygnał, że zrozumiał komunikat.

Przez pewien czas płynęli w mętnej wodzie skupieni na przyrządach. Ramiona sensoryczne mieli przyssane do płytek wskaźników. Jednak wokół

dominowała pustka bezmiaru. Tylko gdzieś w dole pulsowały podłużne kształty nieco przypominające istoty z Opoki. Tamte wszakże były drapieżne i groźne, a te polowały jedynie na resztki i maleńkie morskie stworzenia. Rwęcego Sieć bardziej intrygowało zjawisko występujące nad wodą. Drobiny przypominające strukturą wzniesiony przez wiatr piach opadały nad samą powierzchnię oceanu. Chodziło w tym o ich odżywianie, lecz sama technika polowania była dla starszego badacza tak obca, że odczuwał coś więcej niż fascynację – przetworzone zapisy sensorów i skanerów śledził z mieszaniną zachwytu i odrazy. Zjawisko przypominało nieco opary unoszące się nad wyrobiskami, z których pozyskiwano podług sangis dla gorszych kast, choć było na pewno bardziej uporządkowane. A przede wszystkim drobiny te, mimo że odżywiały się nad samą wodą, padały też masowo jej ofiarą.

Zastanawiał się, czy właśnie to zjawisko skłoniło uczestników pierwszej wyprawy do nadania planecie takiej, a nie innej nazwy. Chociaż może chodziło raczej o nawiązanie do opowieści o Obłoku Nadziei, który spłynął kiedyś na Opokę, aby ukoić ją w życiodajnych objęciach i zrównać wszystkie kasty w jednej wielkiej społeczności. Liczni naukowcy twierdzili wbrew teologom, że Obłok Nadziei to po prostu górnolotne określenie doskonałej sangis, lecz Rwęcy Sieć przychylił się do zdania tych, którzy doszukiwali się w tym symbolu interwencji Stwórców. A potem – gdy zyskał odpowiednią wiedzę – uznał, że może również chodzić o działanie Niewymawialnego.

– Coś jest! – przerwał ciszę Pełzający Głaz.

Wprawdzie nie musiał nadawać komunikatu, bo ułamek periodu wcześniej starszy badacz także dostrzegł zjawisko, jednak Rwęcy Sieć nie skarcił erdike. Sam by nadał komunikat na jego miejscu.

Przyrządy sygnalizowały obecność w cieczy jakichś obiektów. Wstępna obserwacja wykazała podobieństwo do tych, które spotkali wcześniej. Ale gdyby Rwęcy Sieć miał jeszcze jakieś wątpliwości i przypuszczał, że obiekty

po prostu zostały tam, gdzie były poprzednio, to musiałyby je porzucić. Było ich dwa razy więcej. Do tego rejestrował ruchy na powierzchni i w powietrzu. Ich regularność mogła się kojarzyć tylko z celowym działaniem. Nawiązał połączenie z lokalną otchłanią.

– Do vengu Ostrza Światła i vinduke Wędrowca Po Niebie, jestem w rejonie poprzedniego kontaktu. I właśnie uzyskałem nowy. Uznaję zatem, że to przedstawiciele jakiegoś rozumnego gatunku. Przesyłam pakiet danych.

Skupił się, przekazując wskazania przyrządów. Odpowiedź nadeszła po kilku periodach.

– Działaj zgodnie z wytycznymi, odike – nadał vinduke. – Tym razem nakazy bezpieczeństwa są mniej ważne od imperatywu poznawczego. Łącz się tylko w razie absolutnej konieczności, aby nie zakłócać pracy urządzeń.

– Zrozumiałem – odpowiedział Rwący Sieć. – Przystępuję do nawiązania kontaktu.

Była to procedura opracowana na wszelki wypadek. Do tej pory przecież Opokanie nie napotkali w Wielkim Leju innych form inteligentnego życia rozwiniętego na tyle, żeby dokonywało eksploracji przestrzeni. W ogóle nie napotkali przejawów inteligencji. Jednak procedura istniała, choć były spore wątpliwości co do jej sensu i skuteczności. A ponieważ istniała, trzeba ją było wdrożyć. Teraz powodzenie całej akcji i odpowiedzialność spoczywały na starszym badaczu.

Rozwazał, czy jeśli naprawdę ma do czynienia z obcą inteligencją, jej przedstawiciele także posiadają jakieś uregulowania w tym względzie. Kto wie? A może, w odróżnieniu od Opokan, spotkali już inne cywilizacje? To by mogło rzecz uprościć, ale też okazać się dość groźne, w zależności od tego, jakie ci obcy mieli podejście do innych mieszkańców Wielkiego Leja.

I nie wiadomo, czy w ogóle uda się osiągnąć jakieś porozumienie. Poczł, jak sangis w jego organizmie powiększa i zmniejsza objętość co najmniej dwa

razy na period.

Zassał kończynę na płytce urządzeń komunikacyjnych, po czym wyemitował przygotowane serie modulowanych sygnałów w różnych częstotliwościach – od minimalnych słyszalnych i dwóch zakresów poniżej aż po maksymalny zakres oscylatorów jednostki. W tej chwili wyjątkowo żałował, że dostał znów swoją kapsułę. Ta, którą poruszał się poprzednio, miałaby jeszcze większe możliwości emisji. Ale przecież i tak nie mieli pojęcia, jakie częstotliwości są optymalne do porozumiewania się z obcymi. Wcześniej używali oni na początku zakresu pozostającego poza percepcją Opokanina, zarejestrowały to tylko przyrządy. Dopiero na sam koniec wysłali zauważalne sygnały. Ale czy korzystali również z zakresów pomiędzy tymi wartościami? To było zasadnicze pytanie.

Dlatego postanowiono, aby przy kolejnym spotkaniu użyć wszystkich częstotliwości, jakich tylko się da, w dodatku jednocześnie.

Rwący Sieć, wciąż czując pulsowanie sangis, czekał na odpowiedź. I miał nadzieję, że nie będzie to coś w rodzaju ataku.

4

– No to mamy wreszcie konkretny kontakt – oznajmił Sordis po powrocie na stację. Wysłał już wszystkie uzyskane informacje, pozostało tylko złożyć raport.

Gorzej, że musiał go złożyć zarówno profesorowi, jak i pułkownikowi. I na samym początku pożałował, że zapomniał się i zaczął tak swobodnie.

– Co też powiesz, poruczniku – warknął Pierdoła. – W życiu byśmy nie zgodli, gdyby nie ta cenna uwaga!

– Powinniśmy być wdzięczni Stanowi, że zechciał przerwać nasze miłe, niezwykle kulturalne zgromadzenie – przypomniał Dethardtowi profesor. – A teraz też musiał jakoś zacząć...

– Doświadczony oficer i uczestnik wypraw eksploracyjnych powinien wiedzieć, że w obliczu przełożonego należy odpowiednio meldować! – przerwał szefowi sekcji cywilnej pułkownik. – I nie opowiadać oczywistości.

Solimow westchnął, a potem spojrzął na Stanisłausa, na którym cały ten cyrk odgrywany przez Dethardta zdawał się nie robić większego wrażenia. Na twarzy porucznika malowało się raczej zniecierpliwienie niż zmieszanie czy złość.

– Melduję, panie profesorze i panie pułkowniku – rzekł, kiedy starszy oficer zamilkł – że, zgodnie z zapisami, kontakt nastąpił o szesnastej osiemnaście i dziesięć sekund czasu standardowego, co dzisiaj oznacza trzydzieści siedem minut i szesnaście sekund po górowaniu gwiazdy głównej układu. O tej

godzinie namierzone zostały dwa zbliżające się obiekty, oba dające odczyty zbieżne z tymi, które zostały zapisane w pamięci SI jednostki po poprzednich kontaktach z pojedynczymi obiektami.

– Nie można było tak od razu? – burknął pułkownik, ale profesor nie dał Stanowi szansy odpowiedzieć.

– Odczyty były tylko zbieżne czy identyczne? – spytał.

– To doskonałe pytanie, profesorze – odparł Sordis, a Solimow niecierpliwym gestem uciszył Dethardta, który miał zamiar ponownie zrugać porucznika za takie niekonkretne, nieregulaminowe uwagi.

– Niech pan mówi, doktorze – powiedział, podkreślając tytuł naukowy Sordisa i przypominając tym samym krewkiemu Romulusowi, że Stanislaus należy do sekcji mieszanej, zatem podlega nie tylko dowódcy wojskowemu.

– O ile ogólne odczyty wskazują, że obiekty są tożsame, jeśli chodzi o strukturę i użyte materiały, to na poziomie molekularnym zdają się delikatnie różnić. Zupełnie jakby jeden miał nieco większą gęstość niż drugi. Może to różnice technologiczne, a może obiekty pochodzą z różnych linii produkcyjnych. U nas też różne stocznie miewają odmienne technologie. Tyle że wtedy można odczytać różniące się delikatnie sygnatury zawartości domieszek molibdenu, niklu czy innych pierwiastków, a tutaj to wygląda na różnicę w samej strukturze podstawowej. Naprawdę niewielką, zapewne z punktu widzenia funkcjonalności maszyny nieistotną.

– Tak, to istotnie interesujące. – Profesor zamyślił się. – Z tego, co już wiemy, materiały, z jakich wykonane zostały obiekty, są pochodzenia organicznego. Niektóre odczyty wręcz wskazują, że to komórki roślinne, przynajmniej w dużej części. Pozostaje kwestia, czy to pojazdy obcych, jak nam się wydaje, kiedy patrzymy na tak duże struktury, czy też może sami obcy mają taką budowę. W takim wypadku różnice gęstości tkanek byłyby zrozumiałe. Wiek, pochodzenie, dieta, sposób życia. Oczywiście zakładając,

że takie same czynniki i procesy życiowe dotyczą całego wszechświata.

– A tego nie możemy być przecież pewni – zauważył pułkownik. – Co pan sądzi, poruczniku? Czy te, nazwijmy je, meduzy są pojazdami czy samymi obcymi?

Stan milczał przez chwilę, lekko wydymając wargi i rozważając, jak przekazać swoje odczucia poparte obserwacją i logiką. Doskonale wiedział, skąd taka dociekliwość rozmówców. Niby wszystko mieli podane na tacy, w danych, mogli nawet do pewnego stopnia wcielić się w uczestników ekspedycji, zobaczyć wydarzenia ich oczami w centrum informacyjnym, podobnie jak to uczynił niedawno Sordis, wchodząc we wspomnienia Georges'a, ale doskonale wiedzieli, że to i tak nie to samo, co osobiste przeżycie. A w każdym razie niewiele pomoże w wysnuwaniu czysto naukowych wniosków.

– Myślę, że te meduzowate twory to jednak maszyny albo coś w rodzaju maszyn. Całkowicie czy tylko częściowo organiczne, działają podobnie jak nasze batyskafy, a najwyraźniej potrafią też latać, sądząc z tego, co zaobserwował doktor Linneaux. Sądzę, że istota myśląca to ten ciemny kształt wewnątrz, którego budowę trudno określić dokładniej, bo choć meduzy są w pewnym stopniu przezroczyste, to załamania światła uniemożliwiają dokonanie wiarygodnych pomiarów. Nie wiemy nawet, czy w tych kapsułach jest pusta przestrzeń wypełniona gazem albo cieczą, czy są litą strukturą, w którą wpasowuje się pilot.

– Skanowanie nic nie powiedziało w tej kwestii? – zdziwił się pułkownik.

– Byliśmy w stanie dokonać odczytów jedynie do głębokości pięćdziesięciu milimetrów. Dalej obiekty albo są celowo ekranowane, albo naturalnie odporne na spektrum promieniowania.

– Albo jedno i drugie, skoro mamy do czynienia z inteligencją na wysokim poziomie technicznym – uzupełnił Solimow. – To ciekawe, że przechodzi przez

nie światło, ale fale radiowe różnych częstotliwości już nie, podobnie jak inne promieniowanie elektromagnetyczne.

– Właśnie, panie profesorze.

– Proszę opowiedzieć o wrażeniach z kontaktu. Bo przecież wymieniliście sygnały, prawda?

Stan pokiwał głową. Tak, wymienili sygnały. Tym razem to był konkret, bez najmniejszych wątpliwości. Tamten na wielu pasmach nadał dokładnie taką samą sekwencję impulsów, jaką przy poprzednim spotkaniu wysyłali ludzie i jaką obcy odpowiedzieli na sam koniec. Otwartą kwestią pozostawało, czy istotnie niższe częstotliwości są dla nich bardziej czytelne, czy też podczas poprzedniego spotkania zareagowali z takim opóźnieniem na „zaczepek” Ziemiaków z innych powodów. I ta ucieczka. Jeśli oczywiście była ucieczką, bo przecież reakcje tych istot nie muszą być porównywalne z reakcjami ludzi.

– Nadają na długości od dwustu dziewięćdziesięciu do dwóch tysięcy nanometrów, do tego z częstotliwością od czterech herców do stu kiloherców – powiedziała Alena przez radio do wszystkich jednostek.

– Czyli w pasmach od pośredniego ultrafioletu do bliskiej podczerwieni i od infradźwięków do ultradźwięków – podsumował Stan i zwrócił się do pozostałych: – Wy też to macie?

Nadeszły potwierdzenia.

– Odczytujemy również fale radiowe, ale mikrofal już nie – powiedziała z drugiego batyskafu badawczego Lynn Sarkissian.

– Dobrze, nadajemy odpowiedź – zarządził Stan. – Na wszystkich dostępnych pasmach, podobnie jak oni, ale inna sekwencja. Po dwa impulsy co dwie sekundy. Zobaczymy, czy odpowiedzą tym samym.

Odpowiedzieli. Dla niezależnego obserwatora, gdyby się taki znalazł, musiałoby to wyglądać dziwnie – dwie zawieszono nieruchomo w toni morskiej meduzy naprzeciwko dwóch batyskafów i dwóch okrętów

podwodnych. Motorówki na powierzchni również się zatrzymały, a drony zawisły nad nimi. Na wszystkich jednostkach całą mocą pracowały skanery, sensory, radary, lidary i sonary. Wszystko było rejestrowane, a napięcie panujące wśród ludzi można by zmierzyć nawet niezbyt czułym woltomierzem.

Wszyscy mieli świadomość, że są uczestnikami wiekopomnego wydarzenia. Wydarzenia, które może zmienić nie tylko stan wiedzy, ale także postrzeganie świata, a nawet dokonać przewrotu w filozofii i teologii. Oczywiście nie myśleli dokładnie w ten sposób, ale doskonale zdawali sobie sprawę z wagi wydarzeń i tego, jak istotne będzie wszystko, co się stanie w ciągu najbliższych minut.

Stan potrzęsnał głową, odganiając wspomnienia, i spojrzał na przełożonych.

– Jeśli podejść do tego logicznie i bez emocji, nie zdarzyło się nic wielce szczególnego – powiedział. – Myśmy nadali kolejną sekwencję, dwa na dwa, a oni po pięciu sekundach odpowiedzieli. Potem nadawaliśmy trzy impulsy co cztery sekundy i nadeszła adekwatna odpowiedź. Wobec tego zaczęliśmy ustalać pasmo najbardziej dogodnie dla obu stron.

– W przypadku rozwiniętej cywilizacji każde powinno być równie dogodne – zauważył surowo pułkownik.

Stanislaus spojrzał na profesora, a kiedy ten zmrużył oczy, jakby dawał mu na coś zgodę, powiedział:

– Może pan się nie orientować, pułkowniku, ale regulamin kontaktowy wyraźnie mówi o takiej procedurze. Dzięki różnicowaniu parametrów fal elektromagnetycznych możemy się dowiedzieć czegoś o funkcjonowaniu i w pewnej mierze o anatomii obcych...

– Co mi tu świecisz w oczy regulaminem kontaktu? – zirytował się Dethardt.
– Znam go lepiej niż ty!

– Skoro tak, powinien pan wiedzieć, dlaczego podjęliśmy takie, a nie inne działania – odparł zimno Sordis.

– Ale wiesz, poruczniku, że te punkty są z zasady idiotyczne? – Pułkownik był spokojny, zupełnie jakby nie zauważył kpiny. – Przecież nasi interlokutorzy mogą podać jako dogodne dowolne pasma. Jeśli są rozumni, to nieobca jest im również sztuka oszukiwania, a tacy stratedzy jak Sunzi oraz cyniczni politycy jak Machiavelli muszą się rodzić w każdej populacji. Zatem ustalenie najdogodniejszego pasma nie musi oznaczać, że jest ono tym, w którym druga strona najbardziej by się chciała porozumiewać.

Stan bodaj po raz pierwszy spojrział na Pierdołę z pewnym podziwem. Nie spodziewał się po nim tak rozsądnej opinii w obliczu problemu.

– Oczywiście, bierzemy to pod uwagę – powiedział. – Lecz trzeba uwzględnić jeszcze inny czynnik. Przecież ustalamy najbardziej wygodne pasma. W ogóle nie muszą się one pokrywać z naszymi preferencjami, powinny po prostu być jak najmniej kłopotliwe dla obu stron. Dla nas nadawanie komunikatów w ultradźwiękach czy infradźwiękach nie jest zbyt komfortowe. Dla nich najwyraźniej nasze promieniowanie widzialne stanowi pewien kłopot.

– Racja. – Pułkownik oparł się wygodniej. – Dlatego zawsze powtarzałem, że te całe teoretyczne procedury można sobie w buty włożyć. Idioci opracowali je dla kretynów.

Sordis znów zerknął na Dethardta nieco zaskoczony. Ten tępy służbista naprawdę zaczynał go zadziwiać. Z jego uwag wynikało, że nieraz myślał o podobnych zagadnieniach, a jego wnioski najwyraźniej nie odbiegały od wyciągniętych przez Stana.

– Tyle że do tej pory to był regulamin zupełnie teoretyczny – powiedział Solimow. – Tak naprawdę w obliczu kontaktu z obcą cywilizacją musimy opracować nowe założenia i strategie. Co więcej, niewykluczone, że jeśli kiedyś napotkamy jeszcze jakąś rozwiniętą inteligencję, będziemy musieli pracować nad zupełnie nowymi procedurami.

– Właśnie – mruknął pułkownik. – Ale nie dowiedzieliśmy się jeszcze, co nasz pieszczoszek porucznik doktor ma do powiedzenia o ustalonym kanale kontaktu.

– Radio – odparł Stan. – Nadawaliśmy do siebie na różnych pasmach, ale jak już mówiłem, dla nich najwyraźniej kłopotliwe jest światło, a takie infradźwięki niekoniecznie korzystnie wpływają na organizm ludzki. Jednak Ciril Ragonky postanowił spróbować fal radiowych. Oczywiście długich, bo te rozchodzą się pod wodą. I wtedy zagrało. Pewnie, że lepiej by było używać krótkich albo ultrakrótkich, ale nie wiemy jeszcze nawet, czy obcy są organizmami wodnymi czy lądowymi.

– A pan na co stawia? – spytał profesor. – Tylko szczerze. Nie ma złej odpowiedzi, chociaż to nie burza mózgów.

Na wspomnienie burzy mózgów Dethardt skrzywił się.

– Jakoś mam wrażenie, że to stworzenia lądowe – powiedział ostrożnie Sordis.

– Na czym opierasz to wrażenie? – Pułkownik postanowił go przycisnąć po swojemu. – Tylko bez pseudonaukowego bełkotu.

– Tak mi się zdaje... – Stan wsłuchał się w siebie i przymknął oczy, starając się dociec źródeł swojego przekonania. I nagle go olśniło. – Już wiem! Oczywiście zakładamy, że ciemne twory wewnątrz meduz to przedstawiciele innego gatunku. Gdyby to były organizmy wodne, tworzyłyby pojazdy raczej na swoje podobieństwo.

– To nie jest oczywiste – zaprotestował profesor. – Człowiek skonstruował wóz konny, a potem samochód, ale go one nie przypominają.

– Ale maszyny kroczące już tak – odpowiedział Stan. – Samochód i inne tego typu pojazdy to konsekwencja wynalezienia koła. Jednak w wodzie to niepotrzebne. Jakie inteligentne zwierzę porusza się w takim środowisku najsprawniej? Delfiny, prawda? Wyobraża pan sobie, profesorze, doskonalszy

twór? Rozumie pan, o czym mówię?

Solimow patrzył na porucznika spod zmrużonych lekko powiek.

– Racja – przyznał. – Jeśli byliby w stanie przetrwać w środowisku wodnym, musieliby się w nim sprawnie poruszać. Bardzo sprawnie, bo inteligencja raczej rzadko idzie w parze z nieposkromioną siłą, musi umieć zmykać w razie zagrożenia. Albo zachowywać się tak, by zmylić drapieżnika. W obu przypadkach szybkość i zwinność to podstawa. Coś w tym jest.

– Lecz jest coś jeszcze – dodał Stan. – Wyszło nam, że dla tych istot światło widzialne to słabo dostrzegalny albo wręcz niewidoczny fragment widma, jak dla nas podczerwień czy ultrafiolet. A to znaczy, że nie ewoluowały one w wodzie, bo tutaj rejestracja zmysłowa właśnie tego pasma jest korzystna.

– Chyba że ich cywilizacja rozwijała się na dnie oceanu – zauważył trzeźwo Dethardt. Najwyraźniej na chwilę zapomniał o swoim wojskowym zachowaniu, bo pochylił się i oparł łokciami o stół. – W wiecznej ciemności promieniowanie dla nas widzialne jest z kolei bezużyteczne.

– Zgadza się – potwierdził Sordis. – Jednak należy wziąć pod uwagę fakt, że obcy przybywają do nas z góry, nie z dołu, co wykazały nawet dzisiejsze pomiary. A zatem głębiny nie są ich naturalnym środowiskiem.

– Oczywiście przyjmując, że nie zmieniają kursów dla zmyłki – zaproponował pułkownik.

– Tak. Ale Georges widział obiekt nad sobą, a ekstrapolacja kursu jednostki, którą spotkaliśmy poprzednio, również wskazuje, że nie wynurzała się z głębiny.

Na chwilę zapanowało milczenie. Trzej mężczyźni trawili zarówno opinie pozostałych, jak i wnioski, które nasuwały się im w trakcie rozmowy.

– A zatem długie fale radiowe jako platforma porozumienia – rzekł profesor. – To wręcz urocze.

– Nie wiem, co pana w tym tak zachwyca, profesorze – skomentował

pułkownik, wzruszając ramionami.

– Jakoś tak, wie pan... – Solimow zamyślił się na chwilę. – Przypominają mi się stare historie fantastycznonaukowe, zanim komukolwiek śniło się o łączności kwantowej czy eksperymentach z cząstkami do niedawna tylko teoretycznymi, jeśli chodzi o komunikację na duże odległości.

– Przepraszam – odezwał się cicho Stan. – Mają panowie do mnie jeszcze jakieś pytania? Bo nie ukrywam, że chętnie bym się umył i odpoczął. Za pięć godzin zaczynam dyżur w dyspozytorni.

Pułkownik i profesor wymienili spojrzenia.

– Możesz iść, poruczniku – rzekł Dethardt. – Tylko nie zachodź po drodze do swojej pani! Biorąc pod uwagę sytuację, oficer dyżurny ma być w pełnej dyspozycji psychofizycznej!

Stanislaus zacisnął wargi w wąską kreskę, żeby nie odpowiedzieć ostro na tę impertynencję. Jego wizyty u pani doktor nie powinny nikogo interesować, a już najmniej tego cholernego trepa.

– Ona jest teraz w laboratorium – powiedział Solimow. – Wiem, bo sam jej wyznaczyłem zadania na dzisiaj. To doskonały naukowiec, potrafi myśleć twórczo. Nasz przyjaciel i tak nie ma teraz szans na odprężający seks.

Stana aż skrzywiło. Przywykł do tego, że na stacjach badawczych dyskrekcja jest towarem deficytowym, jednak to już była przesada. A tych dwóch najwyraźniej nieźle bawiło się jego kosztem, czym był zdumiony, bo nie przypuszczał do tej pory, że profesor podzielał przaśny dowcip pułkownika.

W tej chwili żałował, że w całym obiekcie drzwi są tylko rozsuwane, bo chętnie by nimi trzasnął.

*

Rwący Sieć obserwował uważnie Wędrowca Po Niebie. Najstarszy uczony

trwał w bezruchu, przyswajając sobie wspomnienia zarówno starszego badacza, jak i Pełzającego Głazu. Obaj naukowcy czekali w pokornym skupieniu, aż vinduke wyssie z ich pamięci najdrobniejsze szczegóły.

Odike z pewnym smutkiem myślał o tym, że gdy wrócą na Opokę, to właśnie Wędrowiec Po Niebie będzie znany jako ten, który pierwszy nawiązał kontakt z obcą cywilizacją. Wszak w umysłach jego i erdike nie pozostaną po tym fakcie najmniejsze ślady. Tym razem bowiem vinduke nie użył zwyczajnych narzędzi do dzielenia się pamięcią, ale zastosował pełne odzyskiwanie. A to oznaczało, że Rwęcy Sieć i Pełzający Głaz zostaną zredukowani do roli prostych przekaźników. Ich aktywność podczas spotkania z obcymi obiektami nie będzie miała znaczenia. Jeszcze przez jakiś czas zachowają wspomnienia, ale później staną się one szarym szumem, zamienią się w niewyraźne, choć czytelne fakty niosące jedynie bardzo uogólnioną informację. Jednak najważniejsze to spływać w dół, ku doskonałej pełni, znajdować drogę ku lepszej pozycji w społeczności. Przysługa oddana wpływowemu vinduke nie powinna ulec zapomnieniu, inaczej niż wydobyte z odike dane.

– Zostaniemy na górze, jak zawsze – odebrał komunikat Pełzającego Głazu.

Młodszy badacz nadawał na wąskim paśmie, w którym komunikowali się tylko Niedotykalni i Niewyczuwalni. Ale to nie oznaczało, że świadomość lokalnej otchłani nie przejmie i nie zachowa tego przekazu. W pierwszej chwili chciał upomnieć gorszego, lecz w transmisji było coś więcej niż zwykły, nieco lekceważący ton erdike. Rwęcy Sieć wyczuł coś, co kojarzyło się z tęsknotą. Żal? Ale to uczucie było zakazane przez nauki mędrców, gdy służyło się lepszym! Żaden Opokanin nie powinien go odczuwać w takiej sytuacji! Niech każdy cieszy się tą pozycją w społeczeństwie, którą właśnie zajmuje, nawet jeśli stara się o coś więcej.

A jednak... Czyż on sam nie rejestrował u siebie czegoś podobnego, kiedy w przeszłości patrzył z pulsującą wewnątrz sangis, jak jego mentorzy

odbierają nagrody za trud prostego odike?

Nie. Nie! Nie!! Nie!!! On tak nie rozumował!

Dlaczego w takim razie nie przerwał stanowczo impertynentowi? Dlaczego odbierał prywatny przekaz, kodując go jedynie dla siebie, zamiast przekazać obrazoburcze opinie erdike wprost do wspólnej sieci? I dlaczego ten prostak w ogóle ośmielił się do niego w ten sposób zwrócić?

Odpowiedź przysła od razu. Obaj znajdowali się w podobnym położeniu. Obu właśnie pozbawiono wspomnień. W obu będą się kołatać jeszcze jakiś czas po wyprawie, ale gdy przestaną już być potrzebne, nie odzyskają ich, nawet gdyby zaraz zeszli do Otchłani i oddali się we władanie dwuświadości. Vinduke stał się jedynym dysponentem pamięci o kontakcie, on decydował, co i kiedy się z nią stanie.

Rwący Sieć z uwagą obserwował płytkę, do której Wędrowiec Po Niebie przelewał dane. On również nie zamierzał zostawiać ich sobie w komplecie. Przecież zawsze mógł się przyssać do swojej płytki i uzyskać pełne informacje. Jego kaście przysługiwał przywilej posiadania w zasadzie nieograniczonej pamięci zewnętrznej. Nieograniczonej z punktu widzenia odike, bo przecież istniały jeszcze niższe stopnie społeczne, dla których właściwie nic już nie było niemożliwe, a vinduke Wędrowiec Po Niebie znaczył dla ich przedstawicieli mniej niż dla tego ostatniego jakiś tam odike, choćby był bardzo przydatny.

– Na razie dokładnie pamiętacie wydarzenia – nadał vengu, który spoczął pod ścianą jaskini narad. – Określcie więc, czy ta inteligencja według was jest wysokiego rodzaju.

Rwący Sieć był zaskoczony żądaniem. Przecież kultura, która zdołała dotrzeć na ten glob, musiała reprezentować wysoki poziom rozwoju. Ale po chwili zrozumiał, czego pragnie dowódca wyprawy. Nie chodziło mu o umiejętności i talenty obcych. Chciał wiedzieć, czy są w stanie zagrozić

Opokanom militarnie. To było doskonałe pytanie, odike zawstydził się, że sam o tym nie pomyślał. Ale też właśnie dlatego vengu piastował swoje stanowisko, że potrafił dogłębnie analizować każdą sprawę, dysponował większymi możliwościami mentalnymi, i to bez jednoczenia w pełnej dwuświadości.

– Tego nie potrafimy stwierdzić z całą pewnością, czcigodny – odpowiedział. – Lecz zarejestrowaliśmy ich jednostki zarówno podmorskie, jak i nawodne i powietrzne. To wskazuje na wysoki poziom rozwoju, a jednocześnie daleko posuniętą specjalizację poszczególnych dziedzin aktywności. Należy jednak podkreślić, że podczas nawiązywania kontaktu nie wykazywali tendencji ekspansywnych.

– Ale zdajesz sobie sprawę, odike, że to o niczym nie świadczy? – nadał Ostrze Światła, dodając do komunikatu napomnienie.

– To dla mnie oczywiste, czcigodny. – Rwący Sieć starał się nie sformułować jakiejś myśli, która wywołałaby gniew lepszego, dlatego nadawał bardzo ostrożnie. – To tylko pierwszy poważniejszy kontakt. Ale gdyby chcieli nas zniszczyć, zrobiliby to, mając tak wyspecjalizowane jednostki, a przede wszystkim najpewniej przewagę liczebną.

– Niemniej trzeba zachować czujność – napomniął go Ostrze Światła.

– Zgadzam się, czcigodny.

– Dlatego musicie wtopić w świadomość najtwardsze przekonanie, że trzeba bardzo uważać przy każdym kontakcie z tym obcym gatunkiem. Nieważne, co wynika z bezpośredniego rozumowania. Jeśli zostaniecie wysłani na inną wyprawę, kiedy już zanikną wasze wspomnienia, to przekonanie musi wam zawsze towarzyszyć. A teraz ważne jest, co uczyni tamta strona, kiedy przyjdzie do bezpośredniego spotkania. Jeżeli przyjdzie, bo to zależy od decyzji Władcy Tryskającego Źródła, który patronuje, jak wiesz, naszej wyprawie jako Władca Leja Przestrzeni.

Po tych słowach vinduke zablokował linię komunikacyjną, zostawiając jedynie mały prześwit, aby gorszy mógł potwierdzić, że dotarło do niego wszystko, co powinno. Rwący Sieć natychmiast pchnął przez tę szczelinę informację o przyjęciu uwag, a ledwie to zrobił, kanał informacyjny domknął się.

– Jutro będę się czuł, jakbym właśnie opuścił pęk – zauważył Pełzający Głaz na wąskim paśmie. – Wyrwali mi chyba wszystko, co miałem w środku.

Rwącego Sieć vinduke potraktował tym razem z większą niż kiedykolwiek uprzejmością, ale erdike musiał mu oddać kończynę informacyjną.

– Nie waż się czynić podobnych uwag! – upomniał Rwący Sieć młodszego badacza. – Kiedyś brak panowania nad nadawaniem własnych myśli będzie cię kosztował wolność, a może nawet czasowe ograniczenie dostępu do sangis.

– Tak, czcigodny. To więcej się nie powtórzy – odpowiedział Pełzający Głaz.

Odike nie wyczuł w jego przekazie należytego respektu, ale udał, że nie zwrócił na to uwagi.

Tymczasem Wędrowiec Po Niebie zakończył pracę z danymi.

– Coś już wiemy – stwierdził. – Bez wątplenia mamy do czynienia z obcą inteligencją. Sądząc z odczytów, te obiekty to maszyny podobne do naszych kapsuł, chociaż mają o wiele mniejszy współczynnik integracji, zupełnie jakby były zbyt stare i rozpadały się na poszczególne tkanki. A jednak wydaje się, że funkcjonalnie są na porównywalnym do naszych poziomie. Niespotykane jest to, że zostały wykonane z materii nieożywionej, a nie wyhodowanej. Cóż za marnotrawstwo! Tak, to doprawdy zadziwiająca informacja.

Nadawał bardziej do siebie niż do obu naukowców, a nawet Ostrza Światła, dlatego żaden z gorszych nie śmiał się wtrącać, za to vengu przerwał monolog Wędrowca Po Niebie:

– Zgadza się, że to bardzo interesujące, najstarszy uczony, lecz z tego, czego sam się dowiedziałem z materiałów, ci dwaj ustalili jakoś czas i miejsce następnego spotkania.

– O ile prawidłowo porozumieliśmy się z obcymi – rzekł ostrożnie Rwęcy Sieć. – Co do miejsca, nie ma wątpliwości, ale co do czasu... Obawiam się, że oni używają innego systemu liczbowego.

– Każdy system można przeliczyć – zauważył vinduke, wbrew obawom starszego badacza nie gromiąc go za wtrącenie się do rozmowy lepszych. – Pod warunkiem że wie się, z jakiego na jaki. A my chyba wiemy?

Rwęcy Sieć dotknął porozumiewawczym impulsem Pełzającego Głazu. To on był matematykiem, więcej z tego rozumiał.

– Mów, erdike – zachęcił go vengu, oczywiście zauważywszy działanie starszego badacza.

– Jak już wiecie, czcigodni, obcy używają systemu dziesiętkowego. Na to przynajmniej wszystko wskazuje. To może nieco niewygodne, ale poradziliśmy sobie z przeliczaniem bez większego trudu. Problem dotyczy czegoś innego. Mianowicie tego, czy dobrze zrozumieliśmy ich przekaz co do dokładnej pory. Przyjęliśmy, że za podstawę posłużyła tutejsza doba, a nie ich. O naszej nic nie wiemy. Jeśli jednak są istotami myślącymi, na pewno określili interwał, biorąc pod uwagę miejscowe górowanie gwiazdy. Inaczej byłoby to pozbawione sensu.

– To się okaże – stwierdził bardzo spokojnie vinduke. – W tym wszystkim najważniejsze jest, że nawiązaliśmy kontakt. A jeśli w tej sprawie zaszło nieporozumienie, odpowiesz za to po prostu, erdike. I na przyszłość będziesz uważniejszy.

Odike z przerażeniem dostrzegł mętny błysk wewnątrz ciała młodszego badacza, kiedy rodząca się gwałtowna myśl wywołała impuls. Na szczęście ten zdążył ją zdusić. Vinduke zrozumiał to po swojemu, a może miał wolę tak

zrozumieć reakcję Pełzającego Głazu.

– Niepotrzebnie okazujesz strach, choć jeszcze nie ma przyczyny – rzekł surowo. – Wszak nie wiadomo, czy się pomyliłeś i czy kara nastąpi. Kto wie, może stanie się coś przeciwnego?

Jednak Rwący Sieć wiedział doskonale, że ten niechciany rozbłysk na niskiej częstotliwości nie był związany z obawami. Pełzający Głaz narobił sobie jeszcze kłopotów. Gorzej, że być może nie tylko sobie.

– Możecie odejść do swoich gniazd – powiedział vinduke.

Odwrócił się i położył dwa ramiona na płytkach komunikacyjnych, a obaj naukowcy posłusznie skierowali się do wyjścia. Kiedy znaleźli się na korytarzu i oddalili od laboratorium, Rwący Sieć odezwał się:

– Musisz bardziej nad sobą panować, erdike. Przyjmij to jako radę i zarazem ostrzeżenie. Następnym razem, gdy uczynisz coś takiego jak przed chwilą, możesz ponieść bardzo przykre konsekwencje.

Pełzający Głaz zatrzymał się bez ostrzeżenia, przez co odike, który ślizgał się dalej, musiał do niego wrócić, zagniewany, że młodszy badacz znów zachowuje się nieodpowiednio.

– Dziękuję za radę, szanowny odike – rzekł matematyk. – Oczywiście zapamiętam ją i będę się do niej stosował.

Jednak w jego przekazie nie było impulsów świadczących o prawdziwej skruszności. Rwący Sieć chciał od razu ukarać nadmiernie krnąbrnego naukowca, lecz uznał, że zrobi to kiedy indziej i nie w miejscu, które mogliby obserwować lepsi. Niższe kasty zasadniczo nie życzyły sobie patrzeć na takie załatwianie między sobą spraw przez gorszych. Nawet jeśli racja była po stronie karzącego, musiał się liczyć z tym, że poniesie konsekwencje łamania niesformalizowanych nigdy, ale obowiązujących zasad.

– Możesz odejść do siebie – zezwolił Rwący Sieć czekającemu na jego decyzję Pełzającemu Głazowi. – Zaraz po najbliższej służbie chcę cię jednak

zobaczyć w sali żywieniowej na naszym poziomie mieszkalnym. Musimy wymienić kilka uwag na osobności.

– Stanie się zgodnie z twoim życzeniem, szanowny odike.

Rwący Sieć obserwował, jak erdike oddala się, a potem znika w pionowym korytarzu, by dotrzeć do gniazda dwa piętra wyżej. Pulsowanie sangis odike ucichło i popadł w odrętwienie. Rozpoczął analizę swojego organizmu. Coś go niepokoiło, jakby czegoś mu brakowało. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że przecież zaraz po Zjednoczeniu oddał kończynę informacyjną Ostrzu Światła, a później zdarzyło się wiele różnych spraw. Powinien w przyspieszonym trybie dostąpić obrzędu Zejścia, aby prawidłowo funkcjonować, jednak nie mógł na to liczyć przy swoim obecnym statusie i w obecnej sytuacji. Musiał sobie radzić, lecz czuł, że jeśli przyjdzie mu sprostać wyjątkowo skomplikowanemu wyzwaniu, może nie podołać. A jeśli zawiedzie, kara będzie nieuchronna i surowa.

*

– Jesteś pewien, że dokładnie uzgodniliście termin następnego spotkania? – zapytała Alena May.

Siedzieli niedużą grupą w mesie, jedząc kolację i omawiając ten bogaty w wydarzenia dzień.

– Pewien? – zaśmiał się Robin Zacharenko, który z drugiego batyskafu badawczego nadzorował wymianę komunikatów podczas kontaktu. – Pewien jestem, że to rzeczywiście istoty rozumne, ale czy dobrze się zrozumieliśmy? To się okaże, jeśli zjawią się mniej więcej godzinę i dwadzieścia cztery minuty po górowaniu Izydy.

– Dlaczego akurat tyle? – spytała Ivette de la Croix, przypatrując się uważnie kotletowi, który miała na talerzu. Wyglądała, jakby obawiała się, że

jedzenie zaraz ją ugryzie.

– Bo to coś w rodzaju tutejszej godziny – wyjaśnił Robin. – Oczywiście w przybliżeniu. Gdyby podzielić dobę tej planety na dwadzieścia cztery, tyle właśnie wyjdzie.

– Nie rozumiem. – Ivette trąciła widelcem kotlet.

– Zrozumiałabyś, gdybyś przestała znęcać się nad tym sojowym nieszczęściem i skupiła się na rozmowie.

– Zastanawiam się, jak można zrobić potrawę z soi i nazwać ją sznycelem, a tak przecież jest napisane w karcie – mruknęła de la Croix. – Toż to czysta perwersja!

– To zamów coś innego – zniecierpliwiła się Alena i odezwała do Zacharenki: – Powiedz, o co chodzi z tą dzieloną właśnie tak dobą i dlaczego ją w ogóle dzieliliście, bo też mi to wtedy umknęło. Kiedy wyście prowadzili konwersację z obcymi, ja musiałam się skupiać na przyrządach i obserwacji otoczenia.

Robin westchnął i spojrzał na Vanesę Temple, jakby szukał u niej pomocy. Kobieta jednak wykonała gest oznaczający „bądź gospodarzem”.

– Ja wiem, o co chodzi, ale mnie tam nie było – powiedziała. – Mów, Rob. Pomogę, jakby co.

– No dobrze. Widzicie, okazało się, że nasi rozmówcy posługują się systemem ósemkowym. Ustaliliśmy to na samym początku, nadając sygnały jeden do jednego. Rozumiecie: jeden-jeden, dwa-dwa i tak dalej. Kiedy doszliśmy do ośmiu, oni przestali nadawać, a po dziesięciu my. Nic prostszego. Czyli mają system ósemkowy i wiedzą też, jakim my operujemy.

– U nas niektóre języki programowania wciąż opierają się na systemie ósemkowym – wtrąciła Vanessa. – Nie jest więc dla nas taki egzotyczny. Oni mogą mieć gorzej, bo wątpię, by do tej pory stosowali dziesiętny w jakichkolwiek warunkach. Nie mieli pewnie potrzeby, bo w sumie dziesiątki

to takie sobie odkrycie. Ale ich sztuczne inteligencje powinny przekładać takie informacje matematyczne na bieżąco, podobnie jak nasze.

– Zakładając, że mają sztuczne inteligencje – zauważyła Alena.

– Muszą mieć coś w tym rodzaju, skoro podejmują podróże międzygwiazdne.

– Zakładając, że nie są stąd – wtrąciła znów May.

– Nie są! – Milczący do tej pory Guido machnął ręką. – Namierzyliśmy transmisje kierunkowe między tymi dwiema meduzami a jakąś ich bazą. Triangulacja wykazała, że znajduje się trzy tysiące kilometrów od nas. Innych transmisji brak. A przecież eter cywilizacji aż wrze od przekazów. Nie da się ukryć cywilizacji rozwiniętej w skali całej planety.

– Znamy pozycję tej bazy? – upewniła się Alena.

– Znamy. Podobnie jak oni naszej, bo zadali sobie trud namierzenia jej. Ale nie o to chodzi. Jak mówiłem, przedtem nie stwierdzono na planecie jakichkolwiek modulowanych sygnałów radiowych czy w ogóle regularnych fal elektromagnetycznych dowolnej częstotliwości.

– Nie powinniśmy tego odkryć wcześniej? – spytała Ivette. – Przecież nadawali do siebie, odkąd tu są.

– Nie prowadziliśmy nasłuchu ukierunkowanego na identyfikację sztucznie generowanych sygnałów. – Guido wzruszył ramionami. – Program zareagowałby, owszem, ale raczej na powtarzające się sekwencje wskazujące istnienie jakiegoś celowego przekazu. Tamci pewnie też nie interesowali się każdym impulsem, jaki się pojawiał. Zresztą nadawaliśmy niewiele i tylko kierunkowe sygnały. Przypuszczam, że oni postępowali podobnie. Kompleksowy peleng jest ostatnią rzeczą, jaką mielibyśmy uruchamiać na takiej pustej planecie. Ale mamy nauczkę na przyszłość.

– Fakt, do tej pory zakładaliśmy, że jesteśmy jedynym rozumnym gatunkiem, jeśli nie we wszechświecie, to na pewno w naszej części Galaktyki – rzekł

Robin. – Akurat w Ramieniu Perseusza nigdy nie odkryto żadnych rewelacji, które by mogły zachwiać wiarą w naszą wyjątkowość.

– A tak w ogóle, nie czujecie się dziwnie ze świadomością, że spotkaliśmy obcych? – spytała de la Croix. – Bo ja mam wrażenie, jakbym dostała czymś w głowę i obudziła się w innym świecie.

– Czujemy, czujemy – zapewniła ją Alena. – Ja i Robin w dodatku widzieliśmy obce obiekty na własne oczy. Mów wreszcie, o co chodzi z tymi godzinami.

Zacharenko upił soku i potarł koniuszek długiego nosa.

– Wiecie, że siedzieliśmy w tej głębinie bite siedem godzin. To i dużo, i mało. Dużo, kiedy trzeba myśleć intensywnie jak na cholernym egzaminie ze statystyki, do którego się człowiek nie przygotował. Mało, gdy trzeba coś ustalać, uzgadniać jakieś sprawy z kimś, z kim nie ma płaszczyzny porozumienia poza zupełnymi podstawami, jak ustalenie systemów liczbowych. Zaczęliśmy od jeden dodać jeden i dwa dodać dwa. Początkowo po prostu nie przekraczaliśmy ośmiu. Potem poszliśmy dalej. Nie wiemy przecież, ile trwa doba na planecie obcych i jak ją dzielią. Nawet gdybyśmy umieli zapytać, odpowiedź nie byłaby stuprocentowo pewna. Dlatego dla uzgodnienia czasów trzeba używać tutejszej miary. Zaproponowałem podzielenie czasu obrotu planety na dwadzieścia cztery.

– Dlaczego? – spytała Ivette.

Robin westchnął.

– Naprawdę nie rozumiesz? Błagam! Bo jakiś podział trzeba było zrobić. Na swoim świecie może dzielią go na cztery, sześć, trzydzieści dwa, a może jeszcze inaczej. To wszystko na razie jest abstrakcją. Pozwoliłem więc sobie ułatwić sprawę na naszą modłę. Poza tym podział na dwadzieścia cztery jest czytelny i naturalny, dla nich nawet bardziej, bo to przecież trzy ósemki. To trochę tak, jakby oni zaproponowali podział tutejszej doby na trzy dziesiątki,

uznawszy, że to dla nas czytelne. Dałoby się zrobić, nie? Jestem pewien, że zrozumieli, że mamy się spotkać ten ustalony odcinek czasu po wyznaczonej godzinie. Nie mam tylko pewności, czy również zakładają, że chodzi o górowanie gwiazdy centralnej. Mam nadzieję, inaczej byłoby to mocno nielogiczne.

– Nie byliście w stanie dogadać się w tej kwestii? – zapytał da Campa.

– Wiesz, sierżancie, trochę trudno wytłumaczyć takie rzeczy bez konkretnej platformy komunikacji, więc na razie to wszystko jest chwiejne i kruche. Nie mamy pojęcia, jak oni postrzegają świat, a oni mogą powiedzieć o nas to samo... – Robin zamilkł na chwilę. – Łeb mnie zaczyna boleć, kiedy o tym myślę. Mam nadzieję, że profesor lepiej to ogarnie swoim genialnym umysłem, bo mój powoli kapituluje.

– A współrzędne kontaktu? – spytał Guido. – Ma to być przecież na lądzie.

– To akurat nie było trudne. – Zacharenko machnął ręką. – Podaliśmy wartość i podzieliliśmy na pół. I tak kilka razy. A oni to potwierdzili. Czyli spotkamy się w połowie drogi między naszą stacją a ich bazą. Tu chyba nie będzie wątpliwości.

Ivette przestała wreszcie dźgać widelcem kotlet sojowy, wezwała robota sprzątającego i z nieopisanym obrzydzeniem wrzuciła jedzenie do pojemnika na wierzchu szerokiego dysku, który polerował właśnie podłogę. Rozległ się cichy gwizd, robot podziękował i odjechał.

– W porządku – powiedziała. – Czyli nadal nie wiemy nic. Poza tym, że ci goście dysponują technologią na tyle zaawansowaną, żeby odbywać podróże kosmiczne i pętać się po obcych planetach. Jednak coś ich tutaj sprowadziło i musimy się koniecznie dowiedzieć, co to jest.

– Może podobnie jak nas skusiły ich tutejsze bogactwa naturalne?

– Może – zgodziła się Ivette. – Pytanie tylko, czy chodzi o te same, których my potrzebujemy, czy o coś innego. Bo jeśli to pierwsze, będziemy mieli

niebawem wojnę.

– Wojnę? – spytała z powątpiewaniem Alena. – Dlaczego?

– Proszę, mała... – jęknęła z udawaną afektacją de la Croix. – Obie jesteście trepami z pewnym doświadczeniem. Nie wiesz, jak to działa? Koncerny ledwie tolerują konkurencję w ramach naszego gatunku, po cichu toczą wojny, mają własne armie. A co dopiero mówić, kiedy okaże się, że jacyś obcy weszli im w paradę. Służyłaś przecież rok w takiej korporacyjnej formacji, nie? Wiesz więc chyba, że łatwo nie odpuszczają. Gdyby nie strach przed interwencją wojsk federalnych, mielibyśmy ustawiczną wojnę o wszystko: o surowce, lokalizacje, kontrakty, prawa patentowe, nawet skład załóg wypraw eksploracyjnych... Te dupki wykazują sporą inwencję, kiedy trzeba znaleźć pretekst do wszczęcia awantury.

Guido pokręcił głową z niedowierzaniem. To właśnie była cała podporucznik de la Croix. Wydawało się, że atrakcyjna blondynka nic nie rozumie, zadawała idiotyczne pytania, a potem wyskakiwała z czymś takim.

– Może nie będzie tak źle – mruknął bez przekonania.

– Będzie, będzie – odparła Ivette. – Ty też masz epizod pracy dla paliwowego korpo, więc sam nie wierzysz w to, co mówisz. Zobaczycie jeszcze, jak jajogłowi z zespołu naukowego będą gardłować, każdy w interesie tej firmy, która sfinansowała jego przelot. W mieszanym będzie cicha walka tych, którzy zostali potajemnie podkupieni. Z kolei wojskowi dostaną regularnego pierdolca z procedurami i bezpieczeństwem. Wystarczy, że nawiążemy łączność z Centralą. Tam już różni przedstawiciele przestępują z nóżki na nóżkę i kombinują, jak tu dowalić konkurencji. A kiedy się dowiedzą, że mają kolejnych, niespodziewanych konkurentów... Strach się bać, jak mawiał mój ojciec.

Przy stoliku przez chwilę panowało milczenie.

– Możesz mieć rację, cholera – powiedział w końcu Robin.

– Wolałabym nie. – De la Croix wzruszyła ramionami. – Zawsze istnieje szansa, że oni chcą czegoś innego niż my. Ale, tak czy inaczej, będzie niezła kotłowanina.

– Miejmy nadzieję, że to się jakoś wyjaśni – rzekła Alena. – Tylko że jeśli to coś innego, czego szukają, będzie kolidowało z naszymi interesami, na przykład okaże się, że znajduje się na naszym terenie albo przeszkadza w wydobywaniu koncernom, też nie będzie wesoło.

– Z ust mi to wyjęłaś, mała – powiedziała Ivette.

A potem zamówiła średnio wysmażony befsztyk.

– Przecież wiesz, że i ta soja, i to mięso pochodzi z syntetyzera – odezwał się da Campa.

– Piwo i sok dyniowy też. – Kobieta wskazała pokal, który stał przed sierżantem. – To dlaczego nigdy nie widziałam, żebyś zamawiał ten wstrętny sok?

Guido roześmiał się na cały głos.

– Touché, pani podporucznik! – zawołał. – W takim razie też zamówię stek. Tylko krwisty.

– I jeszcze jedno piwo. Nie zapomnij o najważniejszym, sierżancie.

– Nigdy! – odparł z pełną powagą.

Wszyscy przy stole parsknęli śmiechem.

*

Georges Linneaux nie mógł zasnąć. Te wszystkie przeżycia, cała ta nowa sytuacja wytrącały go z równowagi. Zastanawiał się, czy przejdzie do historii jako pierwszy człowiek, który zetknął się z obcą inteligencją, czy też jego rola zostanie zapomniana. W tej chwili było mu to raczej obojętne. Nawet jeśli nie będą go wspominać jak Neila Armstronga, nie zamierza płakać. Tym bardziej

że lądowanie na Księżycu było niewątpliwym osiągnięciem ludzkości, zapowiadało erę ekspansji kosmicznej, a nawiązanie kontaktów z innymi istotami może się różnie skończyć. Zaczął sobie zdawać z tego sprawę, kiedy wziął udział w tej tak zwanej burzy mózgów. To, co wygadywali ludzie, których miał za całkiem inteligentnych, przekraczało jego możliwości pojmowania. Niby rozumiał sens słów, ale nie ogarniał sensu całych wypowiedzi. Dlatego wolał siedzieć cicho przez większość czasu.

Teraz miał przed sobą dwanaście godzin wolnego i powinien wykorzystać je na odpoczynek, ale samotne przebywanie w pokoju wydawało mu się okropną perspektywą.

Chciał pogadać ze Stanem, ten jednak nie odpowiadał na wezwania przez interkom, a drzwi jego kwatery były zamknięte i świeciła się pomarańczowa lampka, znak, że gospodarza nie ma w środku. Dopiero potem Georges sprawdził grafik i zobaczył, że Sordis ma dyżur. Koszmarną pracę mieli ci z zespołu mieszanego. Spadały na nich obowiązki zarówno cywilne, jak i wojskowe, mieli mniej czasu dla siebie od wszystkich innych. Wprawdzie otrzymywali dwadzieścia procent wyższe wynagrodzenie niż cywile i kadrowi żołnierze, ale Linneaux nie chciałby się z nimi zamienić. Wolał liczyć na premię za jakieś przydatne dla finansującego go konsorcjum odkrycie lub innowację technologiczną. Taka premia potrafiła wynieść więcej niż zasadnicza płaca za całą wyprawę.

Pokręcił się jeszcze po korytarzach, a potem postanowił wyjść. Na Ziemi powiedziałby „przewietrzyć się”, ale tutaj musiał włożyć kombinezon i hełm z maską filtrującą, więc o łyku świeżego powietrza nie mogło być mowy. Chyba że zdjąłby maskę, ale wolał jednak nie eksperymentować z tutejszym powietrzem. A raczej łamać przepisów, bo za takie wykroczenia, jeśli wyszły na jaw, rozliczał osobiście przekłety Dethardt, profesor zaś nie miał prawa się wtrącać. Linneaux ze swoim zezowatym szczęściem do pułkownika pewnie

z miejsca natknąłby się na niego po naruszeniu odnośnego punktu regulaminu.

Nie był zdziwiony, kiedy nad brzegiem oceanu zobaczył porucznika Rossa. Ucieszył się nawet na jego widok. Uważał go za rozsądnego, a przy tym bardzo sympatycznego oficera. I wiedział o fascynacji Ronalda zjawiskiem żerującej chmury. Właśnie w tej chwili tworzące ją mikroorganizmy zgromadziły się nad powierzchnią wody, zdawały się muskać fale, lecz egzobiolog wiedział, iż zawsze między krawędzią zjawiska a oceanem jest zachowana granica. Znajdujące się tuż nad wodą żyjątka zasysały niewidoczne gołym okiem rośliny i przekazywały je w górę chmury. Ta wolna przestrzeń wynosiła pięć centymetrów, plus minus dziesięć procent. Jednak stojącemu kilkadziesiąt metrów dalej obserwatorowi mogło się wydawać, że żywioły łączą się w urokliwym tańcu, tworząc jedność. A to dlatego, że zarówno spód, jak i wierzch chmury poruszał się w harmonijnej zgodności z wysokimi falami. Cała chmura reagowała w ułamku sekundy, jakby impuls nerwowy przebiegał przez całkowicie zintegrowany organizm, nie pozwalając na jakikolwiek kontakt z falami. Woda była dla tych mikroorganizmów zabójcza, co już na samym początku badań zostało stwierdzone w laboratorium. Fale oczywiście nie miały stałej amplitudy, zależało to od zbyt wielu czynników, a jednak cała chmura reagowała precyzyjnie, zupełnie jakby przewidywała, co się za chwilę stanie.

Naukowcy próbowali w różnoraki sposób zakłócić jej funkcjonowanie, ale okazała się odporna zarówno na fale świetlne, jak i radiowe. Nawet rentgen nie miał wpływu na zjawisko, choć sporo organizmów potraktowanych twardym promieniowaniem zginęło. Dopiero wyładowania elektryczne sprawiły, że chmura częściowo straciła zdolność błyskawicznego reagowania. Wprawdzie falowała wraz z morzem, ale woda zaczęła muskać najniżej unoszące się organizmy. Lecz gdy tylko niepożądane oddziaływanie znikło, sytuacja wróciła do normy. Wbrew pozorom chmura za każdym razem

ponosiła pewne straty. Choć wydawało się, że jej dół zawsze pozostaje centymetry nad falami, drobna część materii była pochłaniana. W każdej sekundzie woda gdzieś tam jednak sięgała chmury, a wtedy tysiące drobin ginęło, pogrążając się w przejrzystej toni. Co się z nimi działo? Georges miał pewną hipotezę, ale wymagała ona sprawdzenia.

– Witaj, Ronaldzie – powiedział.

Pilot wzdrygnął się, zaskoczony, ale nawet nie odwrócił głowy. Nie musiał – niewielki HUD z lewej dolnej strony hełmu od razu wyświetlił, kto nadał komunikat.

– Witaj, doktorze – odparł po chwili. – Przyszedłeś popatrzeć?

– Popatrzeć i oderwać się od ostatnich wydarzeń. Chciałem pobyć sam, ale chętnie porozmawiam z kimś, kto nie pośle mnie z miejsca do diabła. – Milczał przez moment. – Wiem, co o mnie mówią. Że jestem męczącym gadułą i trudno ze mną wytrzymać, bo mam przykry zwyczaj nie dopuszczać innych do głosu.

– Ja tam cię lubię – mruknął Ron. – Może dlatego, że sam za wiele nie mówię, więc trudno mi przerwać albo wejść w słowo.

Przez cały czas wpatrywał się w tańczącą chmurę. O tej porze, gdy Izyda schodziła nad horyzont i podświetlała zjawisko, widać było doskonale cienie i rozjaśnienia, kiedy mikroorganizmy zagęszczały lub rozluźniały szyki.

– Wiesz, że one są połączone trochę jak neurony? – powiedział Linneaux. – Przewodzą impulsy elektryczne. To dlatego tak błyskawicznie reagują i dlatego wyładowania elektrostatyczne są dla nich groźne.

– Tak, wiem – rzekł porucznik. – Czy to nie przypomina pracy mózgu?

Georges roześmiał się.

– Może nieco, ale to odległe skojarzenie. Tutaj nie stwierdziliśmy wyspecjalizowanych struktur, więc to po prostu organiczna chmura. Przypomina bardziej ławicę ryb niż mózg.

– A czy to, że czegoś nie stwierdzono, oznacza z miejsca, że nie istnieje? – spytał poważnie Ross. Po raz pierwszy spojrzął na egzobiologa.

– Co dokładnie przez to rozumiesz? – zainteresował się Linneaux.

– Nic wielkiego. Po prostu sformułowałbym to tak: Czy twierdzisz, że nie stwierdziliście, iż coś jest lub nie jest czymś, czy też wykluczyliście z całą pewnością istnienie tego czegoś?

Naukowiec pokiwał głową. Tak, to było znakomicie postawione pytanie, chociaż nieco zakręcone.

– Chodzi ci przede wszystkim o to, że ponieważ w zbadanym do tej pory wszechświecie nie stwierdziliśmy istnienia obcej inteligencji technicznej, to zaczął obowiązywać aksjomat, że jesteśmy sami?

– Mniej więcej – przytaknął pilot. – Ale mniej niż więcej. Bo skoro spotkaliśmy obcych na wysokim poziomie rozwoju, aksjomaty wzięły w łeb. Bardziej chodzi mi o samo podejście. Jak mi się zepsuje maszyna, z reguły wiem, co zawiodło, bo SI jednostki od razu melduje. Zdarza się jednak, że pęka coś, czego się szczegółowo nie monitoruje, bo nie ma prawa pęknąć, albo zachodzi zjawisko, które wykracza poza doświadczenie sztucznej inteligencji. I jeśli nie wiem, co się dzieje, to nie upieram się, że wszystko jest w porządku, tylko sam szukam, aż znajdę.

– Ale co? – spytał nieco zdezorientowany egzobiolog. – Chciałbyś, żebyśmy obalili coś, czego obalać nie potrzeba? Przecież te chmury nie zachowują się rozumnie.

Ross potrząsnął głową. Georges dostrzegł to przez przejrzystą kulę hełmu.

– Nie o to chodzi. Przyjrzyj się temu, co mamy przed sobą. Przecież tam wewnątrz można wyodrębnić ciągi figur. Przechodzą płynnie jedno w drugie, więc jeśli się nie skupisz jak należy, łatwo to przegapić.

Linneaux musiał się z nim zgodzić, ale tylko częściowo.

– Oczywiście, zauważyliśmy takie układy wewnątrz chmury, lecz

interpretacja statystyczna była bezlitosna. To naprawdę przypadkowe kształty, a że przeradzają się w serie i przechodzą płynnie jeden w drugi? Cóż, tak to działa również w znanej nam doskonale ziemskiej przyrodzie. Wystarczy poobserwować obłoki tworzące struktury graficzne. A poza tym umysł ludzki wykazuje tendencje do uzupełniania fragmentarycznych informacji.

– Mój mózg widzi więcej, niż w istocie dostrzegam? – skonkretyzował Ron.

– Właśnie. – Linneaux, patrząc na podświetlane pod coraz mniejszym kątem cienie i poblaski, musiał przyznać, że zjawisko mogło zafascynować. – W filozofii na piękno składają się mądrość i prawda. Jednak mądrość nie musi oznaczać od razu inteligencji, lecz doświadczenie. Każdy organizm w takiej chmurze, jeśli go wyodrębnić, jest niczym, pyłkiem zaledwie. Ale zobacz, kiedy funkcjonuje w chmurze, korzysta z dobrodziejstwa mnogości, ze zbiorowego doświadczenia, że tak to w uproszczeniu określe.

– Ale to nie jest inteligencja, prawda? – mruknął pilot.

– Nie jest – potwierdził Georges. – Organizacja tego zjawiska pozostaje na zbyt niskim poziomie.

Zamilkli, wpatrując się w pływającą gęstwę istot tak drobnych, że ich kształty widać było dopiero pod mikroskopem.

– Co tam się teraz dzieje? – spytał Ron. – Bo za godzinę zaczynam służbę i wolałbym wiedzieć.

– W sumie spokój i cisza. – Linneaux wzruszył ramionami. – Ale to tylko pozory, bo praca wre. Nasz kochany lingwista siedzi z matematykami, fizykami i chemikami, opracowując wstępny słowniczek. Na razie symboli matematycznych i równań poprzekładanych na system ósemkowy. Od samego myślenia o tym dostaję mdłości.

– Roy Farra ma aż takie pojęcie o matematycznych kluczach komunikacji? – spytał z powątpiewaniem pilot.

– Zaskoczę cię, ale wygląda na to, że posiada sporą wiedzę. Tak, wiem, też

miałem go za miłego kretyna, ale najwyraźniej jest kompletną dupą tylko w normalnych sytuacjach społecznych i grach interpersonalnych, jak to się uczenie mawia.

– Ciekawe, czy się z nimi w ogóle porozumiemy na jakimś rozsądnym poziomie – powiedział pilot pod nosem, ale radio bliskiego zasięgu doskonale przeniosło jego głos.

– Wszystko się okaże. – Egzobiolog westchnął. – Ale czuję się bardzo nieswojo.

– Obawy i lęki? – spytał Ron. – To chyba normalne. Jesteśmy zupełnie sami na obcym globie, a tu nagle pojawiają się przedstawiciele innej cywilizacji. Wszyscy mamy prawo się bać. Nie wiemy przecież, co siedzi w tych istotach.

– Tylko widzisz, Ron, ja bardziej boję się nas niż ich. Rozumiesz? Obawiam się tego, co sami możemy zepsuć w kontakcie, do czego doprowadzić w razie nieporozumień.

Ron zastanawiał się przez kilka sekund.

– Chyba masz rację – rzekł wreszcie. – Człowiek zawsze potrafił bardzo wiele zbudować, ale też obrócić mnóstwo rzeczy w gruzy.

*

Pełzający Głaz zjawił się w sali żywieniowej o wskazanej porze. Spoczywali naprzeciwko siebie w zagłębieniach.

– Zdajesz sobie sprawę, erdike, że twoje zachowanie bywa bardzo kłopotliwe? – zaczął Rwęcy Sieć.

– Już mnie pod tym względem nieraz pouczano – odparł młodszy badacz. – Należy brać pod uwagę, że pochodzę z wysokiej kasty, nie odebrałem starannego wykształcenia, jeśli idzie o stosunki z lepszymi. Przedstawiciele niższych kast widziałem może trzy razy, zanim trafiłem na nauki.

– To cię nie tłumaczy – zakomunikował odike, nadając przekazowi karcącą modulację.

– Nic mnie nie tłumaczy, nigdy. Tę wiedzę przyswoiłem sobie już dawno. Częściej jestem karany niż nagradzany, podobnie jak inni Niedostrzegalni.

Rwący Sieć był zaskoczony.

– Pochodzisz z Niedostrzegalnych? Byłem przekonany, że wypączkowałeś wśród Niewyczuwalnych.

– Bo tak było. Mój dawca życia został przeniesiony kastę niżej za jakieś zasługi. Ale zaraz po moim pierwszym Zejściu ukarano go wydaleniem do góry. Ja pozostałem jednak tam, gdzie dano mi życie i gdzie się rozwijałem, zgodnie przecież z prawem. Oczywiście w niższej warstwie tej kasty, niż mi to początkowo przypisano.

Rwący Sieć poczuł odrazę, kiedy dotarło do niego, że tak często obcował z kimś, kto jest zbrukany pochodzeniem. Niedotykalnych od Niedostrzegalnych dzieliła przepaść, i to większa niż Niepoliczalnych od Nieskończonych. A dystans do Nieobecnych był wręcz gigantyczny. Cóż takiego musiał uczynić rodzic Pełzającego Głazu, że go awansowano? Bo już ukarany degradacją mógł zostać za cokolwiek.

– Tym bardziej powinieneś dbać, aby twoje postępowanie nie sprawiało kłopotu lepszym – nadał odike, mimowolnie używając modulacji przeznaczonej do kontaktów z gorszymi.

Pełzający Głaz załśnił na wysokiej częstotliwości i przygasł, zanim odpowiedział. Doprawdy, nie potrafił nad sobą panować.

– Wiesz, co mi się zdaje, czcigodny odike? – spytał i natychmiast udzielił odpowiedzi: – Że moje postępowanie jest większym problemem dla ciebie niż dla lepszych z naszej wyprawy. Dla nich jestem mniej niż kamykiem na szczycie skały, kamykiem, którego nie widać. Ty zaś uważasz mnie za zagrożenie. Bo ty stoisz nad nimi, więc ten kamyk już dostrzegasz. A ponieważ

na ciebie zwracają większą uwagę, uznałeś, że jeśli ja coś źle zrobię, również możesz ponieść konsekwencje.

– Tak – przyznał Rwęcy Sieć. – Przed tym także chciałbym się uchronić. Odpowiadać przed lepszymi za kogoś z wyższej kasty jest sprzeczne z rozsądkiem, chyba nie sądzisz inaczej?

Erdike nie odpowiedział, co sprawiło, że starszy badacz poczuł irytację.

– Czy sam chciałbyś ponosić odpowiedzialność za jakiegoś robotnika spośród Nieobecnych?

Pełzający Głaz nadal milczał, lecz kiedy skrajnie zlekceważony odike zamierzał już udzielić mu ostrej reprymendy, odezwał się. Tym razem nie nadawał – użył narządu głosowego, żeby wygenerować serię sygnałów. Rwęcy Sieć zauważył, że modulacje erdike są wysokiej jakości i bardzo wyraźne. Lecz to także świadczyło na niekorzyść młodszego badacza, wskazując, że urodził się wśród gorszych, w naprawdę wysokiej kaście, tuż pod poziomem wietrzejących skał, i musiał szkolić się bardzo długo, aby opanować ten rodzaj wysyłania komunikatów. Każdy, kto od dzieciństwa używał narządu głosowego do porozumiewania się, a nie tylko do wydawania wykrzyknień semantycznych, posługiwał się nim z o wiele większą swobodą, lecz nie czytelował każdego sygnału. Zdarzało się, że modulacje zachodziły na siebie, przez co niektórych znaczeń trzeba się było domyślać.

– Czcigodny odike – zahuczał Pełzający Głaz – z pewnością nie chciałbym ponosić odpowiedzialności za kogoś, ale nieważne, czy byłby to robotnik spośród Nieobecnych, urzędnik z Niepoliczalnych czy też któryś z wyrzutków bytujących poza kastami. Za ciebie, czcigodny, również bym nie chciał.

Rwęcy Sieć milczał, zupełnie zaskoczony. Oto spoczywający przed nim erdike, przeniesiony za sprawą łaskawości lepszych do niższej kasty, wygłaszał słowa, za które można było trafić jeśli nie do miejsca odosobnienia i ograniczenia dostępu do sangis, to co najmniej do lecznicy umysłu. Bo takie

słowa mogły być oznaką szaleństwa.

– Czy wiesz – odezwał się wreszcie po kilkunastu periodach, również używając narządu dźwiękowego – że zamykasz sobie drogę do Świętej Otchłani? Tej prawdziwej, która nas przyjmie po wygaśnięciu? W której będziemy się pławić w takiej sangis, jakiej zażywają Stwórcy?

– Która ma nas przyjąć, wedle nauk wiary – uściślił erdike. Przeszedł na zwykły sposób komunikacji. – Jeśli będziemy posłuszni.

– Właśnie, młodszy badaczu – rzekł Rwały Sieć, nadając impuls ostrzeżenia. – A ty posuwasz się stanowczo za daleko.

Pełzający Głaz odpowiedział sygnałem ukorzenia się, jednak odike odniósł wrażenie, że nie płynął on z głębi monoświadomości poruszonej lękiem przed obrazoburstwem.

– Czyżbyś należał do tych renegatów naszej świętej społeczności, którzy chcą podważać zasady rządzące światem? – spytał Rwały Sieć z mimowolnym zaciekawieniem, obawiając się jednocześnie odpowiedzi, jaką może uzyskać.

– Nie, czcigodny. Gdybym należał do takiej grupy, nie miałbym szansy polecieć na wyprawę gwiazdną. Usychałbym teraz bez sangis w jakimś miejscu odosobnienia albo zgoła już odszedł. Jednak pamiętaj, że pochodzę z gorszej kasty. Obawiam się, że nie masz pojęcia, jak egzystuje się na takim poziomie. Jesteś odike, a zatem urodziłeś się u samego dołu Niedotykalnych, co sprawia, że stoisz między ostatnim kręgiem gorszych a pierwszym lepszych. Jeśli się dobrze zasłużysz, twoje potomstwo wypączkuje wśród Niepoliczalnych, prawda? Nigdy nie brakowało ci sangis, choć na pewno nie była ona takiej jakości jak w niższych kastach. A ja wiem, co to pragnienie, jak wstrętna jest lura, w której trzeba się zanurzyć, a której używało przed tobą nie wiadomo ilu niekoniecznie zdrowych Opokan. Wiem, jak działa dwuświadomość we wspólnym sarkofagu. A raczej, jak nie działa.

– Przemawiasz niczym rewolucjonista – zauważył Rwęcy Sieć. Zdołał się już nieco uspokoić. Doszedł do przekonania, że nie może odpowiadać za szaleństwa podwładnego. Oczywiście, pod warunkiem że zawiadomi vinduke lub vengu o tej rozmowie.

– Powtarzam, czcigodny odike, że nie należę do żadnej buntującej się grupy. Sam, podobnie jak ty, chcę poprawić swój status. Lecz wiem doskonale, że nie masz większego pojęcia, jak wygląda prawdziwa sytuacja na Opoce. Hodowano cię na naukowca, przeznaczono do tej służby, zanim jeszcze w pełni wypączkowałeś z ramienia rozrodczego.

Rwęcy Sieć poczuł, jak sangis w nim twardnieje na taką bezczelność. Jak byle erdike śmiał czynić mu podobne uwagi?! Powinien natychmiast zakończyć tę rozmowę i udać się do lepszych, aby przekazać jej treść. Jednak ciekawość naukowca wygrała w nim z ostrożnością.

– Najwyraźniej wiesz więcej ode mnie – stwierdził. – To zaskakujące.

– Po prostu obserwuję, czcigodny odike, i mam doświadczenie. Nic więcej. A także widzę, że dla ciebie nasz świat ma zwartą, przejrzystą budowę, tak krystaliczną jak najlepsza sangis. Tymczasem tak nie jest. Jak myślisz, dlaczego lepsi z niższych kast postanowili wydać ogromne środki i zdobyć się na wysiłek, aby podróżować w leju kosmosu? Dlaczego przewyciężyli lęk przed nieogarnioną przestrzenią, której kres i dno ostatniego kręgu leżą niewiarygodnie daleko? Wszak jeszcze nie tak dawno obowiązywała zasada, że jeśli wzbijemy się w górę, jeśli opuścimy bezpieczne opokańskie Otchłanie, trująca zawartość kosmosu wleje się do środka i zniszczy całe życie na naszym świecie.

– Wątpię, aby uczeni z niższych kast wierzyli w takie brednie – zauważył Rwęcy Sieć. – Inaczej nie zdecydowaliby się na loty międzygwiazdne, nie odważyli przebić firmamentu tylko po to, aby sprawdzić, czy rzeczywiście sygnały z nieba są jedynie ułudą, czy zwiastują istnienie innych światów.

– Był pewnie czas, kiedy w to wierzyli, lecz dawno temu – zgodził się Pełzający Głaz. – Jednak ich odwaga wynika z lęku. Naprawdę tego nie pojmujesz?

Po raz kolejny podczas tej rozmowy starszy badacz poczuł, jak sangis w nim tężeje. Ten erdike stanowczo powinien przebywać w miejscu odosobnienia, a nie zajmować stosunkowo ważne stanowisko na wyprawie badawczej.

– Nasze społeczeństwo jest o krok od katastrofy – ciągnął młodszy badacz. – Lepszy próbują utrzymać to w tajemnicy, ale jeżeli ktoś porusza się między kastami, widzi więcej. Ty pączkowałeś już jako obywatel Niedotykalnych, kiedy pamięć w sangis twojego przodka się zatarła. Ale mój przodek przeszedł niżej tuż przed tym, jak zaczął pączkować. A jak doskonale wiesz, związki pamięciowe z okresu przed narodzeniem pozostają na całą egzystencję. Dlatego zawsze miałem świadomość, wprowadzie nieco mętną i niewyraźną, że wśród Niedostrzegalnych sytuacja jest przerażająca. A co się musi dzieć na samej górze, wśród Nieobecnych...

– A kogóż to może obchodzić? – oburzył się Rwęcy Sieć. – Oni są nikim! Ich los nie ma najmniejszego znaczenia.

Pełzający Głaz nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Też nimi pogardzam – oznajmił w końcu. – Na pewno nie mniej niż ty. Lecz to nie tak, że są zupełnie nic niewarci. Ich praca podtrzymuje cały układ społeczny. Oczywiście wykonują ją tak, jak potrafią, nie mają dostępu do innej sangis niż taka, na którą nawet byś nie spojrział, którą uznałbyś za zepsutą i pozbawioną wartości, jednak coś robią. A liczba Nieobecnych i Niedostrzegalnych przeradza się w dużą wartość ich nędznej pracy i równie nędznych umiejętności.

– Opowiadasz jakieś nielogiczne bzdury! – oburzył się Rwęcy Sieć. – Wiadomo wszak, że niższe kasty wspierają wyższe! Roztaczają nad nimi opiekę i utrzymują je, aby ci godni pogardy nieszczęśnicy, upośledzeni

kaprysem Stwórców, mogli jakoś egzystować.

– Co nie zmienia faktu, że społeczność działa jako całość – zaproponował delikatnie Pełzający Głaz.

Starszy badacz doszedł do przekonania, że jego rozmówca nie jest rewolucjonistą, a co najwyżej plugawym wolnomyślicielem. To też było wstrętne.

– Lecz ta całość opiera się na Władcach, na Niewymawialnym, Nieosiągalnych i innych lepszych. My tylko czerpiemy z ich łaski i mądrości. A im wyższa kasta, tym bardziej korzysta.

– Jeśli nawet dawniej tak było – odparł Pełzający Głaz – to już to przeminęło. W tej chwili lepsi nie są w stanie udzielić wyższym kastom takich łask jak kiedyś. I to nie jest ich kaprys. Po prostu zaczęło brakować sangis. A w ostatnim czasie brakuje jej wręcz rozpaczliwie, czcigodny odike. O tym się nie mówi, ale ta wyprawa jest bodaj ostatnią nadzieją. Podjęto zresztą też inne, lecz nasza wydaje się najbardziej obiecująca.

Rwący Sieć wydał akustyczny odgłos oznaczający najwyższe wzburzenie, a młodszy badacz aż się cofnął przestraszony.

– A ty skąd masz takie wiadomości? Nigdy o czymś podobnym nie mówiono, nic nie wiem, by położenie Opokan było tak złe!

– A czy przez ostatnie lata sprawdzałeś coś innego niż wiadomości naukowe, czcigodny? Czy robiłeś coś innego niż studiowanie danych z badań? Czy przebywałeś gdziekolwiek poza ośrodkami przygotowawczymi?

Odike poczuł, że stężała sangis w jego wnętrzu powoli mięknie. Wyglądało na to, że erdike również się rozluźnił. Mógł się spodziewać ataku starszego badacza, w którym irytacja wywołała pierwotne zachowania odziedziczone po najdawniejszych przodkach. Pełzający Głaz zdawał sobie sprawę, że bardzo ryzykuje. Gdyby w ten sposób rozmawiał z vengu, już by nie żył. Ale Ostrze Światła miał w sobie najczystsza sangis, pełną żywych doświadczeń

przodków, dlatego był tak groźnym i skutecznym wojownikiem. Jak zresztą wszyscy Niedostępni stojący już na granicy zmieszania życiodajnej substancji z tą używaną przez Nieskończonych. Tymczasem w odike przelewała się sangis o wiele mniej doskonała. Taka, która już wielokrotnie przeszła cykl oczyszczania. A każdy taki cykl pozbawiał cudowny kamienny płyn drobnej części jego zbawiennych właściwości. Dlatego odike nie był tak skłonny do zdecydowanych, gwałtownych działań.

– Nie interesowałem się naszym układem społecznym – przyznał Rwący Sieć. – Otrzymałem od vinduke Wędrowca Po Niebie odpowiednie wytyczne oraz bardzo ważne zadania i na nich się skoncentrowałem.

– Zatem może pora trochę się rozejrzeć, czcigodny odike – młodszy badacz odważył się na skrajną bezczelność.

Rwący Sieć nawet nie odpowiedział. Wydał z siebie pomruk przywołany z zatartej mocno pamięci przodków, którzy polowali na groźne zwierzęta i siebie nawzajem, a potem załśnił zimnym, trwającym ułamek periodu błyskiem.

Pełzający Głaz natychmiast wyśliznął się z zagłębienia i podążył korytarzem do swojego gniazda. Nie powinien dłużej pozostawać w towarzystwie odike, jeśli nie chciał zostać zgładzony. W tym starszym badaczu drzemało jednak więcej sił, niż mogło się wydawać komuś, kto patrzył na niego z dystansu. A między odike i erdike ów dystans był zawsze o wiele większy niż między starszym badaczem a lepszymi. Przynajmniej tak to wyglądało z pozycji pariasa, jakim był erdike.

5

Profesor Solimow pochylał się nad wykresami. Obok niego, po lewej siedziała Lynn Sarkissian, po prawej Stanislaus Sordis, a z boku stołu Georges Linneaux, wpatrując się w holoeokran, na którym wyświetlało się coś przypominającego plaster miodu. Kiedy pułkownik wszedł, naukowiec podniósł tylko na niego oczy i skinął głową, Lynn lekko się ukloniła, siedząc, za to Stan zgodnie z regulaminem wstał i zaszalutował. Tylko Georges zachowywał się tak, jakby nie zauważył wejścia starszego oficera, co bardzo zdziwiło Dethardta, bo przecież wiedział, że ten jajogłowy boi się go jak ognia.

– Daj spokój, poruczniku – burknął przybyły do Sordisa. – Zluzuj pośladki i siadaj. Nie jestem na inspekcji, tylko z wizytą, żeby dowiedzieć się czegoś.

Sam zajął miejsce po przeciwnej stronie szerokiego laboratoryjnego stołu. W pomieszczeniu unosiła się woń odczynników i jakby spalenizny. Pułkownik skrzywił się ledwo zauważalnie. Nie lubił wprawdzie tych zapaszków, ale już do nich przywykł. W pracowniach chemicznych zawsze cuchnęło spalenizną. A przynajmniej on nieodmiennie czuł taki odorek, kiedy wchodził do jakiegokolwiek laboratorium, szczególnie chemicznego.

– Roy pracuje usilnie nad zrozumieniem języka naszych nowych przyjaciół – odezwał się. – Ma już nawet jakieś wyniki. Tylko jest pewien kłopot.

– Wiemy, wiemy – rzucił niecierpliwie profesor. – Obcy nie korzystają w komunikacji tylko z mowy i czegoś, co można interpretować jako przekaz

wizualny. Porozumiewają się na innych zakresach. Wielu zakresach, pomiędzy którymi zieją niejako dziury. Ale zdaje się, że głównie są to fale radiowe.

– Skąd pan wie? – zdziwił się pułkownik. – Myślałem, że przyniosę rewelację.

– Z tego! – Naukowiec stuknął w leżące przed nim płachty syntetycznego papieru. Jedna z nich, niewiele cięższa od powietrza, podskoczyła i zaczęła sunąć w bok, ale zamarła przyszpilona palcem Solimowa. – Tutaj są dane, z których właśnie to wynika. Jeśli dobrze je interpretujemy, to na przykład światło w zakresie dla nas widzialnym stanowi dla obcych taką ślepą dziurę. Jest równie niewidoczne, jak dla nas podczerwień i ultrafiolet. Albo pasma radiowe. Przy czym wygląda z kolei, że oni niektóre pasma radiowe odczytują jak my światło, a w innych się porozumiewają.

Dethardt zmarszczył brwi. Tego o świetle lingwista nie powiedział. Ale pewnie dlatego, że jeszcze nie miał o tym pojęcia, pracował bowiem na nieco innym materiale. Trzeba go będzie tutaj przysłać.

– To nawet wygodne – ciągnął profesor. – Oczywiście w pewnym sensie, szczególnie na tej planecie. Zdaje się, że te widzialne dla nich rozbłyski to sygnał wizualny do komunikatów, które my potraktowalibyśmy jako głosowe.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „w pewnym sensie, szczególnie na tej planecie”? – spytał pułkownik. Był coraz bardziej zaintrygowany.

– Nie mam pewności. – Solimow potrząsnął głową. – I chodzi mi konkretnie o środowisko wodne. O to promieniowanie. Ono może w wielu zakresach wprowadzać spory szum, czyli zakłócać percepcję obcych. To by tłumaczyło tak bliskie podejście do batyskafu doktora Linneaux przy pierwszym spotkaniu. Georges nie ruszał się, nie nadawał, nie prowadził akurat badań. Jak znam życie i jego, gapił się na przyrodę. Ale tamten był w ruchu, nadpłynął od strony, której doktor nie obserwował. Blisko. Zbyt blisko. Rozumie pan już?

– Chce pan powiedzieć, profesorze, że ta krystaliczna woda może być dla

nich mniej przejrzysta? – złapał w lot Dethardt.

– Istnieje możliwość, że dla ich zmysłu, który my interpretować możemy jako wzrok, ta woda jest mętna niczym zamulona sadzawka. Jeśli oczywiście kierują się głównie tym narządem podczas bezpośredniej obserwacji otoczenia. Ale pewności nie mam, to tylko przypuszczenia.

– To dla nas coś oznacza? – spytał pułkownik.

– Mówi nam sporo o sposobie obserwacji świata przez te istoty. Jeśli jest, jak powiedziałem, patrząc nocą w gwiazdy, nie widzą światełek na nieboskłonie, tylko punkty promieniowania radiowego.

– Czyli widzą gwiazdy również w pełnym świetle dnia – uzupełniła Lynn. – Oczywiście trzeba brać pod uwagę zakłócenia generowane przez słońce układu, czy też słońca, bo nie wiemy, z jakiego systemu pochodzą, ale mogą obserwować ciała niebieskie także w dzień.

– Zatem widzą to, czego my nie widzimy, i na odwrót?

– Można tak w uproszczeniu powiedzieć – rzekł Solimow. – Ale muszą się też porozumiewać na poziomie fal akustycznych, bo jak pan pamięta, pierwszą konkretną reakcję zanotowaliśmy po zastosowaniu sonaru.

– Wtedy nie traktowałem ich falami radiowymi – przypomniał mu Stan. – Jakoś nie przyszło mi do głowy użyć zwykłego nadajnika jako generatora impulsów. Błąd i nauka na przyszłość.

– Też w pierwszej chwili nie użyłbym radia. Zresztą gdyby tamten nadał sygnał radiowy, odpowiedziałbyś. Ale on tylko powtarzał to, co dostrzegł w wyczuwanych przez siebie zakresach, nie wykazywał inicjatywy.

– Łeb może od tego rozboleć – mruknął pułkownik i zerknął na Linneaux. – A ten co robi, że o bożym świecie zapomniał?

Lecz zanim profesor zdążył wyjaśnić, egzobiolog podskoczył jak dźgnięty ostrogą, jakby pytanie oficera pobudziło go do życia.

– Cholera, mam! Już wiem! – Zamilkł na widok Romulusa Dethardta, jak

gdyby nagle otrzymał sporą dawkę paraliżującej trucizny.

– Mów wreszcie! – huknął na niego Sordis. – Dzisiaj pułkownik wyjątkowo cię nie zje!

Georges spojrział na oficera, jakby sprawdzał, czy rzeczywiście nie ma przy sobie kompletu żelaznych zębów, a potem podjął:

– To, z czego są zbudowane ich pojazdy, ma istotnie strukturę komórkową. Odczyty nie kłamią. To jakby rośliny. Roślinne maszyny. W każdym razie komórki, jeśli dane są w miarę precyzyjne, wykazują cechy roślinne, są tylko lepiej uporządkowane niż w zwykłej tkance. Dlatego przypominają plaster miodu.

– Mnie to wygląda jak poszycie kadłuba zwykłego transportowca planetarnego – stwierdził pułkownik. – Robi się je z takiej stali komórkowej. Taniej wychodzi.

– Obawiam się jednak, że taka stalowa cząstka nie składa się z elastycznej, choć twardej i trwałej ściany komórkowej, nie zawiera wakuoli, jądra i tym podobnych rzeczy.

– No nie – zgodził się oficer. – Jest zasadniczo pusta.

– Właśnie. A my tutaj mamy tkanę. Nie konstrukcję powstałą w piecu i przetworzoną przemysłowo, ale tkanę.

Linneaux zamilkł i potoczył po obecnych zwycięskim spojrzeniem.

– Nie rozumiem, dlaczego się puszysz – powiedział Stan. – Tego domyślaliśmy się już przedtem.

– Ale znalazłem wplecione w tę strukturę cienie! Wyglądają jak neurony. Teraz dociera już, dlaczego się puszę, jak to byłoby łaskaw określić?

Stan gwizdnął przez zęby i wymienił spojrzenia z profesorem i Lynn.

– Ciekawa koncepcja – mruknął.

– Ciekawa technologia – dodał Solimow. – Chyba że to w ich świecie normalne zjawisko, takie połączenie cech roślinnych i zwierzęcych.

Sordis pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, panie profesorze. Georges zobaczył to jako cienie, ale jakby wplecione, prawda? Oczywiście niczego nie możemy być pewni. Co sądzisz, Linneaux?

Zapytany rozłożył ręce.

– Uczciwie mówiąc, pojęcia nie mam, ale coś mi podpowiada, że to efekt stosowania technologii, a nie działania natury. Musiałbym zdobyć próbkę tej ich meduzy, by móc sprawdzić, na jakiej zasadzie te komórki przypominające nerwowe łączą się z roślinnymi. I czy naprawdę się łączą. Tak czy inaczej, wygląda to na wykorzystanie prądu. Jak u nas. Tylko że w naszych maszynach trzeba sporo napięcia i natężenia, by wywołać pożądany efekt, a w strukturze biologicznej wystarczą mikroimpulsy, jeśli istnieją mięśnie, które wykonają pracę. Zachwycające! – wykrzyknął nagle.

Pułkownik wodził wzrokiem od jednego naukowca do drugiego, a wreszcie nie wytrzymał.

– Może to głupie, o co spytam, ale czy mam rozumieć, że my nasze urządzenia budujemy, a oni je... jak by to określić...

– Hodują – podpowiedział Solimow. – Znakomicie, pułkowniku, wygrał pan darmową wycieczkę do kopalni irydu na dwuletni kontrakt. A poważnie mówiąc, jeśli nasze hipotezy się potwierdzą, to mamy do czynienia z niesamowitą technologią. Skrajnie inną niż nasza!

Dethardt kręcił głową.

– Ale jak oni pokonują przestrzeń kosmiczną? W jakichś cholernych roślinach siedzą? Czy tam zwierzo-roślinach? Przecież próżnia i kosmiczny mróz to nie są warunki dla natury ożywionej.

– Skąd mamy wiedzieć? – Solimow wzruszył ramionami. – Może na użytek takich podróży mają inne rodzaje maszyn? Jednak nie wykluczałbym rozwiązań już im znanych. Jeśli wyrzuci pan w przestrzeń kabaczek, to po krótkim czasie

się on zamrozi, nic więcej. Ale jeżeli zamontuje mu się systemy podtrzymywania życia... Czym się będzie różnił od żelaznej skorupy, która bez nich też będzie martwym kawałkiem materii? Chyba musimy otworzyć umysły na nowe doświadczenia i całkiem nową wiedzę.

– Kosmiczny kabaczek – mruknął Stanislaus i uśmiechnął się. – Chociaż w sumie... O ile pamiętam, ta roślina ma twardą, włóknistą skórę. Gdyby ją wzmocnić w hodowli, wziąć pod uwagę grubość proporcjonalną do wielkości statku kosmicznego... Kurczę, to by mogło zadziałać. Lodowa tarcza przeciwko meteorynom przed dziobem, podobna do tych, jakie sami pchamy, przelatując przez zwyczajną przestrzeń.

– Tak – prychnął pułkownik. W tej chwili jakby zapomniał o swojej sztywnej i krzykliwej naturze. – Zamiast sztabu techników i robotników starszy pan z motyką. W dodatku w razie czego możesz wylądować na pierwszej żyznej planecie i z nasionka wyhodować nowy statek.

– Kadłub – uściślił bardzo poważnie Linneaux. – Tylko kadłub, bo całe wyposażenie...

– Przecież wiem! – ryknął nagle Dethardt. – Masz mnie za idiotę, doktorze? Żartu nie rozumiesz?

– Pan niezwykle rzadko żartuje – zauważył profesor. – To może być zaskakujące i mylące.

– Ciekawe, jak to naprawiają – zaśmiała się Lynn. – Nie znam się zbytnio na biologii, ale co przy uszkodzeniu kadłuba?

Georges wzruszył lekko ramionami.

– My mamy klucze, śrubokręty, palniki i części zapasowe. Oni muszą mieć odpowiedniki tego wszystkiego. Może coś w rodzaju stymulatorów wzrostu?

– Zamiast śrubokręta worek nawozu i konewka! – Specjalistka od komunikacji nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Może to być coś w tym rodzaju – odparł Linneaux. Nie wyglądał na

rozbawionego. – Ale i tak niczego nie wiemy na pewno.

– Niczego nie wiemy na pewno – powtórzył ponuro Dethardt. – Niech już ta łączność wróci! Niech Centrala decyduje, co powinniśmy robić!

Stan musiał mu przyznać rację, w dodatku kolejny raz w niedługim czasie. Sytuacja była naprawdę poważna, skoro Pierdoła przestał się wygłupiać, a zaczął wyciągać prawidłowe wnioski. Tak, dobrze by było dostać wsparcie od tych, którzy mają najwyższe uprawnienia i mogą decydować w najważniejszych kwestiach. Oczywiście, pod warunkiem że zdecydują mądrze, a co do tego porucznik miał jednak pewne wątpliwości.

– Na razie musimy zebrać jak najwięcej materiału, żeby po odzyskaniu łączności przekazać coś naprawdę cennego – stwierdził Solimow.

– Co panu chodzi po głowie, profesorze? – spytał pułkownik, marszcząc brwi.

– Wiemy, gdzie jest ich tutejsza siedziba, prawda? – odpowiedział pytaniem naukowiec.

– Podobnie jak oni wiedzą, gdzie jest nasza... – Dethardt urwał i zamyślił się. – Ma pan na myśli to samo, co ja?

– Nie byłbym zdziwiony – zaśmiał się Solimow. – Ostatnio dość często się zgadzamy w różnych sprawach.

*

Vinduke emanował takim spokojem, jakby przed chwilą opuścił sarkofag i wciąż jeszcze pulsowało w nim wspomnienie Zjednoczenia w dwuświadości. Odike zastanawiał się przez moment, czy nie ma czegoś prawdziwego w pogłoskach, jakoby lepsi z kast poniżej Nielicznych mieli możliwość zasilania swojej sangis z tajemnego rezerwuaru zastępującego w pewnym stopniu rytuał Zejścia. Zaraz jednak porzucił tę myśl, aby nie

została odkryta, gdyby najstarszy naukowiec w jakimś celu chciał się z nim porozumieć przez płytkę komunikacyjną. Mógł w końcu zażądać chociażby wspomnienia rozmowy starszego badacza z Pełzającym Głazem.

– To rzeczywiście prostak – nadał Wędrowiec Po Niebie. – Nie różni się w obyciu od gorszych z obsługi maszyn, zwykłych robotników czy szeregowych hodowców. Wcale się nie dziwię, że wprawia cię w zakłopotanie. Muszę powiedzieć, że sam nie znoszę jego obecności. Jednak to doskonały, może nawet genialny rozum matematyczny. Byłeś przecież świadkiem, jak podczas komunikacji z obcymi bez pomocy umysłu jednostki przeliczał system dziesiętny na ósemkowy i odwrotnie.

– Lecz opowiada rzeczy niewyobrażalne – zauważył Rwący Sieć. – O tym, jak trudna jest sytuacja na Opoce, jak całe społeczeństwo stoi na skraju przepaści...

– Poczekaj – przerwał mu vinduke, gdyż w korytarzu ukazał się verduke Upojny Wiatr. – Wysłuchajmy, co ma do przekazania mój asystent.

Odike uniósł się i stanął na ślizgach, aby okazać szacunek najstarszemu badaczowi, o cały stopień niższemu w hierarchii naukowej. O ten stopień właśnie, do którego Rwącemu Sieć było tak blisko, a który mógł się okazać nieosiągalny. Natomiast dla verduke, wypączkowanego w kaście Nielicznych, to był tylko etap kariery. Dla niego zejście do stopnia najmłodszego uczonego było kwestią krótkiego czasu. O takim splendorze odike nie mógł nawet marzyć.

– Czcigodny vinduke – Upojny Wiatr zupełnie zignorował starszego badacza – wysłaliśmy cztery urządzenia w miejsce, które wydaje się ich lokalną otchłanią. Już tam dotarły. To konstrukcja naziemna, dlatego łatwo ją było przeoczyć. Nasze urządzenia interpretowały ją jako nierówność gruntu, nic więcej.

– Czy szperacze dostały się już do środka? – spytał Wędrowiec Po Niebie.

– Niestety stwierdziliśmy, że konstrukcja jest zamknięta. Urządzenia będą oczekiwać na możliwość wejścia.

– Rozumiem, verduke. Zawiadam mnie, kiedy tylko im się powiedzie. Ale nie przychodź. Impuls na moją płytkę komunikacyjną w zupełności wystarczy.

– Tak uczynię, czcigodny.

Upojny Wiatr oddalił się, konsekwentnie nie zauważając odike trwającego w kornej postawie.

– A zatem wróćmy do rozmowy, starszy badaczu. – Jeśli nawet vinduke zauważył ogrom lekceważenia, jakie jego asystent okazał Rwącemu Sieć, nie przejął się tym. Tych dwóch dzieliła zbyt wielka różnica pochodzenia, żeby mogło to kogokolwiek dziwić i żeby miało znaczenie. – Erdike całkiem słusznie stwierdził, że nasze społeczeństwo jest w niebezpieczeństwie. Może nie stoimy jeszcze u progu zagłady, ale bardzo szybko się do niego zbliżamy. Wśród wyższych kast śmiertelność zaczyna być zbyt wielka, zagraża nie tylko przyrodzonemu porządkowi i układowi naszego świata, ale wręcz całej egzystencji. Nie możemy sobie pozwolić na tracenie robotników w tak ogromnym tempie. W dodatku ich wydajność spada.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak się dzieje – rzekł odike, czując, jak jego sangis rozgrzewa się i twardnieje. – Dlatego właśnie zorganizowaliśmy wyprawę na tę planetę, chociaż leży na granicy naszych obecnych możliwości, a właściwie nawet tuż poza nią? Nie z przyczyn naukowych?

– Dlatego właśnie tak ryzykowaliśmy i nadal ryzykujemy, bo przecież możemy nie wrócić, jeśli hodowcy nie poradzą sobie z regeneracją urządzeń napędowych. Wyhodowanie nowych poza stoczną będzie trwało wiele obiegów tej planety. Ale to tutaj sondy wykryły możliwość istnienia sangis w czystej postaci, bodaj czystszej nawet niż na Opoce.

– I rzeczywiście, w źródłach, które zlokalizowaliśmy, zawiera znacznie mniej domieszek – potwierdził Rwący Sieć.

– Gdyby jeszcze była łatwiej dostępna, uznałbym naszą wyprawę za sukces.
– Vinduke przez chwilę lśnił blaskiem konsternacji. – Jednak spoczywa bardzo głęboko, trzeba wiele trudu, aby sięgnąć złóż. Należałoby sprowadzić tutaj rzeszę robotników i techników. I to najlepszych, których tak nam brakuje już nawet na Opoce, że o koloniach nie wspomnę. A teraz w dodatku natknęliśmy się na obcych.

Rwący Sieć domyślił się, że vinduke rozmawiał z Tryskającym Źródłem i że Władca nie był zadowolony z ostatnich wiadomości. Odike pozwolił sobie nawet na myśl, że zarówno Wędrowiec Po Niebie, jak i nawet Ostrze Światła mogą zostać ukarani za taki obrót spraw. Wszyscy uczestnicy wyprawy mogli zresztą podlegać karom. Zasady i przykazania były w tej sprawie jasne.

– Możemy jednak nie mieć wyjścia, odike, i będziemy musieli ogołocić naszą społeczność z najlepszych przedstawicieli wyższych kast.

– A czy nie można wykorzystać pracowników ze skolonizowanych planet? – spytał odike.

– Nikt się na to nie zdecyduje – odpowiedział najstarszy uczony. – Jeśli Opoka nie przetrwa, w nich tylko będzie nadzieja na utrzymanie świętej społeczności, choćby w tak niewydarzonej formie. Jak zatem mogłeś się przekonać, ten prostacki erdike rzekł prawdę. Rzecz jasna, poniesie surowe konsekwencje. Nie do niego należy rozpowszechnianie takich wiadomości. Na razie jednak nie wyznaczę mu kary, gdyż jest nam potrzebny jego umysł.

Vinduke zamilkł i pogрузzył się w medytacji. Wciąż emanował tym samym spokojem.

Rwący Sieć natomiast czuł się teraz o wiele gorzej. To była jedna z przypadłości gorszych kast – podatność na bodźce zewnętrzne, czy to fizyczne, czy informacyjne. Większa była wśród nich także skłonność do chorób i zaburzeń. Istniało przekonanie, że Niedostępni i Nieskończeni w ogóle nie cierpią i nie chorują. Ile w tym było prawdy, odike nie umiał

powiedzieć, ale przypuszczał, że właśnie tak jest.

Już miał odejść, uznając milczenie vinduke za wyraźną wskazówkę, kiedy tamten odezwał się nagle.

– Jeden szperacz pełzający dostał się do lokalnej otchłani obcych.

Sangis w Rwącym Sieć nieco ostygła, zmieniała się w przyjemną, gęstą ciecz.

– Powinniśmy o nich wiedzieć jak najwięcej – zauważył.

– Tak sobie życzy Władca Tryskające Źródło i pozostali Władcy Opoki – potwierdził Wędrowiec Po Niebie. – Uznają ich za zagrożenie dla naszego zadania. Słusznie uważają. My, naukowcy, nazbyt łatwo zapominamy o tym, co najważniejsze. A najważniejsze nie jest odkrycie, że nie jesteśmy jedyną rozwiniętą społecznością w przestrzeni. Najważniejsza jest dla nas tutejsza sangis.

Najstarszy uczony znów przerwał kontakt, ale tym razem błysnął wyraźnym komunikatem, że chce zostać sam.

Odike natychmiast wstał i szybkim ślizgiem ruszył korytarzem, mijając gniazda lepszych. Niektóre były puste, w innych spoczywali Opokanie z niższej kasty. Wreszcie Rwący Sieć dotarł do zakrętu. Tutaj zwolnił, nie obawiając się już, że któryś z gospodarzy może uznać jego obecność za niepożądaną i zechcieć wymierzyć mu karę.

Podążał do swojego gniazda na wyższym poziomie. Pełznąc po pionowej ścianie lokalnej otchłani, rozważał to, czego dowiedział się właśnie od Wędrowca Po Niebie.

Lecz kiedy dotarł do poziomego korytarza, rozmyślenia przerwał mu nagle Pełzający Głaz. Młodszy badacz ślizgał się na granicy bezpieczeństwa, śpiesząc dokądś.

– Erdike! – zatrzymał go Rwący Sieć. – O mało mnie nie potraciłeś!

– Wybacz, czcigodny odike. – Pełzający Głaz stanął tak gwałtownie, że

musiał zrównoważyć bezwładność balansem ramion, przez co znów o mało nie uderzył starszego badacza.

– Cóż takiego się wydarzyło, że pędzisz jak przerażony zarak?

– Właśnie dostałem wezwanie. Jeden ze szperaczy przestał nagle działać, ale pewne dane zdążył zgromadzić i przesłać. Mam pomóc w ich interpretacji. Sanduke Spadający Ze Skał kazał mi się zjawić bez zbędnej zwłoki.

Na wzmiankę o surowym starszym naukowcu odike natychmiast zszedł z drogi Pełzającemu Głazowi, a ten wparł ślizgi w skałę, rozpedził się kilkoma ruchami i pomknął bodaj jeszcze szybciej niż przed chwilą. Kiedy osiągnął koniec korytarza, prawie nie zwolnił i wyglądało to tak, jakby rzucił się w otchłań. Ale odike widział już kiedyś, co potrafi niepozorny młodszy badacz. Zapewne nabył wprawy, mieszkając i pracując na pograniczu kast, zmuszony do częstych zmian poziomów.

Nic dziwnego, że tak się śpieszył. Spadający Ze Skał był w stanie obliczyć, ile powinna zająć erdike droga z gniazda do jego pracowni, i za każdy period spóźnienia wyciągnąć konsekwencje. Również względem tego, kto spóźnienie spowodował.

*

Guido da Campa patrzył z obrzydzeniem na zmiażdżone stworzenie. Kiedy odruchowo przydepnął je, wiedziony wstrętem, usłyszał ni to chrupnięcie, ni to chlupotanie, a najpewniej jedno i drugie.

– Niech to szlag – warknął. – Trzeba wzmocnić czułość detektorów przy śluzach.

Wprawdzie dotąd biolodzy nie odkryli niczego, co mogłoby zagrozić człowiekowi za sprawą toksyn podobnych do tych, jakie wytwarzają ziemskie zwierzęta, ale przecież nigdy nic nie wiadomo.

- Sprzątaczu! – zawołał sierżant, lecz stojący obok Odilo powstrzymał go.
- Czekaj! Automat sprzątający, na miejsce!
- O co ci chodzi? – spytał da Campa. – Ta obrzydliwa miazga ma tutaj leżeć?

Mikrobiolog przyglądał się uważnie galaretowatemu, spłaszczonemu kształtowi. Dookoła niego dostrzegł coś, co przypominało czarne szkło, które rozpadło się na drobne igiełki.

- A jesteś pewien, że to rodzony mieszkaniec planety?

Do Guida wreszcie dotarło. Przemógł wstręt i pochylił się nad swoją ofiarą.

- Cholera, skoro my wysłaliśmy do nich urządzenia szpiegujące, oni mogli zrobić to samo! Trzeba wezwać laborantów.

Ale Sammenhall już rozmawiał przez interkom z profesorem. Sierżant pomyślał, że on z kolei powinien natychmiast zawiadomić pułkownika, i podszedł do drugiego aparatu. W takich chwilach współczuł członkom zespołu mieszanego, bo ci musieli zawiadamiać zarówno szefa cywilów, jak i dowódcę wojskowego.

Nieraz się zastanawiał, dlaczego tak to urządzono, ale po ostatnich wydarzeniach zrozumiał sens trójpodziału załogi. Nie dalej jak przed kwadransiem był świadkiem rozwijającej się kłótni naukowców cywilnych. Kłócili się w zasadzie wszyscy ze wszystkimi, a chodziło o to, która korporacja ma się dowiedzieć pierwsza o kontakcie z obcymi. Dopiero w tej chwili doświadczony podoficer dostrzegł w całej pełni, co oznacza sponsorowanie przez wielkie firmy udziału zespołów naukowych w wyprawach badawczych. Każdy z tych ludzi był na czyimś garnuszku i bardzo chciał, żeby właśnie jego garnuszek został wypełniony po powrocie sową premią.

Wojskowi nie mieli takich dylematów. Och, pewnie zdarzył się jeden czy

drugi pracujący w tajemnicy dla jakiejś korporacji, ale to były nieliczne przypadki, a poza tym za takie numery można było wylecieć ze służby. Podobnie rzecz się miała z zespołem mieszanym. W nim naukowcy pozostawali wprawdzie pod jurysdykcją wojskową, ale do dyspozycji szefostwa naukowego. Płaciło im zarówno wojsko, jak i państwo, krzywdy więc nie mieli, ale żaden nie mógł liczyć na premię choćby w jednej dziesiątej tak wielką jak ten z cywilów, który dopnie swego i przed innymi powiadomi pracodawców, co zaszło na eksplorowanym globie. Tyle że nikt nie mógł tego uczynić, nim wróci łączność kwantowa, a musieli jeszcze jakoś ustalić, kto będzie tym pierwszym.

On by zaproponował grę losową, chociażby zwykłe ciągnięcie patyczków. Jednak rozwydrzona cywilbanda nie zamierzała dochodzić do porozumienia. Każdy z nich miał prawo kontaktować się z pracodawcami i każdy zamierzał z tego prawa skorzystać, pierwszy dopychając się do radiostacji splątaniowej.

Tak, zarówno żołnierze, jak i zespół mieszany mieli pod tym względem łatwiej. Po prostu nie mogli kogokolwiek o czymkolwiek informować. Od tego był dowódca wojskowy, czyli pułkownik, oraz cywilna władza najwyższa, czyli profesor. I dlatego właśnie naukowcy z zespołu mieszanego zajmowali się w tej chwili obróbką danych, naradzali się ze sztuczną inteligencją stacji i nadzorowali operatorów urządzeń wysłanych do bazy obcych. Cywile nie mieli głowy do takich drobiazgów.

– Zaraz przybiegną tutaj z zasobnikiem – powiedział Odilo. – A co pułkownik? Ochrzanił cię czy był zdziwiony?

– To trochę dziwne – rzekł sierżant – ale od kiedy nawiązaliśmy kontakt z obcymi, jakby trochę odpuścił albo nawet oklapł. Dalej jest nieznośnym Pierdołą, lecz nieco mniej. Powiedział, że mam czekać na jajogłowych, a potem patrzeć im na ręce.

– Chyba wiem, dlaczego jest taki wyciszony – powiedział Sammenhall. Nie

spuszczał wzroku z rozdeptanego stworzenia. – Nie ma mu kto wydać konkretnych rozkazów w tej sytuacji. To go przerasta, i wcale się nie dziwię. Wiesz przecież, jakie mamy procedury na wypadek kontaktu.

– Wiem. Ogólne, a właściwie żadne – potwierdził da Campa. Nagle spojrział bystro na naukowca. – Zaraz, zaraz, chłopie, a ty się tam nie wyklócasz z innymi o kolejność dostępu do komunikatora kwantowego? Przecież jesteś cywilem.

Mikrobiolog roześmiał się.

– Po pierwsze, ktoś musi pracować, a nie każdy ma oczy zasłonięte pieniędzmi. Po drugie, mam to w dupie. Przede mną jeszcze sporo wypraw, forsa wpadnie. A co niby teraz zrobię z taką gigantyczną premią? Zabiorę ją na następny lot? Wystarczy mi na emeryturze to, co uzbieram po drodze. Jeśli w ogóle powiadomione korpo wypłaciłoby tę kasę, bo po to mają prawników, żeby znajdowali różne kruczki i luki w umowach. A po trzecie, ci, którzy się wyklócają, są debilami. Przecież pułkownik położy od razu łapę na radiostacji i rozwali z broni osobistej każdego, kto się do niej zbliży nieproszony.

– Fakt – przyznał Guido. – Nie pomyślałem o tym.

– Pewnie dlatego, że i tak mógłbyś zawiadomić najwyżej dowództwo. Niepotrzebne ci takie kombinowanie.

– Tylko że ci, którzy się wyklócali, też nie myślą. Z tych obecnych w mesie jedynie Daisy nie wrzeszczała. Nawet się zdziwiłem.

– Kto tam za Farango trafi. Jest pieprznięta jak dziki kot. A pozostali... Co mogę powiedzieć? Jak widzisz, staranne wykształcenie i tytuły naukowe nie czynią z człowieka istoty cywilizowanej. Wystarczy, że pojawi się wizja zarobku. O ile wiem, Linneaux też się nie pojawił w całym tym cyrku. Jego bardziej pochłania nauka niż sława i pieniądze, choć mógłby...

Przerwał, bo w tej chwili zjawili się dwaj ludzie w fartuchach i maskach. Jeden z nich pchał wózek, na którym ustawiono hermetyczny pojemnik, z tych,

w których można było w laboratorium bezpośrednio dokonywać badań i eksperymentów.

– To my teraz wracamy do obowiązków – oznajmił Odilo.

– Nic z tego, przyjacielu – osadził go sierżant. – My teraz zasuujemy na kwarantannę. Wkładaj to i do izolatki. – Wskazał przyniesione przez laborantów kombinezony.

– Oszalałeś? – zirytował się mikrobiolog.

– Rozkaz pułkownika. Nie wiadomo, z czym się zetknęliśmy, więc musimy zostać poddani obserwacji. Przynajmniej na czas badania tego, co rozwaliłem.

– Pułkownik nie może mi rozkazywać! – syknął Odilo.

– W takich sprawach może – odparł spokojnie Guido. – Podobnie jak profesor. Mnie zresztą też, nie tylko swojej cywilbandzie.

– Przecież to... – zaczął mikrobiolog, ale sierżant mu przerwał.

– Tak stanowią regulaminy, których jako cywil pewnie nie raczyłeś dokładnie przeczytać. A teraz zamknij się i wskakuj w ten cholerny worek izolujący. Najpierw załóż szelki recyklera powietrza. Zaraz przyjdzie ekipa odkazić korytarz. Ale i on zostanie zamknięty na czas badań.

Sammenhall rzucił grubym słowem, ale posłusznie zaczął wkładać luźny kombinezon.

*

Stanislaus siedział obok Ronalda i wpatrywał się w ekran. Nadzorował czynności operatora, przy okazji koordynując całość akcji. Ross miał specjalizację nie tylko z obsługi sprzętu planetarnego, od lekkich szybowców po ciężkie transportery i poduszkowce, ale został także gruntownie przeszkolony w pracy na sprzęcie szpiegowskim. Podobnie zresztą jak Sordis. Obok nich działały jeszcze cztery zespoły – dwa po lewej i dwa po prawej

stronie.

Kamery pokazywały coś zadziwiającego – dziurę w ziemi. Zwykłą na pozór, szeroką na jakieś sześć metrów, niezbyt regularną dziurę. Właśnie to było miejsce, które zlokalizowano za pomocą triangulacji i namierzania sygnałów kierunkowych. A że dokładność pomiarów oszacowano na plus minus półtora metra, musiał to być właściwy punkt. Miejsce, na które żaden człowiek nie zwróciłby uwagi, w każdym razie nieprędko by się nim zainteresował. Leżało bardzo daleko od stacji, w rejonie, który niezbyt ciekawił naukowców, nie stwierdzono tutaj bowiem znaczących złóż cennych pierwiastków lub minerałów.

– Zatrzymaj się przy krawędzi – rozkazał Stan. Przyjrzał się uważnie obrazowi. – Widzisz? Dopiero stąd można dostrzec, że to nie żadne zwykłe zapadlisko, tylko coś, co jest sztucznym tworem.

Rzeczywiście, na brzegach otworu widać było dość regularne ślady, jakie zostawiają narzędzia, oraz jakąś przejrzystą, matowo połyskującą substancję kojarzącą się z lakierem.

– Pobierz próbkę – polecił Sordis.

Lecz zabezpieczająca krawędź substancja okazała się nadspodziewanie twarda. Narzędzia niewielkiej maszyny szpiegującej nie były w stanie jej naruszyć. Przy sąsiednich stanowiskach również podjęto wysiłki, żeby zdobyć kawałek materiału, także bez powodzenia.

– No dobra, lecimy dalej – zdecydował Stan. – Przynajmniej wiemy już z całą pewnością, że jesteśmy tam, gdzie trzeba.

Sonda rozpoznawcza wleciała do otworu i od razu ekran ściemniał.

– Co to jest? – zaniepokoił się Ronald. – Jakieś maskowanie? Przecież powinno tam docierać światło!

– Zapal reflektory – rzekł Stan.

– No co ty – dobiegło z boku – przecież nas zobaczą! Lepiej aktywną

noktowizję...

– Spałeś na odprawie?! – warknął Sordis. – Najprawdopodobniej są ślepi właśnie na pasmo widzialne. Podczerwienią możesz się zdemaskować. Ale w pewnym sensie masz rację. Ron, obejrzyj otoczenie w rejestratorach pasywnych.

Niewiele jednak dostrzegli. Otwór w ziemi był na tyle chłodny, że nie dawał żadnego obrazu – próżno wypatrywali charakterystycznych plam, jakie daje pasywne skanowanie w podczerwieni, gdy pojawiają się cieplejsze od otoczenia objekty.

– No to teraz włączamy lampy – rzucił Stanislaus. – Tylko impulsowo, żeby się nie rozgrzewały.

Komputer tak przetwarzał obraz, że mruganie reflektorów nie przeszkadzało – spajał w jedno ujęcia robione podczas krótkich impulsów.

– No, no – mruknął operator skrajnego zespołu po lewej. – Prawdziwa otchłań, co?

Rzeczywiście, nie byli w stanie dostrzec dna tej konstrukcji, jak ją już w myślach nazywał porucznik. Nawet kiedy operator dał maksymalne przybliżenie, nic nie dostrzegli.

– Dobrze, teraz jedyńka powoli do przodu. To znaczy w dół – poprawił się. Kiedy wisieli nad tą otchłanną głębią, miał wrażenie, że poruszają się w poziomie.

Wywołał na zapasowy ekran obraz z urządzenia pierwszego zespołu. Przekaz był kanciasty, bo w ruchu komputer nie mógł dostatecznie skompensować mrugania reflektorów, ale zupełnie czytelny.

– Piątka w dół, potem co dwie sekundy dwójka i czwórka. My zostajemy na obserwacji.

Spojrzał na ekran przed sobą. Po chwili dostrzegł rzucające snopy światła sylwetki sond rozpoznawczych.

– Widzę boczny korytarz – zameldował Edwin Rusecky z czwartego zespołu.

– Ja też – dodała moment później dwójka.

Wszyscy widzieli te korytarze. Wszyscy oprócz wiszącej najwyżej sondy Ronalda i Stana.

– Wleć do najbliższego – polecił Sordis Rusecky’emu.

Wkrótce na ekranie ukazał się widok podobny do tego, jaki obserwowali, wisząc nad bezdenną przepaścią, tyle że korytarz był węższy i prowadził pod kątem prostym w głąb skały.

– To jakieś cholerne mrowisko – mruknął Ronald, patrząc na to, co widział Stan na swoim kontrolnym holoekranie.

– Mrowiska mają inną strukturę – odparł porucznik. – Jednak co do zasady, masz rację. Edwin, leć dalej.

Operator wykonał polecenie.

– Otwór z lewej – poinformował podnieconym głosem. – W środku wyczułem jakiś ruch.

– Oświetl to! – rozkazał Stan. A potem, jakby tknięty przeczuciem, dodał: – Kręć materiał na maksymalnym przyśpieszeniu! Ron, rzuć sondę w swobodny spadek, włącz wszystkie kamery i też rób zdjęcia na przyśpieszeniu!

Ross natychmiast wykonał rozkaz.

– Nie mam łączności! – krzyknął Rusecky. – Sonda stracona!

– Moja też! – rzucił operator dwójki.

Pozostali dwaj również zameldowali awarie.

Stan nic nie powiedział. I bez tego wszyscy mogli się domyślić, że nie odbiera już transmisji.

– Co to było? – spytał osłupiały Rusecky. – Jakby ktoś nożem uciął. Żadnych zakłóceń, tylko ciemność.

– Miejmy nadzieję, że nagrywanie z przyśpieszeniem coś pokaże – mruknął

Sordis. – Bo niczego nie zauważyłem. SI – powiedział głośniej – interpretacja zdarzeń. Dziesięć sekund przed zakłóceniem transmisji sondy numer cztery do pełnej łączności z całym zespołem.

Sztuczna inteligencja stacji odezwała się aksamitnym barytonem:

– Nagłe, wielopasmowe zakłócenie łączności. Silny impuls elektromagnetyczny.

– Pokaż zapis wizualny z rozpoczęcia zakłócenia.

Na ekranie ukazał się dziwaczny kształt spoczywający w małym wyrobisku skalnym naprzeciwko kamery sondy. Istota poruszyła się i wówczas obraz zniknął. Nie było rozmazania ani śnieżenia. Po prostu zniknął. A zaraz potem wszystkie sondy przestały nadawać. Najdłużej wytrwała trzecia, której Stan kazał swobodnie opadać. Ta przestała działać dziewięć dziesiątych sekundy później. Dzięki temu zarejestrowała jeszcze kilka obrazów.

– Projekcja z pierwszej sondy w czasie relatywnym – zarządził Sordis.

Wszyscy wpatrywali się w ekrany, na których przyspieszone zdjęcia przepływały leniwie, jakby niechętnie.

– Korytarze odchodzą poziomo od tej pionowej konstrukcji. Swoją drogą, ciekawe, gdzie się ona kończy. – Stan patrzył w zionącą czernią studnię.

– Bardzo głęboko – odezwał się Ron. – Jednak czy aż tak, jak nam się zdaje? Pamiętajmy o ciemności, jaka zapadła nad sondami, gdy wleciały w zapadlisko. Może dno jest bliżej, niż myślimy?

– Brawo – pochwalił go Stan. – Doskonałe wnioskowanie. Tyle że nieweryfikowalne, przynajmniej na razie. Obraz z sondy numer trzy – polecił sztucznej inteligencji.

Niecała sekunda szybkiego nagrywania została rozciągnięta na projekcji do dziesięciu sekund. Przez ten czas urządzenie zdołało opaść o nieco ponad dziesięć metrów. Niewiele, bo sonda wyprzedziła najniżej znajdującą się maszynę zespołu pierwszego zaledwie o dwa metry i pięć centymetrów.

Przyniosło to jednak całkiem sporo informacji.

– To mi wygląda na kondygnacje – powiedział Ron, oglądając film ze zmarszczonymi brwiami. – Cztery rzędy korytarzy pięć metrów pod krawędzią tej dziury, potem przerwa i kolejne rzędy. Na zbliżeniach widać jeszcze trzeci i czwarty taki kompleks. Ale ile ich jest w głąb?

Stan wzruszył ramionami.

– Nie jesteśmy w stanie ocenić głębokości tego tworu. A nie zdążyliśmy nawet zastosować echolokacji, zanim padła łączność. Nasze sondy już pewnie leżą na dnie, a obcy zbierają ich szczątki do badania.

– Po zerwaniu łączności sondy uległy autodestrukcji – zaproponował operator z zespołu piątego. – Nie skorzystają za wiele z naszej technologii.

– Ale czegoś się o nas dowiedzą – odparł Sordis. – W takiej sytuacji każda informacja jest cenniejsza niż wielkie złożę palladu.

*

Pułkownik siedział w gabinecie profesora i czekał na powrót szefa zespołu naukowego. Solimow zaprosił go kwadrans wcześniej – miał przedstawić wyniki badań tego, co rozdeptał Guido. Dethardt postanowił, że po powrocie do Centrali wystąpi o odebranie sierżantowi połowy żołdu za trzy miesiące. Niech się głupi zupak nauczy nie niszczyć wszystkiego, co mu się wyda podejrzone.

Dowódca wojskowy wiedział o fobii da Campy, który panicznie bał się wszelkich oślizłych stworzeń, jednak w oczach wyższego oficera nie usprawiedliwiała go to. Żołnierz powinien umieć przemoc wstręt i strach. Po jaką cholere brał pod obcas to, co znalazł w korytarzu? Już lepiej by uciekł.

Ponure rozmyślenia przerwało mu wejście profesora. Naukowiec usiadł ciężko na fotelu przy biurku i odetchnął głęboko.

– Co tam ustaliliście, Antonie? – spytał pułkownik. Kiedy byli sami, porzucali grzecznościowe formy. Tak było łatwiej się kłócić i spożywać płyny wysokoprocentowe.

– Wybacz, że kazałem na siebie czekać, ale roboty wartownicze wykryły jeszcze trzy obiekty na zewnątrz, przy śluzach drugiej i trzeciej. Dwa latające i jeden pełzający.

– Dlaczego mnie o tym nie powiadomiono?! – warknął Dethardt.

– Bo siedziałeś już tutaj. Ale to bez znaczenia. Dwa z nich umknęły, kiedy strażnicy próbowali je schwytać, a jeden, osaczony, dokonał autodestrukcji.

– Coś jak nasze sondy rozpoznawcze? – Pułkownik zmarszczył brwi. – Ale zostały jakieś szczątki do analiz?

– Obawiam się, że nie, Romulusie – odparł profesor. – Obiekt rozpadł się na pojedyncze molekuly. Wiele z nich nie wyczytamy.

Dethardt zacisnął zęby, potrząsnął głową.

– A ten kretyn da Campa musiał rozwalić ten jedyny! Już ja go urządzę.

Solimow oparł brodę na dłoniach. Mówił teraz nieco mniej wyraźnie.

– Temu kretynowi powinienes dać jakąś nagrodę. Gdyby nie zniszczył tego urządzenia... – Urwał na chwilę i wyprostował się. – Bo jesteśmy pewni, że to maszyna. Rozwiązanie całkowicie nam nieznane, niewątpliwie twór biologiczny, ale maszyna. Otóż rozgniatając to coś, da Campa musiał uszkodzić przypadkiem jakiś, nazwijmy to, obwód odpowiedzialny za autodestrukcję. Inaczej mielibyśmy na podłodze korytarza tylko molekularny pył.

Pułkownik skrzywił się paskudnie.

– Ty naprawdę nie cierpisz chwalić podwładnych – zauważył Solimow.

– Nie o to chodzi. Po prostu najbardziej na świecie nie cierpię takich fartownych głupków. Nie pierwszy już raz ten sierżancina przypadkiem robi coś bezmyślnego, co potem wychodzi na dobre.

– A nie pomyślałeś, że to u niego jakiś instynkt? – zaśmiał się profesor.

– Wyobraź sobie, że pomyślałem – burknął Dethardt. – Ale i tak mnie to wnerwia. Powiedz lepiej, co zdołaliście ustalić, i nie zajmujmy się już panem sierżantem.

Naukowiec odetchnął głęboko, wyjął z kieszeni luźnej, najzupełniej nieregulaminowej w warunkach wyprawy kosmicznej bluzy miniaturowy wyświetlacz holograficzny z podłączonym mikrokomputerem, położył go na stole i trącił palcem.

Urządzenie rozjarzyło się pastelową zielenią, a Solimow gestem kazał przygasić lampy. Przed oczami mężczyzny wyrósł słup łagodnego światła i po sekundzie wypełnił się obrazem czegoś szarawego, podzielonego na równe segmenty. Widać było, jak układają się w przestrzeni, kiedy obraz obracał się powoli.

– Przybliżysz? – spytał pułkownik. – Wiesz, że nie bardzo znam się na biologii. Kota od tygrysa jeszcze odróżnię, ale niewiele więcej. A to są chyba jakieś komórki, więc nie spodziewaj się po mnie cudów.

– To struktura fragmentu tej miękkiej tkanki, którą Guido malowniczo określił puddingiem z gówna. Cóż, wyglądem i zapachem rzeczywiście przypomina raczej ekskrement niż cud techniki, a jednak jest tym drugim. Tutaj, między komórkami podobnymi do roślinnych, widać takie same cienie, jakie pojawiły się na skanach tych pseudomeduz. Zobacz następne ujęcie. Wybarwiliśmy preparat.

Na hologramie rozbłysnął fiolet przetykany czerwonymi pasmami. Nieco trudniej było dostrzec kształt komórek, natomiast czerwone włókna wyglądały jak starodawne bicze.

– To jest coś, co przypomina włókna nerwowe. Tkanka roślinna spleciona z tym właśnie elementem zwierzęcej. Spójrz teraz na zbliżenie z mikroskopu kwantowego.

Jedna z komórek urosła, zmieniła barwę z fioletowej na lazurową, czerwona

zaś pozostała taka sama jak przedtem. I teraz widać było, że wypustki czerwieni zagłębiają się w lazur.

– One są połączone – mruknął pułkownik. – Chcesz mi powiedzieć, że opanowali technikę tworzenia hybryd roślinno-zwierzęcych? Nam to chyba niezbyt wychodzi.

– Nie wiem, czy opanowali, czy po prostu korzystają z tego, co dała im natura na rodzimym świecie. Mnie zadziwia coś innego. W organizmie zwierzęcym komórki nerwowe nie łączą się w dosłownym tego słowa znaczeniu. Przekazują sobie informacje, doprowadzają je do struktur wykonawczych, ale dzieje się to za pośrednictwem receptorów i inhibitorów. Komórki się nie stykają, zawsze pozostaje między nimi minimalna przestrzeń. Z punktu widzenia człowieka wydaje się nawet pomijalna, bo gdybyś zbliżył się do swojej ulubienicy Daisy tak bardzo, to chociaż jeszcze byś jej nie dotknął, i tak uznałaby to za agresję i dała ci w twarz.

– W życiu bym nie tknął tej feministycznie nawiedzanej ekolożki – burknął Dethardt. – Może to i niezła laska, ale w głowie ma rzeczy, które dla normalnego mężczyzny są zwykłym koszmarem.

– Tym bardziej porównanie jest uprawnione – zaśmiał się profesor. – W każdym razie w naszej biologii tak to wygląda. Natomiast tutaj masz wyraźnie zaznaczone wypustki wchodzące w komórkę, nazwijmy ją quasi-roślinną. I ta komórka odbiera przekaz z sieci neuronalnej. Człowieku, to cudowne! – wykrzyknął tak niespodziewanie, że pułkownik drgnął. – Do dzisiaj nie zdołaliśmy dokonać czegoś podobnego. Owszem, możemy tworzyć hybrydy zwierzęco-roślinne, ale żeby robić z nich precyzyjne, doskonałe urządzenia? To chyba nikomu do głowy nie przyszło, a nawet jeśli przyszło, zaraz tę myśl porzucił. A przed sobą masz dowód, że to możliwe. Zapewne to, co określamy jako komórki nerwowe, działa na nieco innych zasadach niż znane nam struktury, ale działa najwyraźniej doskonale.

– Hodowanie maszyn – powiedział w zamyśleniu oficer. – Im się udało, tak? Ale czy uda się nam?

– Nie chodzi nawet o to, żeby zaraz wdrażać obce rozwiązania, lecz o samą zasadę – odparł Solimow. – Nie zrezygnujemy z własnej drogi rozwoju technologicznego, bo jest dla naszego gatunku naturalna, ale możemy ją ubogacić. Wypustki nerwów wchodzące w komórkę roślinną i zmieniające jej funkcjonowanie... – Pokręcił głową z podziwem.

– Ich maszyny są żywe? – upewniał się Dethardt.

Solimow potrząsnął głową.

– Zaraz tam żywe. Nie bardziej niż drzewa, które ścinamy, czy owoce i warzywa, które jemy. To nie są istoty, tylko maszyny. Biologiczne, jednak tylko maszyny, przynajmniej tak to odbieram. Stworzone z materii ożywionej, lecz czy możesz zagwarantować, że jakiemuś gatunkowi, którego metabolizm opiera się na żelazie, właśnie nasze pojazdy nie będą się wydawały żywe?

– Chyba się zapędziłeś, Antonie – zaśmiał się pułkownik. – Ale wiem, co chciałeś powiedzieć. Przyszło mi coś do głowy. Czy tak, jak nasz sprzęt zużywa się z czasem i niszczeje, ich maszyny podlegają procesom biologicznego starzenia?

– Brawo! – powiedział z niekłamany uznaniem Solimow. – Wysnułeś znakomitą konkluzję. Taką właśnie założyłem hipotezę. To by wyjaśniało pewne różnice w strukturze meduz, z jakimi się spotkaliśmy. Ta o gęstszym upakowaniu komórek była nowsza. Młodsza, można powiedzieć.

– Zaczyna mi huczeć w głowie, zupełnie jak na tej cholernej burzy mózgów – poskarżył się Dethardt. – Tylko że tam przynajmniej działa się tak przez wrzask, a tutaj przez nadmiar informacji, rodzących się hipotez i ich skutków. Jak wy, jajogłowi, to znosicie?

– Jakoś dajemy radę. – Profesor był poważny. – Ale muszę ci się przyznać, że mnie też czasem dopada migrena, kiedy zaczynam myśleć o sprawach

niezmiernie trudnych do rozwiązania albo wręcz nierozwiązywalnych. Ale wracając do tematu, zbadaliśmy rzecz jasna także pancierz, który tak się rozsypał pod buciorem naszego ulubionego sierżanta.

– Powiedz mi od razu, że to też było jakieś zaskoczenie – mruknął oficer.

– Było – potwierdził ochoczo naukowiec. – Bo spodziewaliśmy się, że to coś w rodzaju chityny. A tymczasem okazało się, że mamy do czynienia z substancją być może pochodzenia organicznego, ale nie tkanką, tylko strukturą amorficzną. Zupełnie jak zwykłe szkło.

– W szkłe nie da się poruszać – zauważył trzeźwo dowódca wojskowy.

– Właśnie. A to urządzenie pełzło po ziemi. Jednak wedle zeznań sierżanta nie wiło się jak wąż, lecz poruszało prosto, jakby było napędzane od spodu jakimiś kółkami. Niemniej zauważył, że kiedy próbowało przed nim umknąć, jego korpus wyginał się lekko na boki, a pod butem nie poczuł, jakby chrupnęło coś bardzo twardego, ale zaspężynowało tak, że musiał powtórzyć uderzenie. Teraz zaś te odłamki są twarde, kruszą się niczym hartowane szkło.

– Jak zwykle odpowiedź na jedno pytanie rodzi całe stado kolejnych – powiedział z niechęcią Dethardt. – Dlatego wolę służbę wojskową od tych naukowych rozważań.

– Dlatego każdy powinien robić to, co mu w duszy gra.

– Mnie teraz nie w duszy gra, tylko w kiszkach. Konkretnie *Marsz Radetzkiego*, więc muszę iść do mesy. Oczywiście, jeśli to wszystko.

– Na razie tak. Badania trwają. A Odila z Guidem można już wypuścić z izolatki. Nie stwierdziliśmy zagrożenia epidemiologicznego. Żadnych toksyn, żadnych drobnoustrojów. W każdym razie niczego, czego byśmy nie znali.

– Niech sobie jeszcze trochę posiedzą – rzucił pułkownik. – Szczególnie da Campa. Lepiej, żeby mi złość na niego przeszła. Zresztą on się pewnie nawet ucieszy, bo ominą go dyżury. Nie wie tylko jeszcze, naiwny głupiec, że co się odwlecze, to nie uciecze. Już dzisiaj zaplanuję mu dodatkowe służby za czas

tego nieróbstwa.

Odwrócił się, ale w drzwiach zatrzymał go głos profesora.

– Romulusie.

– Co znowu?

– Chciałem cię o to zapytać już dawno, ale jakoś nie mogłem się zebrać.

Jednak nurtuje mnie to coraz mocniej po każdej naszej rozmowie.

– Wal, profesorze – Dethardt zachęcił naukowca, wracając i przysiadając na poręczu fotela.

– Jak to jest, że na ogół całkiem porządny z ciebie człowiek, potrafisz normalnie rozmawiać, jesteś inteligentny, chwytasz intuicyjnie to, co innym zajmuje sporo czasu, a jednocześnie jesteś takim strasznym sukinsynem dla podwładnych? Zachowujesz się wobec nich jak tępą kapral na placu apelowym. Widziałem coś podobnego w starym filmie. Ale tam w końcu żołnierz zabił takiego oficera.

– Chodzi ci o taki bardzo stary obraz *Full Metal Jacket*? – Dethardt uśmiechnął się. – Z tym filmem jest jak ze Szwejkiem i innymi zakazanymi w akademii pozycjami. Niby kadetom nie wolno go oglądać, ale właśnie dlatego wszyscy go widzieli. A większość marzy, by kapitana czy majora, który ich szkoli, spotkało coś podobnego. Kaprala zaś i sierżanta wręcz obowiązkowo.

– Tym bardziej nie rozumiem. Lubisz, jak cię nienawidzą?

– Bardzo dobrze, że nienawidzą właśnie mnie. Dzięki temu ta psia służba, którą pełnią podczas takich wypraw, nie wydaje się taka zła. Wiesz, ile obowiązków ma każdy pilot, operator czy kwatermistrz w czasie takiej służby? Szczególnie w zespole mieszanym? Od strony cywilów tego nie widać, ale jeśli jesteś ciekaw, obejrzyj kiedyś grafik, a zobaczysz, że niektórzy odpoczywają wręcz sporadycznie. Przecież oprócz zwykłych obowiązków muszą pełnić służbę wartowniczą. Cywilom nawet nie wolno tego robić.

– Wiem doskonale, jak to wygląda – odparł profesor. – Ale część tych obowiązków to doprawdy strata czasu. Choćby dwudziestoczerogodzinne warty i dyżury, podczas gdy w bazie życie toczy się całą dobę.

Pułkownik wykonał nieokreślony gest.

– Dawniej ponoć dowódcy mówili, że jak się żołnierza nie bije, to mu wątroba gnije. Pewnie, bicie to barbarzyństwo. Ale jednego się w wojsku nie zmieni: dyscypliny i przymusu przestrzegania regulaminów. Bez nich żołnierz przestaje być żołnierzem, rozleniwia się. A ma być zawsze gotowy do działania. Poza tym, dzięki temu, że podwładni czują do mnie to, co czują, mniej złością się na siebie. W zamkniętej grupie animozje to problem, jak sam doskonale wiesz. A tak mają wspólnego wroga i nawet jeśli ktoś kogoś nie za bardzo lubi, zawsze znajdzie się wspólny temat do narzekań. Narzekanie i psioczenie to znakomity sposób rozładowywania stresu, jeśli są skierowane na konkret. A ja, mów, co chcesz, jestem konkretem.

– Jednak pozwól sobie powiedzieć, Romulusie, że cywilów zastraszasz tak samo. Nad nieszczęsnym doktorem Linneaux znęcasz się z wyjątkowym upodobaniem.

Pułkownik pochylił się ku profesorowi.

– Powiem ci w sekrecie, dlaczego to robię – rzekł cichym, konspiracyjnym wręcz tonem. – Uważam Georges’a Linneaux za najtęższy łeb w całym zespole. Nie tylko naukowym, całym. Nie gniewaj się, ale przerasta nawet ciebie.

Solimow zmarszczył brwi, lecz nie dlatego, że poczuł się urażony.

– Też to zauważyłeś? Jestem zdziwiony, bo myślałem, że pod pozorem wiecznego roztargnienia i gadatliwości mało kto dostrzega jego geniusz. Jednak dlaczego w takim razie...

– Właśnie dlatego – wszedł mu w słowo pułkownik. – Taki umysł może sobie polatywać po niebiańskich łąkach, proszę bardzo, ale powiedz mi tylko,

że nie potrzebuje dyscypliny i od czasu do czasu ściągnięcia za pióra na ziemię.

Solimow pokręcił głową i westchnął.

– Potrzebuje pewnego drylu, ale czy zaraz wojskowego? Ciągłych połajanek?

– Zobaczymy. Zaszкодzić mu to nie zaszkodzi, co najwyżej zacznie się jąkać. Jedna sprawa, Antonie. Jeśli piśniesz mu choć słówko o tym, co powiedziałem na temat jego mózgu, będziesz się mógł pożegnać z moimi zapasami siedemdziesięcioletniej szkockiej.

– Będę milczał jak grób. Dla tej whisky nie tylko sprzedałbym własną matkę, ale nawet zrezygnował z tytułów naukowych. A to bardzo wiele znaczy.

Pułkownik wstał.

– No to skoro zaspokoilem już twoją ciekawość, pójdę zaspokoić wreszcie mój głód. I nie zatrzymuj mnie, bo padnę tutaj jak długi i trzeba będzie mnie reanimować. A muszę ci powiedzieć, tak między nami, że kroplówki w ogóle mi nie smakują.

Profesor został sam i powrócił do oglądania materiałów z laboratorium. Wpatrywał się w strukturę komórek roślinnych poprzerastanych włóknami nerwowymi. Nie mógł wyjść z podziwu i zachwytu arcymistrzostwem wykonania tkanek.

– Natura was tak wyposażyła czy to własny geniusz? – mrucał, obracając gestami obraz na wszystkie strony. – A może jedno i drugie? Jestem was coraz bardziej ciekaw, drodzy przyjaciele.

*

Rwący Sieć został wezwany na naradę wprost od obowiązków przy porządkowaniu materiału w laboratorium. Potrzaskane szczątki urządzeń, które

wleciały do otchłani, pozbierano do najmniejszego fragmentu. Vengu Ostrze Światła nie rozumiał, dlaczego obcy nie spowodowali pełnej dezintegracji struktur, mając na to dość czasu. Nie wyobrażał sobie, by on miał tak postąpić na ich miejscu. W końcu urządzenia wysłane do lokalnej otchłani tamtych właśnie tak zostały unicestwione. Wystarczył najmniejszy sygnał zagrożenia, by dokonały autodestrukcji.

– Poza tym jednym pełzakiem – przypomniał mu delikatnie vinduke Wędrowiec Po Niebie, kiedy odike wyraził tę wątpliwość. – Nie wiemy, co się z nim stało, nie nadał komunikatu o rozbłyску.

– Na pewno także uległ zniszczeniu – orzekł vengu. – Najwyraźniej konstrukcja lokalnej otchłani obcych zatrzymuje niektóre fale.

Odike spoczywał w siedzisku przeznaczonym dla niższego personelu w gnieździe decyzyjnym. Było niedopasowane, gdyż osiągnął już większe rozmiary niż zwyczajni technicy i robotnicy, ale i tak stanowiło to wyróżnienie. Lepszy postanowili zasięgnąć jego opinii w sprawie ostatnich wydarzeń.

Tak przynajmniej przypuszczał. Lecz na razie nikt jeszcze o nic go nie zapytał. Vengu, vinduke z asystentem i trzech sanduke omawiało wyniki badań pozyskanego materiału.

– Potwierdza się, że używają do konstrukcji maszyn materii nieożywionej – raportował sanduke Wiszący Nad Skałą. – Nie hodują swoich urządzeń.

– To niesłychane – rzekł vengu. – Jak może się rozwinąć cywilizacja bazująca na pierwiastkach pozyskiwanych z ziemi i skał? Przecież to najzupełniej nieopłacalne, a przy tym niesamowicie pracochłonne.

– Jak widać, może, skoro się rozwinęła – zauważył sanduke. – Z całym szacunkiem.

Ostrze Światła sygnałem zachęcił Wiszącego Nad Skałą do kontynuowania raportu.

– Nie jesteśmy w stanie odtworzyć tych urządzeń, zbyt wiele ich fragmentów uległo daleko posuniętemu rozpadowi. Nie bardzo też wiemy, na jakiej zasadzie funkcjonowały. Zapewne, podobnie jak u nas, używano do sterowania wiązki prowadzącej i umysłu własnego jednostek, lecz pewności nie mam. Pełzak, z którym straciliśmy łączność na samym początku, miał spory zakres samodzielności. Jeśli przetrwał, wyjdzie na zewnątrz i nada sygnał wywoławczy. Ich maszyny uległy zagładzie, więc będą wiedzieli tyle, ile zdążyły im przekazać na bieżąco.

– To niewiele – podsumował vengu. – Jednak każda informacja jest cenna, gdy cierpi się na ich skrajny deficyt.

Starszy badacz słuchał lepszych. Po co go tu wezwali? Jeśli miał tylko przysłuchiwać się składaniu raportów i obradom, równie dobrze mógł otrzymać całość w impulsie informacyjnym, a w tym czasie robiłby coś pożytecznego.

– Odike Rwęcy Sieć z pewnością intensywnie się teraz zastanawia, dlaczego został zaproszony – rzekł Wędrowiec Po Niebie, jakby czytał w myślach Niedotykalnego. – Oczywiście jest, starszy badaczu, że nie oczekujemy od ciebie rady. Wszystkie informacje nam przekazałeś. Chyba że ośmieliłeś się coś zataić.

Na samą myśl o takim przekroczeniu prawa Rwęcy Sieć stęzał, co nie uszło uwagi obecnych.

– Bardzo dobrze, odike. W takim razie dowiedz się, że zamierzamy powierzyć ci ważne zadanie. – Wędrowiec Po Niebie niespodziewanie rozjarzył się na chwilę sygnałem życzliwości. Wyjątkowe było również to, że w dalszej części przemowy użył uzupełniających przekaz sygnałów akustycznych. – Postanowiliśmy zaproponować obcym spotkanie. Chcemy zobaczyć ich bez tych wszystkich maszyn i urządzeń. Chcemy zrozumieć, kim są, bo to może się okazać kluczowe dla naszych zamiarów na planecie.

Rwący Sieć powstał na ślizgi, wyciągnął na całą długość ramiona i oplótł się nimi na znak najwyższej uwagi oraz uszanowania.

– I to właśnie ty, odike, powitasz obcych.

Rwący Sieć prawie skamieniał. On? Przecież powinien to zrobić któryś z lepszych. Może nawet sam vengu! W dodatku vinduke doskonale wiedział, że starszy badacz powinien w najbliższym czasie zejść do Otchłani, aby zająć swój sarkofag w Głębi i oczyścić oraz uzupełnić sangis. Poza tym sporo danych czekało na przefiltrowanie przez dwuświadomość i sformułowanie wniosków.

– Jeżeli dobrze się sprawisz – mówił dalej Wędrowiec Po Niebie – i będziemy z ciebie zadowoleni, starszy badaczu, być może natychmiast po powrocie rozpoczniesz pączkowanie na poziomie kasty Niepoliczalnych.

Rwący Sieć praktycznie stał się kawałkiem skały. Zbyt wiele na niego spadło w ciągu kilkunastu zaledwie periodów. Przemógł się jednak, schłodził sangis, korzystając z krótkiej medytacji, a potem odpowiedział:

– Dziękuję, czcigodny vinduke, za możliwość podjęcia tego trudu. Postaram się jak najlepiej wywiązać z zadania.

– Tego się spodziewam – rzekł Wędrowiec Po Niebie, a potem dał mu znać, by odszedł.

Odike wyśliznął się z wgłębienia i ruszył ku wyjściu z korytarza.

– Jesteś pewien, czcigodny vinduke, że to dobre rozwiązanie? – spytał sanduke Wiszący Nad Skałą, gdy miał już pewność, że żadne sygnały i ich odbicia nie dotrą do Rwącego Sieć. – Ten odike to zaledwie Niedotykalny, a powierzamy mu zadanie godne choćby Nielicznego.

– Dlatego właśnie obiecałem mu już otwarcie pączkowanie w niższej kaście – odparł najstarszy uczonec. – Od tej chwili można go traktować jako lepszego niż Niedotykalny. Rzecz jasna, tylko formalnie.

– Nadal jednak nie mogę zrozumieć, dlaczego właśnie on. W dodatku

naprawdę przydałaby mu się wizyta w sarkofagu. Widziałeś jego ramiona? Zaczynają się marszczyć i kurczyć, nie zdołał się nawet nimi szczelnie owinać. Nie jest w pełni sił.

– Wyjaśnię ci to, sanduke, choć dla mnie to strata czasu, powinieneś sam to pojmować. Otóż kontaktowaliśmy się z Władcą Leja Przestrzeni. Najczcigodniejszy Tryskające Źródło po radzie z innymi Władcami nakazał nawiązać bezpośredni kontakt. Jego doradca, najstarszy mędrzec, nadczcigodny Kryjący Skarb zażądał, aby zrobić to jak najszybciej. Musimy nadal badać zasoby planety i móc pracować. Zanim przybędą pierwsze transporty robotników, wszystko powinno być gotowe, a obszary wydobywania wytyczone. Na razie mamy dla nich przygotowane tylko osiedla, chociaż i w nich zostało jeszcze sporo do zrobienia.

– A jeśli kontakt się nie powiedzie? – spytał sanduke. – To obcy, przecież różne rzeczy mogą się wydarzyć.

– Wtedy nie my poniesiemy główną odpowiedzialność, lecz odike, który nie potrafił wykonać tak prostego zadania jak nawiązanie bezpośredniego kontaktu. Niechęć Władców obróci się przeciwko niemu. Nasza również.

Wszyscy obecni milczeli z uszanowaniem. Nawet vengu Ostrze Światła nie miał nic do dodania. Wywodził się z kasty Niedostępnych, wojowników, którzy uważali się prawie za równych Nieskończonym. W pamięci Opokan pozostały jeszcze wojny, jakie toczyły te grupy. Ostatecznie zwyciężyli Nieskończeni, lecz zawdzięczali to podobno ingerencji Nieosiągalnych, władających nie tylko siłą wojenną – w czym to Niedostępni byli niedoścignieni – ale również wspaniałymi umysłami. Dzięki temu mogli osłabić jednych, wzmocnić zaś drugich.

– Gdybyś nie wypączkował wśród Nieskończonych, czcigodny vinduke – odezwał się akustycznie, zwijając kończyny w geście uznania – mógłbym przypuszczać, że wywodzisz się z mojej kasty.

To była największa pochwała, jaką można było otrzymać od wojowników. Vinduke nie był jednak poruszony. Hodowano go od najwcześniejszego stadium rozwoju na naukowca, gardził więc militarną fascynacją kasty Niedostępnych. Oczywiście doceniał to, co wyartykułował vengu, zdawał sobie sprawę, że to wyraz uznania, lecz przyjmował wszystko rozumowo. Sangis w jego ciele ani się nie rozgrzała, ani nie uległa schłodzeniu.

– Niech nasi językoznawcy ustalą przynajmniej podstawowy kod porozumiewania się z obcymi przed bezpośrednim spotkaniem. Tamci najwyraźniej używają naszych pasm informacyjnych również jako sposobu komunikacji. Lub jest to jeden z ich sposobów. Przypuszczam, że namierzyliśmy ich lokalną otchłań w taki sam sposób, jak oni naszą, korzystając z linii komunikacyjnych właśnie. Trzeba ustalić dokładne zakresy.

– Stanie się, jak każesz, vinduke – potwierdzili obecni z wyjątkiem vengu, który nie przyjmował od nikogo rozkazów, a jedynie sugestie.

Ostrze Światła miał większy zakres kompetencji niż główny naukowiec, teraz jednak mógł albo uznać jego przewodnictwo w działaniach, albo doprowadzić do konfliktu. Tego drugiego wolał nie ryzykować. Vinduke miał słuszość – jeśli kontakt okaże się nieudany, za wszystko odpowie odike. Gdyby zaś wszystko ułożyło się po ich myśli, to lepsi zostaną nagrodzeni, a Rwęcy Sieć otrzyma prawo do pączkowania w niższej kaście. Jeśli się sprawdzi, jego przywilej będzie dla lepszych tylko zyskiem, skoro będą mogli korzystać z usług rozumnych istot. Za dwa pączkowania ich potomstwo stanie się pełnoprawnym elementem niższej kasty. Zawsze będzie nosić zamię wyższego pochodzenia, jednak nabierze pełni praw przysługujących prawowicie utworzonym.

– Wracajmy do swoich obowiązków – rzekł vengu. – Niech technicy z wyższych poziomów nawiążą kontakt z obcymi. W tej chwili najważniejsze jest ustalenie kanałów porozumiewania.

Tymczasem Rwały Sieć dotarł do swojego gniazda. Pojawiała się przed nim wielka szansa, aby szybciej, niż miał nadzieję, wypączkować i przekazać swoje potomstwo do niższej kasty. Na dodatek, jeśli dobrze wykona zadanie, będzie to szansa niezmarywalna i nieodwracalna, jako że miała stanowić nagrodę, a nie tylko możliwość. Nawet gdyby później stracił względy lepszych, nawet gdyby trafił w miejsce odosobnienia, będą musieli wywiązać się z obietnicy. Jego potomstwo narodzi się wśród Niepoliczalnych i zostanie przystosowane do ich sposobu życia. A kiedy on sam odrodzi się częściowo w potomstwie swojego miotu, będzie już ono uznawane za członków kasty bez najmniejszych zastrzeżeń, jakby stały za nim całe pokolenia szlachetnych przodków.

Starszy badacz usadowił się w jamie wypoczynkowej. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien udać się do odżywialni, ale doszedł do wniosku, że zrobi to później. Na razie nie czuł głodu, a nie chciał natknąć się na erdike czy nawet innego odike. Już bowiem zaczął odczuwać do takich niechęć. Niebawem otrzyma tytuł pośredni między najniższą kastą gorszych i najwyższą lepszych. Będzie ten tytuł nosił do końca życia, choć oczywiście dopiero po tym, jak wypączkuje pierwsze jego potomstwo wśród Niepoliczalnych.

*

– Nie wiemy, na ile są do nas podobni, więc niewiele mogę na razie powiedzieć o przydatności czegoś w rodzaju słownika, panie kapitanie – tłumaczył Roy Farra. – Zresztą proszę pamiętać, że jestem przede wszystkim egzobiologiem i geologiem, a lingwistykę ukończyłem dodatkowo.

– Ale to dzięki temu dodatkowemu wykształceniu poleciałeś na wyprawę, że pozwolę sobie przypomnieć – odparł Steven Ballard. – Egzobiologów

i geologów mamy na pęczki. Jednak każda załoga ma zabierać lingwistę, podobnie jak dawniej zabierano kapłanów. Na wszelki wypadek. I właśnie zaszedł taki „wszelki wypadek”.

Roy popatrzył na szefa zespołu mieszanego wielkimi, naiwnymi oczami dziecka.

– Ale teraz nie zabiera się duchownych, prawda? Dlaczego? Przecież nie wszyscy ludzie przestali wierzyć.

– Pewnie, że nie wszyscy – zgodził się kapitan. – Tylko wyobraź sobie, że dawniej wyprawy były bardziej jednolite narodowościowo, a zatem też religijnie. Wystarczyło dwóch, góra trzech kapłanów. Czasem nawet jeden, jeśli załoga składała się z obywateli dość homogenicznego państwa. A teraz? W naszej załodze mamy ewangelików reformowanych i ortodoksyjnych, katolików z czterech różnych odłamów tego Kościoła, rodonian i wigantów, choć tym akurat wystarczyłby wspólny ksiądz. Mamy też jakichś muzułmanów, zaratustrianina, a ty jesteś mormonem. Reszta to ateści, w każdym razie tak deklarują, bo widziałem kiedyś takiego jednego, jak się żarliwie modlił, gdy utknęliśmy batyskafem lawowym na gorącym księżycu. Wyobrażasz sobie, że zabieramy w podróż tylu kapłanów, żeby nikt nie poczuł się pokrzywdzony? Rząd może by to jeszcze jakoś przełknął, ale konserwatywni nigdy się nie zgodzą na takie zbędne wydatki.

– Ale co, ci wszyscy ludzie, których pan wymienił, są wierzący i praktykujący?

– W życiu! Większość chrześcijańskich z pochodzenia członków załogi nie wie nawet, którą ręką się przeżegnać, a muzułmanie nie zabierają tych swoich dywaników.

– No to można by brać kapłanów tylko dla tych, którzy zadeklarują praktykowanie.

Kapitan westchnął i pokręcił głową.

– Problem w tym, że przy takim pytaniu ludzie potrafią wbrew prawdzie twierdzić, że są praktykujący, albo przypomnieć sobie o powinnościach religijnych już w trakcie ekspedycji. Z nudów na przykład, ale też w stresie. A potem mają pretensje, że tacy prezbiterianie zabrali przewodnika duchowego, muzułmanie dostali mułłę, a oni nikogo. Dlatego od wielu dekad nie bierze się duchownych i koniec. Dzięki temu wszyscy są jednakowo zadowoleni. Albo tak samo niezadowoleni, to bez znaczenia.

– Okropność – stwierdził lingwista. – I trudno to zrozumieć.

– Jeśli polatasz na wyprawy jeszcze dwadzieścia lat, zrozumiesz. Zrozumiesz nawet wcześniej. Nieważne. Teraz skup się na pracy, bo kiedy przyjdzie profesor, będzie chciał coś wiedzieć. A zjawi się na pewno z Pierdołą, bo ten też musi się orientować w postępach prac. Kiedy uzyskamy połączenie z Centralą, będziemy musieli przekazać im jakieś konkrety, nie mętne domysły.

Na wspomnienie pułkownika Roy aż się wzdrygnął i zaczął szybko mówić:

– Na razie wymieniliśmy tylko kilkanaście prostych komunikatów matematycznych. Na szczęście obcy również posługują się matematyką.

– Gdyby było inaczej, nie stworzyliby cywilizacji – zauważył kapitan. – Nie da się sformułować choćby podstawowych praw przyrody, nie używając języka matematycznego. Takiego lub innego. Nawet na Ziemi zdarzały się w tym względzie różnice. Starożytni Majowie mieli zapis dwudziestkowy. Był system sześćdziesiątkowy, bodaj w Babilonie. Wszystko jest kwestią podejścia.

Farra skinął głową na zgodę, ale minę miał nietęgą.

– Jednakże na podstawie aksjomatów, że dwa i dwa to cztery, a zero jest dla nich, podobnie jak dla nas, zarówno brakiem wartości, jak i pozycją w zapisie liczbowym, trudno opracować cokolwiek przypominającego bardziej zaawansowaną komunikację. Musimy najpierw podjąć bliższy kontakt,

ponazywać przedmioty, opracować sposób kodowania i dekodowania, technikę przekazywania informacji.

– Wiem, wiem – rzucił niecierpliwie kapitan. – Opowiadasz oczywistości. Ale pytanie, czy masz jakiś pomysł na to pierwsze spotkanie, nazwijmy to, twarzą w twarz. Czy co oni tam mają między grzywką a kołnierzykiem.

Młody naukowiec pokiwał głową i pokazał na wyświetlaczu ciąg cyfr i równań.

– Nie kpij – zachnął się Ballard. – Co to ma być? Tablice wzorów dla słuchaczy Akademii Marynarki Wojennej? Starożytne nastawy artyleryjskie? Bo tak mi się to kojarzy.

– Nie. To podstawowe formuły matematyczne zapisane w systemie ósemkowym wraz z ich transpozycją na system dziesiętny. Od czegoś musimy zacząć. Potem sztuczna inteligencja będzie mogła wykorzystać określone algorytmy przy ustalaniu zasad komunikacji. Zakładam, że oni też mają coś w rodzaju zaawansowanych komputerów. Chyba że sami posiadają takie możliwości. To już kwestia techniczna.

– Z zapisów pierwszego kontaktu z regularną i kierowaną wymianą sygnałów wynika, że nie mają najmniejszych problemów z przeliczaniem – zauważył kapitan. – Dobrze. Kiedy przyjdą szefowie, pokaż im to i wyjaśnij Dethardtowi, o co w tym chodzi, bo profesor pewnie od razu się połapie.

Młody naukowiec skinął głową i zaczął coś zmieniać na leżącej przed nim tablicy wykresów, a oficer pomyślał, że w takiej sytuacji przydałby się bardziej doświadczony człowiek jako specjalista od języków. Tyle że do tej pory zabieranie lingwistów traktowano jak przypinanie kwiatka do kożucha. Można, tylko po co? Koncerny i korporacje najchętniej w ogóle zlikwidowałyby takie stanowisko, jednak rząd federalny upierał się przy swoim. Rządzący poszli jedynie na ustępstwo, zgadzając się, żeby wyspecjalizowany w strukturze języka członek załogi obligatoryjnie miał

również inne specjalizacje. Najczęściej należał do grupy mieszanej, bo wówczas przemysłowcy ponosili tylko część kosztów jego utrzymania, ale zdarzało się, że wchodził w skład zespołu cywilnego, tak jak ten młodzik Roy.

Kapitan nieraz zastanawiał się, jak to jest, że najbogatsi ludzie w Galaktyce są jednocześnie tak skąpi. Ale może właśnie stąd brało się ich bogactwo? Z takiego ciułania połączonego z brakiem skrupułów i umiejętnością podejmowania ryzyka?

Nie rozumiał tego i bardzo zresztą był rad z faktu, że nie pojmuje motywacji i sposobów działania tuzów gospodarczych. Nie po to wybrał karierę wojskową, żeby głowić się zbyt usilnie nad podobnymi sprawami.

– Porozumienie co do czasu spotkania nastąpiło dość szybko – rzekł Roy. – To oznacza, że rozumują podobnie, przynajmniej w pewnym zakresie. Miejsce także wybrali zgodne z naszymi preferencjami, to znaczy w połowie drogi między swoją siedzibą a naszą stacją.

– Dobrze, że przy tamtym spotkaniu udało się od razu ustalić częstotliwości komunikacji. Chociaż długie fale nie są zbyt wygodne.

– Ale za to pewne – rozległ się nagle za nimi miły kobiecy głos.

– Witam, pani Sarkissian – rozpromienił się lingwista. – Właśnie ślęcę nad wykresami.

– A nasz kochany kapitan bardzo fachowo przeszkadza ci w pracy. – Popatrzyła z uśmiechem na Farrę, a potem mrugnęła do Ballarda. – Steve, daj chłopakowi spokojnie popracować. Nie bądź jak ten wasz Pierdoła, nie stój mu nad głową.

– Ależ skąd, pani Sarkissian – zaprotestował chłopak. – Prowadziliśmy bardzo inspirującą konwersację. Pan kapitan ma nadspodziewanie rozległą wiedzę i potrafi wyciągać interesujące wnioski... – Zamilkł, słysząc perlisty, radosny śmiech Lynn.

– I jak się czujesz, Steve? Doceniony? Masz nadspodziewanie rozległą

wiedzę. Nadspodziewanie. Spodziewałeś się tej nadspodziewaności?

– Biorę to za komplement – odparł lekkim tonem Ballard. – W przeciwnym razie musiałbym uznać słowa tego młodego człowieka za obrazę, a na to chyba obaj nie mamy ochoty.

Roy spiekł raka, zdawszy sobie sprawę, co powiedział, a Lynn śmiała się już bez skrępowania.

– Pokaż, młody, co tam wytworzyłeś – odezwała się, poważniejąc. Pochyliła się nad wykresami, a potem spojrzała na wyświetlone równania. – Tak... Zdaje się, że odrobiłeś lekcję. SI stacji już to zweryfikowała?

– Tak, pani Sarkissian – odparł Roy, patrząc na nią maślanym wzrokiem. – Dokonała tylko jednej korekty, bo rzeczywiście podwójnie zapisałem znaki.

– Tak właściwie przyszedłem porozmawiać z profesorem – powiedziała kobieta. – Myślałam, że go tu zastanę.

– Pewnie niedługo nadejdzie – rzekł Ballard. – Jeśli zaczekasz...

– Nie, daruję sobie. – Machnęła ręką. – Tym bardziej że na pewno przywlecze się z Romulusem, a mam dzisiaj w sumie dość dobry nastrój i nie chcę sobie psuć dnia. Miałam nadzieję, że wstrzelę się w moment, kiedy on jeszcze będzie, ale Pierdoła już sobie pójdzie.

– Może zostać – mruknął kapitan. – Na twój widok Dethardt jak zwykle straci trochę pewności siebie i nie będzie się wydzierał.

Z krzywym uśmiechem patrzył na Roya, który z lekko rozchylonymi ustami wpatrywał się w Lynn. Była najprawdopodobniej najpiękniejszą kobietą, jaką chłopak w życiu widział. Nie przypominała efektownej laleczki, miała zdecydowane rysy twarzy, ale też miękkość i urok, które sprawiają, że przedstawicielka płci pięknej działa na mężczyznę w ściśle określony, a zarazem niedookreślony sposób. Ballard wcale się nie dziwił Farrze. Jemu również patrzenie na Lynn sprawiało wielką przyjemność. A to, jak się poruszała, mogło przyprawić o zawrót głowy.

Odetchnął głęboko.

– Będzie się wydzierał – odparła kobieta. – To silniejsze od niego. Przekażcie profesorowi, że mam dla niego materiał, o który prosił.

Kapitan uniósł pytająco brwi, ale Sarkissian potrząsnęła głową.

– Nic bardzo ważnego. Przebadałiśmy z biologami te neuronalne struktury w urządzeniu biologicznym obcych. Wygląda na to, że nie różnią się szczególnie od naszych obwodów elektronicznych. Ciekawostka polega na tym, że nie potrafimy znaleźć niczego, co można by utożsamić z tradycyjnymi mikroprocesorami albo procesorami kwantowymi. Tak jakby całość tego czegoś nie posiadała centrum dowodzenia.

– Może całość jest centrum? – wysunął przypuszczenie Roy. – Taki organizm stanowi jednocześnie komputer biologiczny?

– Niczego nie można wykluczyć. – Lynn pokiwała głową. – W każdym razie wyniki badań wrzucę zaraz do ogólnej bazy danych. Tam je znajdzie, kiedy będzie miał czas. Jak mówiłam, to nic wielce pilnego, ale warto się z tym zapoznać.

Ballard spojrział na lingwistę, który wpatrywał się rozmarzonymi oczami w Sarkissian.

– Do roboty, młody! – huknął. – Do pani informatyk będziesz się modlił w czasie wolnym!

Farra poczerwieniał i pochylił się nad wykresami.

A nad jego głową Ballard posłał Lynn porozumiewawcze spojrzenie. Odpowiedziała lekkim uśmiechem.

„Godzinę po mojej wachcie” – powiedział samymi wargami.

„Póltorej” – odparła w ten sam sposób.

Kapitan przymknął oczy, dając znać, że przyjął do wiadomości poprawkę.

– Pójdę już – powiedziała Lynn.

– Do widzenia, pani Sarkissian – odezwał się od razu Roy.

– Miłego popołudnia – rzucił Ballard, a potem stuknął palcem w wyświetlacz. – Co to jest ten zielony punkt pod linią, młody?

– Oznacza nietypową częstość występowania pewnego wzorca. Tu jest ona powyżej średniej. Co ciekawe, ten sam wzorzec pojawia się w kolejnej sekwencji o wiele rzadziej. Na takiej podstawie można znaleźć znacznie szerszy wzorzec, który uśrednia zjawisko. W znanym nam języku może się to wydawać wręcz nieistotne, po prostu jest i tak tego używamy. Co więcej, w jakimkolwiek ziemskim dialekcie również, bo jako ludzie intuicyjnie stosujemy podobne rozwiązania, więc to może jedynie pomóc, ale nie stanowi podstawy poznania. Ale tu mamy do czynienia z czymś zupełnie obcym. Z językiem opartym na nieznanym zasadach, komunikacją przebiegającą za pomocą całkiem innych technik przekazywania informacji. Mogę sobie w tym grzebać do woli, ale dopóki nie dostaniemy jakichś konkretów, dopóty będzie to zawsze tylko spekulacja.

– Rozumiem – mruknął Ballard. – Oni mogą odbierać niektóre zakresy fal radiowych tak, jak my akustyczne. Są odbiornikami i nadajnikami zarazem. Oczywiście pewnie na niewielkich odległościach, bo żeby nadawać bezpośrednio gdzieś dalej, musieliby w tyłkach nosić generatory energii.

– Zapewne. Ale powiem więcej – odparł Roy. – Nie możemy wykluczyć, że rejestrują je także tak, jak my świetlne lub dźwiękowe. Dlatego zakresy również należy precyzyjnie ustalić. Lecz to możemy zrobić tylko przy współpracy z drugą stroną. Na razie wymieniliśmy jedynie komunikaty na falach długości od dwustu dwudziestu do trzystu osiemdziesięciu metrów.

– Na takich zakresach nadawali na początku – potwierdził kapitan. – Ale to nie znaczy, że zasadniczo nie używają innych.

Roy pokiwał głową z roztargnieniem.

– Niewykluczone. My też nie odkrywamy wszystkiego, prawda?

Kapitan spojrzał na młodego naukowca. Chłopak skupił się na wykresach

i porównywał je z jakimiś danymi na drugim wyświetlaczu oraz diagramami widocznymi na głównym holo pracowni.

– Nie przeszkadzam ci w takim razie – mruknął. – Pracuj. Jak przyjdą profesor z pułkownikiem, zachowuj się, jak należy. Nie będę na nich czekał, wracam do dyspozytorni.

Kiedy był już przy drzwiach, doleciał go głos Farry:

– Proszę przekazać pozdrowienia pani Sarkissian.

Kapitan znieruchomiał i odwróciwszy się powoli, zmierzył młodzieńca groźnym spojrzeniem, ale ten na niego nie patrzył. Wydawał się zupełnie pochłonięty pracą.

W zasadzie powinien postawić do pionu bezczelnego gówniarza, lecz zwalczył tę pokusę. W końcu chłopak nie powiedział nic złego. Wszyscy wiedzieli, że spotyka się z Lynn niekoniecznie tylko na gruncie koleżeńskim. Nikomu to nie przeszkadzało, a on nie mógł reagować złością na przyjacielską w sumie uwagę.

6

Profesor siedział na masce łazika i wpatrywał się w dal. Sprawiał wrażenie, jakby nie przybył tutaj dokonać czegoś niesłychanie ważnego, tylko wybrał się na wycieczkę. Jednak Stan zdążył już poznać szefa naukowego wyprawy na tyle, by zdawać sobie sprawę, że Solimow cierpi na taką samą drżączkę jak wszyscy.

Przylecieli przed czasem dużym wahadłowcem ściągniętym na tę okazję z orbity. Postawili go dwa kilometry za sobą, a sami dotarli na ustalone miejsce w małych pojazdach terenowych. Profesor bardzo na to nalegał. Twierdził, że nie należy sprawiać na obcych wrażenia, że jest się gotowym do agresji. Na wszelki wypadek.

Dwa dni wcześniej Sordis sam udał się na pokład orbitującego statku transportowego wyprawy, żeby ściągnąć suborbitalno-atmosferyczny środek lokomocji. Mogli oczywiście użyć maszyn latających dostępnych w bazie, ale okazało się, że nie ma ich tyle, by zabrać wszystkich, którzy mieli się udać na to spotkanie. Co innego loty patrolowe i badawcze, kiedy sprzętu używa osiem, góra dziesięć osób, a co innego taka wyprawa. Poza tym musieli zapakować także mobilny moduł sztucznej inteligencji bazy, na który skopiowano wszystko, co potrzebne, z mózgu głównego. Wprawdzie Farra mówił, że na początek poradzi sobie z pomocą zwykłego komputera kwantowego, ale nikt nie brał tych przechwałek zbyt poważnie.

Nawet profesor stracił cierpliwość i objechał młodego naukowca za zbytnią

ufność we własne siły.

– Jeszcze pół godziny – powiedziała Melinda, podchodząc od strony zaparkowanego nieco z tyłu drugiego łazika.

– O ile nie przybędą wcześniej, podobnie jak my – rzekł Stan.

Oparł rękę na burcie wozu i wyczuł lekkie wibracje. Silnik pracował na jałowym biegu, na wypadek gdyby okazało się, że powinni się szybko ewakuować. Z kolei w wahadłowcu czekała grupa desantowa, złożona z dziesięciu członków zespołów wojskowego i mieszanego, pod dowództwem majora Dalostopulosa. Mogła przybyć na miejsce w ciągu dwudziestu sekund od wezwania. Profesor nie zgodził się, żeby zabezpieczenie wojskowe rzucało się w oczy.

– Być może nie będą w ogóle wiedzieli, kim jesteście, ale nie możemy też wykluczyć, że coś wyczują, a może po prostu zorientują się na podstawie analizy spektralnej i chemicznej waszego uzbrojenia.

– Skąd pewność, że używają jakichkolwiek podobnych materiałów do produkcji broni? – zaprotestował pułkownik.

– Tego nie wiemy. Nic nie wiemy – odparł profesor. – Nawet tego, czy w ogóle używają jakiejś broni.

Dethardt tylko zaklął i machnął ręką. Diabli go brali, bo musiał zostać na stacji i śledzić przebieg spotkania na holo. Wszelkie instrukcje surowo zabraniały, aby dowódca wojskowy, jego zastępca oraz kierownik naukowy opuszczali jednocześnie teren stacji, oczywiście z wyjątkiem sytuacji alarmowych. A ponieważ Dalostopulos był doświadczonym komandosem i powinien zapewniać osłonę, Solimow zaś z racji funkcji musiał uczestniczyć w spotkaniu, pułkownikowi nie pozostało nic innego, jak uznać, że bez niego ta cała impreza może się obejść.

– I tak do niczego wielkiego tam nie dojdzie – burczał pod nosem, kiedy stało się jasne, kto za co ma odpowiadać. – Postoją, pobuczą i pobrzęczą

sygnałami, a potem się rozejdą. To, co najważniejsze, jajogłowi i tak będą analizować w domu.

Stan wiedział jednak, że stary Pierdoła niepokoi się. I to nie kto inny jak Linneaux wprowadził go w ten stan. To była bardzo ciekawa dyskusja. Siedzieli w przylegającej do mesy sali widokowej, patrząc na niezwykle urokliwy zachód tutejszego słońca. Izyda okazała się urodziwą boginią, jej malinowo-fioletowy w tej chwili dysk opadał powoli nad horyzont i przyciągał wzrok. Dzięki uruchomionym w pancernych szybach filtrom ludzie mogli patrzeć na zjawisko, nie obawiając się o oczy. Groziły im co najwyżej powidoki.

Właśnie wtedy Georges postanowił podzielić się z trójką przyjaciół swoimi przemyśleniami. Nie zauważył tylko stojącego w wejściu Dethardta, który jadł obok kolację i przyszedł, usłyszawszy jego głos. Zresztą początkowo nikt go nie zauważył.

– Na tej planecie jest chyba coś cennego dla tych obcych. Kurczę, może cenniejszego niż dla nas tutejsze rzadkie surowce naturalne.

– Myślisz? – spytała leniwie Melinda. – Dlaczego?

– Bo strasznie szybko zaproponowali spotkanie na lądzie. My się dopiero zbieraliśmy, żeby to rozważyć. Ten wasz Pierdoła pewnie wolałby nawet zaczekać, aż wróci komunikacja z Centralą, zanim podejmie decyzję. Tamci może nie mają takich problemów z łącznością, a może dokładnie wiedzą, co mają robić. Może to nie jest ich pierwszy kontakt? Cholera, jak my mało wiemy! Ale uważam, że im się śpieszy o wiele bardziej niż nam.

– Na podstawie czego konkretnie wyciągasz takie wnioski? – spytał Stan, rzucając spojrzenie egzobiologowi.

W tym momencie zauważył zwalistą sylwetkę dowódcy w drzwiach. Chciał się poderwać i zsalutować, ostrzegając przy okazji kolegę, ale pułkownik położył palec na ustach, wsunął się do sali widokowej i stanął pod ścianą.

– Możesz uznać, że tak czuję – odparł Linneaux. – Ale chodzi o coś innego.

Nie mamy pojęcia, kim są nasi nowi przyjaciele, prawda? Jednak zdaje mi się, że nawet jeśli się mocno różnimy, znajdziemy parę cech wspólnych. Na przykład tempo metabolizmu. Zobaczymy jutro, ale jeśli poruszają się z szybkością podobną do naszej, jeśli reagują w zbliżonym czasie, tak właśnie jest. A jak dotąd nic nie wskazuje, żeby reagowali znacząco wolniej.

– Mogą być za to cholernie szybcy – odezwał się Guido.

Kilka godzin wcześniej został wreszcie wypuszczony z izolatki i już zdążył odbyć kolejną mało przyjemną pogawędkę z dowódcą.

– Mogą – zgodził się Linneaux. – Ale nie wydaje mi się. Kiedy nadawali sygnały z własnej inicjatywy, robili to w zbliżonym do naszego tempie. Takie rzeczy są wpisane w naturę. I właśnie dlatego sądzę, że coś za mocno naciskali na to spotkanie. Chcą nas obejrzyć i się dogadać, to oczywiste, bo my też tego chcemy. Ale po co taki pośpiech? Ciekawość? Członkowie rozwiniętej cywilizacji muszą wykazywać się żądzą poznania, inaczej nie dokonywaliby ekspansji, ale na takim gwiazdowym poziomie ta ciekawość wygląda inaczej. Tak jak u nas. Nasz przodek, widząc jakiś dziwny ogień, wetknąłby w niego patyk, żeby sprawdzić, co się stanie. My najpierw będziemy zjawisko obserwować, potem przewidywać, co się może zdarzyć, a dopiero na końcu polecimy z patykiem.

– No dobrze, ale jeśli jest na tej planecie coś, na czym im tak bardzo zależy? – spytała Melinda.

– To może okazać się groźne. Bo jeżeli chodzi im o zasoby naturalne, podobnie jak nam, będzie to znakomita podstawa do konfliktu. Aby to przewidzieć, nie trzeba być geniuszem. Wyobrażacie sobie nasze kochane korporacje, małe i duże, które dowiadują się, że znalazł się chętny do podziału?

– To fakt – przyznała chorąży. – Nasi cywile, zatrudnieni przez wielkie firmy, już teraz zaczynają rzucać się sobie do oczu, próbując ustalić, kto kogo

i kiedy ma powiadomić, a co dopiero, gdyby wyszło coś takiego.

– No dobrze, a jeżeli poszukują czegoś innego? – spytał Guido.

– Wtedy powstaje oczywiste i już przez kogoś z załogi sformułowane pytanie, czy nie będą nam utrudniać wydobycia. Co będzie, jeśli, damy na to, złoży coś, czego pragną, są położone tak, że krzyżują się z tymi, których my chcemy?

– Trzeba się będzie jakoś dogadać – mruknął da Campa.

– Dogadywanie się z naszymi korporacjami przypomina kręcenie bicia z piasku. Pracy mnóstwo, efekt żaden. A co dopiero... – Zawiesił głos, a potem skrzywił się lekko. – Ale zauważcie, jak szybko zaproponowali to spotkanie, że wrócę do tematu. Myślę, że powinno to niepokoić, szczególnie waszego Pierdołę.

– I zaniepokoiło! – odezwał się nagle pułkownik.

Stan, zasłuchany w wywody Georges'a, prawie zapomniał, że Dethardt stoi przy wejściu.

Linneaux poderwał się z fotela i wytrzeszczył oczy. Wprawdzie tańczyły mu w nich powidoki, ale charakterystycznej sylwetki dowódcy wojskowego nie dało się pomylić z niczym. A poza tym głos...

– Jezu – jęknął Guido. – No to się zacznij.

Ale nic się nie zaczęło. Pułkownik ciężkim krokiem podszedł do ich grupki, teraz wyprężonej na bacność, i klapnął na wolny fotel.

– Siadajcie – mruknął. – Sytuacja jest zbyt poważna, żeby się po swojemu wydzierał i udowadniał wam, że zasługuję na zaszczytne miano Pierdoły.

Złowił zdziwione spojrzenie Melindy i uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– Wam się wydaje, młodzi oficerowie, że tacy jak ja kończyli inną akademię, w innych czasach i na innych zasadach. Że stare trepy nie wiedzą, jak nazywacie dowódców za ich plecami. My też czytaliśmy zakazane książki i oglądaliśmy zabronione filmy. Nigdy nie przyszło wam do głowy, dlaczego

właściwie się ich zakazuje? A potem jakoś nie macie większego problemu z ich zdobyciem? Myślicie, że wykładowcy są tacy durni, jak wam się wydaje, nic nie widzą, nic nie słyszą, umieją się tylko czepiać? Pewnie niektórzy tak, ale cały system działa celowo...

Stan pokiwał głową. Rzeczywiście, po skończeniu uczelni nieraz się zastanawiał nad tym wszystkim i miał pewne podejrzenia. Dethardt dostrzegł jego gest.

– Sami w życiu nie przeczytalibyście ani *Szwejka*, ani *Paragrafu 22*, nie obejrzelibyście *Full Metal Jacket*, *Czasu apokalipsy* ani innych tego typu klasyków. A gdybyście nawet przeczytali i obejrzeli, zaraz wywietrzałoby wam to z głów. Owoc zakazany nie tylko lepiej smakuje, ale też o wiele dłużej pozostaje w pamięci. – Zamilkł na chwilę i wpatrzył się w Georges'a. – Obawiam się, doktorze, że może pan mieć rację. A nawet jeśli myli się pan co do całości, to ma pan słuszość co do pewnych aspektów zagadnienia. Uświadomił mi pan właśnie, co przede wszystkim musimy brać pod uwagę w kontakcie z tym obcym gatunkiem.

– Co, panie pułkowniku? – odważył się spytać naukowiec.

– Wszystko, drogi Linneaux. *Wszystko*. W sumie wiedziałem to już przedtem, ale kiedy słyszy się takie wnioski z ust cywila, człowiek przestaje myśleć, że cierpi na przypisaną stopniowi wojskowemu paranoję. – Znów przez chwilę milczał, a potem dodał: – Tak, ma pan rację także w tym, że wolałbym poczekać na kontakt z Centralą, zanim spotkamy się z obcymi. Ale nic tu nie poradzimy. Profesor uważa, że im więcej danych zbierzemy, tym lepiej, i w tym względzie całkowicie się z nim zgadzam.

Stan uśmiechnął się pod nosem, wspominając niedawne zdarzenie. Przenikające przez rękawicę wibracje łazika działały kojąco. Jałowa równina, na której czekali, wydawała się jakby z innego świata. Przywykł już do oceanicznego krajobrazu, a tutaj mieli coś w rodzaju pustyni. Punkt znajdował

się w jednakowych odległościach od ich stacji i bazy obcych.

Profesor nagle uniósł się i zeskoczył z maski łazika. Jego kulisty hełm śmiesznie się zakołysał, kiedy chwycił równowagę.

– Zbliżają się – powiedział.

Sekundę później z maszyny wychylił się młodzieńki pilot, młodszy nawet od Roya Farry.

– Sześć obiektów z północnego zachodu – poinformował. – Są trzydzieści kilometrów stąd.

– Skąd pan wiedział? – Sordis spojrział na profesora ze zmarszczonymi brwiami.

– Jakoś tak mi się zdawało – mruknął naukowiec. – Może wzbudzają wibracje, które wyczułem? A może napięcie wyostrza mi zmysły? Wiesz, jak z tym jest, poruczniku doktorze. Wszystko można wyjaśnić naukowo, z wyjątkiem niektórych rzeczy. A tych niektórych rzeczy jest zaskakująco dużo. Bo skąd niby taka prosta szkocka kobieta wiedziała kiedyś, że jej ukochany właśnie zginął? Tymczasem istnieje na to wiele świadectw. – Przerwał, a potem machnął ręką w stronę lingwisty. – Przygotuj swój warsztat, Roy! – zawołał, by po chwili przypomnieć sobie, że przecież głos nie przebija się przez hełm i że wszyscy są na łączności bezpośredniego zasięgu, więc nie musi krzyczeć.

– Tak, panie profesorze.

Stan przełączył się na częstotliwość grupy operacyjnej.

– Panie majorze – wywołał Dalostopulosa.

– Tak, poruczniku, już wiem. Przechodzimy na łącze wizualne, będziemy patrzeć, co się dzieje. Mam tylko prośbę: niech pan pozostanie na bezpośrednim nasłuchu. Różnie się może zdarzyć. Pierwsza częstotliwość awaryjna sześćset osiemdziesiąt, druga sześćset osiemdziesiąt trzy, trzecia sześćset osiemdziesiąt siedem. Pozostałe według wzorca.

– Tak jest, panie majorze – odpowiedział Sordis.

– Przygotować się – rozległ się zaraz głos majora. – Za chwilę z formacji tyłowej możecie się stać czołem frontu.

Stanislaus przyciszył odbiór meldunków gotowości całej sekcji, żeby skupić się na tym, co działo się przed nim.

A przed nim profesor zdążył już przejść dobre dwadzieścia kroków w stronę hamujących pojazdów obcych. Były to takie same meduzy jak te, które znali z oceanu. A zatem tamci stawiali na wielofunkcyjność, nie specjalizację. To oczywiście mogło też mieć związek z ewolucją na ich planecie. I sporo mówiło o nich samych.

Dogonił Solimowa i szedł za nim z bijącym sercem. Tuż przed nimi podążał Roy z przydzielonym mu sierżantem. Da Campa pchał sporą platformę poruszającą się na poduszce quasi-grawitacyjnej, a na niej spoczywał moduł SI z oprzyrządowaniem – nadajnikami i głośnikami. Za chwilę miało się okazać, czy Farra należycie odrobił lekcję i zdoła wydukać coś sensownego.

Tamci również opuścili pojazdy. Stan zwrócił uwagę, że nie było widać żadnych uchylających się klap ani luków. Wyglądało to tak, jakby meduzy wypluły zawartość na ziemię. W jednej chwili ich nie było, a w drugiej się pojawili. Przekonał się też od razu, że to właśnie oni byli tym ciemnym czymś we wnętrzach meduz. Teraz ich pojazdy unosiły się nad ziemią półprzejryste i zupełnie jasne na tle nieba.

– Boże mój, cóż to za istoty! – mruknął profesor. – Wyglądają jak walce, tylko że nieregularne. Albo raczej ucięte stożki.

Rzeczywiście, widok obcych mógł wprawić w zakłopotanie, a nawet strach. Nie przywodził na myśl inteligencji, raczej coś bardzo prymitywnego. Węższa góra tułowia zakończona była czymś, co kojarzyło się z mackami ośmiornicy, tyle że odpowiednio krótszymi i umieszczonymi nie w jednej, lecz w dwóch lub trzech płaszczyznach.

Stan zmienił ogniskową szyby hełmu, żeby uzyskać zbliżenie. Najwyraźniej liczba ramion była różna u poszczególnych osobników. Mieli ich od pięciu do ośmiu. To poniekąd tłumaczyło, dlaczego ich matematyka opierała się na systemie ósemkowym. Poniekąd, bo oczywiste nie było, skoro przedstawiciele gatunku mieli różną liczbę kończyn.

Poruszali się w dziwny, ale najwyraźniej bardzo ergonomiczny sposób. Wyglądało to tak, jakby się ślizgali, przecząc sile tarcia. Ten ślizg był nadzwyczaj szybki, o czym świadczyły odczyty pojawiające się na wyświetlaczu w lewej dolnej części szyby hełmu. Wynikało z nich, że obcy zbliżają się z prędkością dwunastu kilometrów na godzinę, a trzeba było wziąć pod uwagę, że raczej nie dawali z siebie wszystkiego.

Wreszcie dotarli na jakieś trzydzieści kroków. Wówczas obie grupy stanęły.

– Szlag jasny – mruknął da Campa. – Jak ich nazwać? Mnie się kojarzą z wielkimi amebami.

– Pieprzysz – syknął ze swojego stanowiska w łaziku chorąży Sarrinsky, specjalista od sztucznych inteligencji, który kontrolował funkcjonowanie supermózgu. – Gdzie ameby? One pełzają na płask, a ci to jacyś cholerni szybkobiegacze!

– Cisza! – zarządził profesor.

Wyszedł cztery kroki do przodu i przystanął. Z drugiej strony wysunął się przed grupę osobnik wyraźnie większy od pozostałych.

Solimow dał znak Royowi. Ten z kolei skinął na sierżanta i podeszli. Tuż za nimi trzymała się Melinda monitorująca układy wózka. Wystarczyłby mocniejszy wstrząs, żeby SI wyłączyła się i zaczęła resetować. Z grupy naprzeciwko wystąpiło również dwóch obcych, prawie identycznych rozmiarów. Obaj mieli po siedem kończyn, w odróżnieniu od większego tuż za nimi, który miał ich tylko pięć.

Obie delegacje zbliżyły się. Sztuczna inteligencja była uruchomiona, Stan

widział ikonę aktywności na wyświetlaczu. Dwóch ludzi i dwóch obcych stanęło naprzeciwko siebie.

– Witajcie – powiedział Roy do mikrofonu. Po chwili SI przekazała komunikat drogą radiową na częstotliwościach, o których wiadomo było, że są odbierane przez drugą stronę.

Obcy trwali chwilę nieruchomo, a potem jeden z nich zabuczał nisko z takim natężeniem, że Sordis poczuł lekkie drżenie ziemi pod podszwami.

Sztuczna inteligencja przełożyła komunikat:

– Wi-taj-cie.

Właśnie wtedy Farra niespodziewanie odpiął rękawicę i wyciągnął rękę, nie zważając na ostrzegawcze warknięcie sierżanta.

Stan zdążył tylko pomyśleć, że ten młokos to jednak kretyń, nim zaczęło się zamieszanie.

*

Rwący Sieć potrzebował Zejścia i pełnego Zjednoczenia. Chociaż na dobę standardową. Na pół. Powinien połączyć się w sarkofagu w akcie dwuświadości, odnowić choćby pobieżnie siły mentalne, wzmocnić ciało, odpowiedzieć sobie na parę wątpliwości i pytań. Zdawał sobie z tego sprawę, jeszcze zanim powierzono mu przeprowadzenie pierwszej rozmowy z obcymi.

Początkowo był z tego dumny, lecz kiedy wrócił do gniazda i usadowił się w niecce wypoczynkowej, zrozumiał, że jest zbyt wyczerpany. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że jego wewnętrzna sangis zubożała, stała się mniej esencjonalna, niż przywykł, odkąd został członkiem wypraw międzygwiazdnych. Tak słabo czuł się bardzo dawno. Tak dawno, że nie był w stanie tego określić.

Może korzystniej by było, gdyby to któryś z lepszych dokonał otwarcia

komunikacji z obcymi? W ostateczności nawet ten prostak Pełzający Głaz.

Lecz gdy uświadomił sobie, że rezygnacja z niewątpliwego zaszczytu, choć związanego z równie niewątpliwym ryzykiem, pozbawi go możliwości posiadania potomstwa w niższej kaście, postanowił skorzystać z szansy. Cóż może się stać? Pełzający Głaz przy pomocy techników zajmujących się świadomością lokalnej otchłani opracował już zestaw podstawowych pojęć. Uzgadniali je na odległość z obcymi. Oczywiście było to trudne, a efekt niepewny, ale właśnie po to mieli się spotkać bez maszyn, w połowie drogi między siedzibami, aby uściślić najważniejsze sprawy.

No i była pilna kwestia tutejszej sangis. Musieli się dowiedzieć, czy obcy również nie są zainteresowani jej zasobami, bo jeśli tak, zaczną się poważne kłopoty.

O ile łatwiej byłoby jednak, gdyby mógł zstąpić do Otchłani swego poziomu! Lecz okazało się, że nie ma na to czasu. Po Zjednoczeniu musiały odczekać, zanim podjąłby się zadania, a przecież kontakt ustalono na następną dobę.

Przyssał kończyne do płytki komunikacyjnej. Pełzający Głaz zgłosił się prawie natychmiast.

– Jestem do twojej dyspozycji, czcigodny odike – odezwał się.

Nawet zwyczajne wibracje płytki były dla starszego badacza przykre.

– Czy jesteś należycie przygotowany do spotkania z obcymi, erdike?

– Jeszcze pracuję nad zastępczymi środkami przekazania komunikatu, byśmy mieli pewien zapas znaczeniowy. Nie znamy dokładnie struktury ich technik wymiany informacji. Zdaje się, iż opierają się głównie na nadczęstotliwościach, w których my już nie operujemy i które rejestrujemy tylko w pewnym zakresie. Przypuszczam, że dla nich mogą to być sygnały akustyczne.

– Zadziwiające – nadał Rwący Sieć. – Cóż za mało wydajny sposób

komunikacji. Przecież mogą się słyszeć tylko na bardzo niewielkie odległości. Właściwie muszą stać blisko siebie, żeby odbierać komunikaty.

– Na pewno nie przekazują sobie informacji za pomocą drgania gruntu i skał – potwierdził Pełzający Głaz. – A przynajmniej nie jest to zwyczajny sposób prowadzenia rozmów. Zapewne to jakieś przystosowanie rozwojowe.

– Dziękuję, erdike. – Rwący Sieć chciał zakończyć rozmowę, nie zważając na to, że młodszy badacz zamierza powiedzieć jeszcze coś, co uprzednio oznaczył jako ważne, by zwrócić na siebie uwagę odike. – Nie dzisiaj. Muszę przeanalizować kilka spraw.

– Jak sobie życzysz, czcigodny odike – odpowiedział Pełzający Głaz.

Kiedy nadszedł czas przelotu z lokalnej otchłani na wyznaczone miejsce spotkania, nadal był wyczerpany. Zbyt dużo powierzono mu obowiązków, nazbyt wiele oczekiwano. Wprawdzie otrzymał w odżywialni porcję przeznaczoną dla lepszych, ale poprawiła jego kondycję na krótko – dwa, może trzy nadperiody. A na miejsce dotarli po pięciu od przyjęcia życiodajnych substancji. Pełzający Głaz od razu zauważył, w jakim stanie jest starszy badacz.

– Pozwól, czcigodny, że przejmę ciężar wymiany informacji – nadał na bardzo krótkim zasięgu. – Zrobię to tak, że lepsi nie zauważą zamiany.

Odike poczuł złość.

– Chcesz mnie zastąpić? Uważasz, że masz sprawę z niedoświadczonym, ledwie wypączkowanym bytem? Lepsi natychmiast zauważą, że to ty prowadzisz spotkanie. Precz!

– Jak sobie życzysz, czcigodny odike – odparł Pełzający Głaz.

Nie zdążył ukryć błysku zawodu. A odike z pewnym zadowoleniem stwierdził, że nie jest w tak złej formie, jeśli zdołał od razu odgadnąć intencje młodszego badacza.

– Zbyt ograniczony jesteś, aby mnie pogryźć, erdike – nadał. – Po

dzisiejszym spotkaniu zyskam niższą rangę, znajdę się na krawędzi powodzenia i granicy kast.

Pełzający Głaz nie odpowiedział. Najwyraźniej jego sangis zgęstniała i stała się gorąca z irytacji. Cóż, podjął próbę, to mu wszak wolno. A że się nie powiodła? Po powrocie Rwący Sieć zda sprawę vengu Ostrzu Światła i vinduke Wędrowcowi Po Niebie. Do nich będzie należała decyzja, co zrobić z nieokrzesanym młodszym badaczem. Nawet jeśli będą jeszcze potrzebować jego ogromnej wiedzy, powinien już ponieść jakąś karę. Inaczej gotów uznać się za równego lepszym, co byłoby nie tylko karygodne, lecz mogło się okazać wręcz groźne.

Wśród Opokan wciąż żywa była opowieść o Niedostrzegalnym, któremu podła sangis, otrzymana od kogoś złego, tak zmąciła rozum, iż zaczął się czuć lepszym. Bez pozwolenia udał się w dół Otchłani, aby zamieszkać wśród Niedostępnych. Ponieważ nikt nie spodziewał się tak wielkiego zuchwalstwa po zwykłym Niedostrzegalnym, nie został zatrzymany. Gdy dotarł do korytarzy lepszych, wybrał sobie jedno z pustych gniazd. A kiedy wrócił gospodarz, był tak zaskoczony widokiem wstrętnego gorszego, że sangis w nim zawrzała i skamieniał na kilka periodów. Wówczas Niedostrzegalny wbił weń łącze żywieniowe i wyssał sporą część cennej substancji.

Nieszczęsny Niedostępny odszedł po tym zdarzeniu, nie pomógł mu nawet natychmiastowy rytuał Zjednoczenia. A Niedostrzegalny został skazany na pracę wśród Nieobecnych, którym miał usługiwać do końca swej egzystencji, pozbawiony dostępu do Otchłani. Podobno po jakimś czasie stał się tak niepodobny do Opokanina, nawet do tych z najwyższej kasty, że musieli go wygnać. I choć spotkała go zasłużona kara, to stała się rzecz straszna, stracił bowiem życie jeden z cennych Niedostępnych. Po tym wydarzeniu na każdym poziomie lepszych kast umieszczano strażników. I ustanowiono zasadę, iż żaden gorszy nie może przebywać w dziedzinach lepszych bez specjalnego

nadzoru i palącej przyczyny.

Takie uszczelnienie granic między poziomami sprawiło, że lepsi zupełnie stracili kontakt z najwyższymi warstwami, a Niepoliczalni i Niedotykalni stanowili przekąźnik. Oczywiście każdy z niższej kasty mógł udać się do wyższych, jednak lepsi nazbyt gardzili posiadaczami gorszej sangis, by robić podobne rzeczy. Może dlatego tak późno dotarło do nich, że na górze dzieje się bardzo źle, a społeczność traci najmniej wykwalifikowaną, ale jakże potrzebną do funkcjonowania całości siłę roboczą. Zrozumieli to dopiero, kiedy okazało się, że Niedotykalni zaczynają dostawać coraz gorszą sangis, a niebawem również Niepoliczalni mogą zostać skazani na taki los.

Kiedy wylądowali i zostali wydalenii przez pojazdy, Rwęcy Sieć natychmiast zapomniał o wszystkim, o czym myślał podczas przygotowań i podróży. Tamci już byli w wyznaczonym punkcie.

Cóż za istoty! Lśniły już i połyskiwały na przyrządach pojazdów, ale kiedy Rwęcy Sieć podjął obserwację osobistą, dostrzegł, że to świecenie jest doprawdy dziwne. Jakby stłumione, jakby przebijało się przez jakąś warstwę... Obcy mieli pięć kończyn, umieszczonych bardzo dziwnie, bo trzy na górze i dwie symetryczne na dole, przy czym nad dwiema górnymi wznosiła się nieparzysta, mająca kulisty kształt. Mogło to przywodzić na myśl pączkującego Opokanina, tylko że miejsce rozwijającego się potomka było nietypowe. Góra organizmu to marna lokalizacja. Tam może spaść przecież kamień i zgładzić pączkujące życie.

Starszy badacz wysunął się do przodu, przy nim znalazł się natychmiast Pełzający Głaz. Lepszy nadali z tyłu tylko po krótkim sygnale aprobującym podjęcie aktywności przez wyznaczoną parę naukowców.

Podążyli naprzód, ślizgając się nieśpiesznie. Obcy przemieszczali się straszliwie niezgrabnie, przestawiając dolne kończyny. Czyżby nie opanowali sprawniejszego wykorzystywania możliwości organizmu? A może chcieli coś

ukryć? Rwącemu Sieć wydawało się wręcz niemożliwe, żeby jakaś istota mogła poruszać się tak niezgrabnie i powoli. W dodatku ten dziwny blask otaczający obcych. Przywodził skojarzenie z chorym Opokaninem, którego sangis tak stężała i rozgrzała się, że zaczynał promieniować.

– Oni są gorący – zauważył Pełzający Głaz na bliskim łączu. – Ale dziwnie, nierównomiernie. Zupełnie jakby coś ich przesłaniało. Jakby w środku byli cieplejsi niż na zewnątrz.

Rwący Sieć nie odpowiedział, skupiony na analizie napływających danych. Tak, wyglądało na to, że bezpośrednio obserwuje tylko wierzchnią warstwę obcych. Ta kulista kończyzna na górze emitowała bardzo mało ciepła, za to o wiele więcej innego promieniowania. W niej zaś było coś jeszcze, jakby mniejsza, a przy tym mniej regularna kula. Czyżby jakiś rdzeń, którego ta gładka powierzchnia stanowiła osłonę?

– Doprawdy dziwaczne istoty – rzekł starszy badacz.

– Może o nas myślą to samo – odezwał się Pełzający Głaz. – Lecz masz rację, odike, są zadziwiający. I ten ich sposób poruszania się... Pełzną wolniej niż nowo wypączkowany Nieobecny.

– Bierzmy pod uwagę, że we wszystkim może się kryć podstęp – rzekł nagle Ostrze Światła. Najwidoczniej monitorował ich bliskodystansową rozmowę. Miał do tego prawo i odpowiednie umiejętności. – Rwący Sieć, nie zmarnuj swojej szansy.

– Nie zmarnuję, czcigodny vengu – odpowiedział starszy badacz.

Stanęli o pół ślizgu przed obcymi. Tamci zatrzymali się również. Jeden z nich przekazał coś falą akustyczną do urządzenia przed nimi. Jak wszystko, co do tej pory widzieli Opokanie, maszyna ta składała się z ogromnej liczby niezintegrowanych części. Kolejne dziwactwo innego gatunku.

– Witajiiiiiiii – nadała maszyna na dość wysokich częstotliwościach, ale całkiem zrozumiale.

Rwący Sieć postanowił użyć fal dźwiękowych. Nie był w stanie osiągnąć tak wysokich rejestrów, jednak nadał możliwie najwyżej.

– Witajcie.

Wówczas jeden z obcych wystąpił jeszcze bliżej tym swoim nieporadnym ruchem i wyciągnął do niego górną kończynę.

Rwący Sieć był naprawdę w marnym stanie. Jego zdolności analizy zostały mocno ograniczone.

– Podaje mi kończynę informacyjną – nadał do Pełzającego Głazu. – Przygotuj swoją.

Nie miał zamiaru oddawać własnej. To był wprawdzie ze strony tamtych wyraz uszanowania, lecz obawiał się, że jeśli znów poświęci część ciała, rytuał Zjednoczenia może się okazać wyjątkowo długotrwały.

Pełzający Głaz błysnął ostrzegawczo, ale nim zdążył wysłać komunikat, starszy badacz przyjął kończynę obcego i oderwał ją.

W tej chwili poczuł, jakby coś rozrywało go zarówno od zewnątrz, jak i od środka, sangis stała się gorąca i gęsta jak nigdy.

Odebrał jeszcze karcący, okrutny komunikat vengu i vinduke. Już wiedział, że zaprzepaścił swoją szansę.

Dlaczego kończyna informacyjna nie wniknęła w niego? Z jakiego powodu była tak paląca, twarda i odpychająca?

Lecz zanim zdążył się nad tym zastanowić, stracił świadomość.

*

Roy krzyczał. Nie, nie krzyczał – darł się wniebogłosy. Wrzeszczał w punkcie spotkania, potem wrzeszczał w wahadłowcu, który przyleciał po zapowiadanych dwudziestu sekundach od wezwania, wrzeszczał załadowany do kapsuły medycznej, która czekała przed stacją. Ale prawdziwy ryk wydał

dopiero w środku, kiedy przeszli przez służę i Stanislaus ściągnął mu hełm.

Porucznikowi przeleciało przez głowę, że on w takiej sytuacji chyba już zemdłał. Ale Farra okazał się wyjątkowo wytrzymały na skutki szoku. Krzyczał.

A może to właśnie szok sprawił, że wciąż był przytomny? Tego Sordis nie był w stanie zgadnąć. Ale przecież nigdy nie stracił ręki.

Na skafandrze, powyżej łokcia rannego, kikut był ściągnięty przewodem. Guido wyrwał go z układu zasilania modułu sztucznej inteligencji, żeby zrobić improwizowaną opaskę uciskową. Uczynił to zaraz po tym, jak władował w obcego pół magazynka z szybkostrzelnego kompaktowego automatu. Chciał też trzasnąć drugiego obcego, ale tamten zdążył prześliznąć się kilka metrów w bok, nie wykazując chęci do walki.

– Nie krzycz tak – powiedział teraz sierżant do Roya. Głaskał go po głowie i mrucał uspokajająco. – Przecież już nie boli. Dostałeś tyle metamorfiny i innego świństwa, że nie może boleć.

Ale chłopak patrzył na niego bezmyślnym wzrokiem i wrzeszczał. Czekali, aż wreszcie przyjedzie winda.

– Musi się tak drzeć? – spytał głośno Manuel Lobo, który przyplątał się do nich jeszcze przy służbie. Miał dyżur w laboratorium, ale jak wszyscy śledził transmisję ze spotkania. Zresztą i tak nie miał co robić. – Przestań wyc, człowieku! – ryknął na Farrę. – Dostaniesz tutaj protezę, a w domu przyszyją ci nową łapę! Czego tak panikujesz?! Ogłuchnąć można!

– Zamknij się, Lobo! – warknął ostrzegawczo da Campa.

– Niech się tak nie wydziera! – odparł geolog. – Pieje jak głupi, a to tylko ręka!

Chciał jeszcze coś dodać, ale wtedy na jego usta spadła twarda pięść w rękawicy kombinezonu ochronnego. Poleciał na ścianę, uderzył w nią potylicą i osunął się na podłogę. Siedział przez chwilę nieruchomo, a potem

zaczął kręcić głową.

W tej chwili zapadła cisza. W porównaniu z okropnym krzykiem była tak głucha, że Stan miał wrażenie, jakby stracił słuch.

– Poddał się wreszcie – sapnął Guido. – Kiedyś jednemu marine na ćwiczeniach zepsuta gródź ucięła nogę w kostce. Ale tamten poszedł spać po pierwszej dawce środków.

Nadjechała winda z Saskią pełniącą obowiązki lekarza. Kobieta przejęła kapsułę z Royem.

– Przebierzcie się – rzuciła do obu mężczyzn. – Guido, całą górę kombinezonu masz we krwi.

Dopiero teraz Sordis zwrócił na to uwagę. Rzeczywiście, pierś sierżanta pokrywały krwawe bryzgi.

– Strasznie machał tym kikutem – mruknął da Campa, patrząc na kombinezon. A potem ruchem brody wskazał Lobo, który wciąż siedział oszołomiony. – Dziękuję, poruczniku, bo sam bym mu zaraz przywalił. A dość już będę miał kłopotów przez tę spluwę, którą przemyciłem. Bicie cywila mogłoby mnie dodatkowo pogrozić.

– Nie ma za co. Już dawno miałem ochotę to zrobić – odparł Stan. – A właśnie, gdzie schowałeś ten pistolet, Guido? Przecież byłoby widać, gdybyś coś przyczepił do kombinezonu.

– Na wózku z SI. – Widząc, że Manuel próbuje się podnieść, sierżant położył mu rękę na czubku głowy i docisnął do podłogi. – Nie robiłbym tego – rzekł ostrzegawczo. – Może zabołec.

Lobo posłusznie znieruchomiał. Otarł krew z rozbitych warg i wyjął coś z ust.

– Żęby – powiedział niewyraźnie. – Wybiłeś mi żęby, szwynie!

– Wybił mi pan zęby, panie poruczniku! – Da Campa kucnął przy młodym geologu i powtórzył mu prosto w twarz: – Wybił mi pan zęby, panie

poruczniku! Zapamiętaj – dodał złośliwie, przedrzeźniając go. – I ciesz się, bo gdybyś ode mnie oberwał, wypadłoby więcej zębów! Ale nie przejmuj się tak. Dosztaniesz teraz implanty, a w domu wszczepią ci nowe, żebyś był szliczny!

Lobo spojrział na sierżanta, jakby go chciał zabić, ale nie odezwał się. Guido nie miał opinii najbardziej cierpliwego człowieka w zespole, a widać było, że jeszcze go ręka świerzbi.

– Słuchaj, gnoju – mówił dalej wściekle da Campa, nie zważając na to, że kropelki śliny trafiają geologa prosto w twarz. – Ten chłopak stracił rękę. Dociera to do ciebie? A może trzeba ci też coś urwać, żebyś zrozumiał, jak to jest? Na przykład fiuta?

Zamierzał kontynuować, ale poczuł silną dłoń na ramieniu.

– Chodź, Guido, dowiemy się, jak stoją sprawy – powiedział Sordis. – A potem trzeba się rzeczywiście przebrać i zobaczyć, co z młodym. Co mu strzeliło do tego durnego łba, żeby fundować obcemu ludzkie powitanie? W dodatku takiemu, który w ogóle nie przypomina człowieka?

– Gówniarz – mruknął da Campa, wstając. – Brak doświadczenia to również brak rozwagi.

W dyspozytorni było tłoczno, ale kiedy weszli, zrobiono im od razu miejsce. Nie tyle może z koleżeństwa, ile ze względu na zakrwawiony skafander sierżanta.

– Dalej tam stoją – powiedział do nich Edwin Stark. – Nie doszło do eskalacji. Zabrali tylko tego swojego, którego rozwalił Guido. Nie wygląda na to, żeby się specjalnie przejęli jego śmiercią.

– O ile nie żyje – mruknął Stan. – Niewiele wiemy o ich wytrzymałości.

– Tak czy inaczej, nie doszło do harataniny.

– To przecież wiemy – rzucił niecierpliwie Guido. – Byliśmy na miejscu, gdybyś nie pamiętał. Co nowego?

– Od obcych podszedł... podjechał... Cholera, jak to nazwać?

– Przybył – pomógł Stan.

– Przybył jeden z tych większych, z mniejszą liczbą kończyn. Tylko że sztuczna nie działa... – Informatyk spojrzął znacząco na sierżanta. – Dzięki twojej równie gwałtownej, jak bezsensownej misji ratunkowej.

– Za to była skuteczna – odgryzł się da Campa.

– I niepotrzebna – dodała z boku Sonia Vega. – Kiedy bohaterstwo robiłeś zacisk, wahadłowiec był już w drodze. A tam mieli odpowiedni sprzęt.

– Dobra – burknął sierżant. – Jak tobie ktoś coś kiedyś urwie, usiądę sobie spokojnie z boku i poczekam na wahadłowiec.

Akcja była rzeczywiście błyskawiczna. Ale też Stan zrozumiał, dlaczego profesor nalegał, aby grupa bojowa znajdowała się te dwa kilometry dalej. Dzięki temu wszyscy mieli czas może nie tyle ochłonąć, ile zorientować się w sytuacji. Obcy nie ruszyli na odsiecz postrzelonemu, jego towarzysz zaś umknął, zupełnie jakby chciał pokazać, że odcina się od niego. Dalostopulos z miejsca pojął, o co chodzi, widząc, że profesor stoi, gdzie stał, tylko da Campa z Sordisem uwijają się przy rannym, a obcy nie podejmują żadnych działań, jak gdyby również byli zaskoczeni wydarzeniami.

Poza tym Solimow, kiedy jeszcze lecieli, prosił przez radio, żeby nie podejmowali żadnych akcji, tylko zabrali rannego.

Ryzykował. Tak to ocenił Sordis. Ryzykował jednak w pełni świadomy tego, co robi i dlaczego. W końcu pierwsze bezpośrednie spotkanie z innym rozumnym gatunkiem powinno pozostawić jak najlepsze wrażenie, zupełnie jak pierwsze spotkanie z drugim człowiekiem. Tamci chyba podchodzili do tego podobnie. Chyba... Właśnie na tym polegał główny problem. Nikt nie potrafił przecież stwierdzić, co siedzi w umysłach obcych.

Na wszelki wypadek Dalostopulos podzielił oddział na sekcje. Sam pozostał na razie z ośmioma żołnierzami w punkcie spotkania, a dwóch

poleciało z rannym do bazy, aby jak najszybciej wrócić i z piątką kolegów wylądować na poprzednim miejscu postoju. Major z trójką ludzi miał zostać przy grupie spotkaniowej.

Stanislaus pomyślał, że to nauczka na przyszłość. Trzeba zawsze zabezpieczać dwa duże i szybkie środki transportu. Wówczas ludzie nie zostaliby ani na chwilę bez możliwości błyskawicznej ewakuacji. Na szczęście zarówno okaleczenie człowieka, jak i zastrzelenie obcego nie doprowadziły do konfliktu. Przynajmniej do tej pory.

Sordis patrzył na kolumnę holoeckranu wyświetloną pod sufitem pomieszczenia. Działała w trybie panoramicznym, obejmując projekcję trzystu sześćdziesięciu stopni zebraną ze wszystkich kamer rozmieszczonych na miejscu spotkania. To było niezbyt wygodne dla kogoś nieprzyzwyczajonego do takiej obserwacji, ale Stan miał w tym doświadczenie. Profesor stał jakieś pięć kroków od obcego. Teraz, patrząc na chłodno i z boku, porucznik mógł ocenić obiektywnie rozmiary tamtych. Byli nieco więksi od ludzi i z pewnością masywniejsi, jako że ich korpus stanowił coś w rodzaju zwartej kolumny. Musiał przyznać, że da Campa miał sporo racji, nazywając ich amebami. Mieli w sobie coś, co kojarzyło się z tymi pierwotniakami. Przelewali się lekko, jakby ich ciała były od wewnątrz rozciągane jakąś cieczą i ustawicznie walczyły o zachowanie kształtu. Tyle że nie byli organizmami jednokomórkowymi. No i te ramiona. W dodatku na pewno nie przypominały kończyn ośmiornicy. Prędzej rozgwiezdy, bo były znacznie szersze u podstawy niż przy końcach i zachowywały raczej takie proporcje jak u tych szkarłupni. Tyle że umiejscowione były na różnych poziomach. Ale gdyby spojrzeć na takiego osobnika z góry...

Solimow wykonywał delikatne, łagodne ruchy rękami, a przedstawiciel obcych odpowiadał podobnie, choć z większą gracją, mimo zwalistych kształtów. Ten paradoksalny wdzięk był zaskakujący.

Lecz obserwację przerwał Stanowi tubalny, nieco zdarty głos.

– Sierzancie da Campa! – W drzwiach dyspozytorni stał pułkownik. Znów wyglądał niczym wściekły buldog, stary trep zasługujący w pełni na miano Pierdoły. – Jesteś tutaj?

Guido westchnął ciężko.

– Do zobaczenia, poruczniku – mruknął, trącając Sordisa w łokieć. – Za chwilę zostanę postawiony pod ścianą i rozstrzelany, powieszony, rozerwany łażnikami, zdegradowany, a moje szczątki spalone i wsypane do głównego odpływu sanitariatu. Cieszcie się, że nie mamy recyklingu odpadów organicznych.

– I wykastrowany – dorzucił Stan. – Zapomniałeś o największej przyjemności.

– Dzięki za wsparcie.

– Zawsze do usług.

– Długo będę czekał?! – ryknął pułkownik. – Dajcie sobie jeszcze buzi na pożegnanie!

Z pewnym rozczarowaniem stwierdził, że jego pojawienie się nie wywołało takiego poruszenia i paniki jak zazwyczaj. Ludzie byli zbyt podekscytowani tym, co obserwowali na holoeckranie. Ktoś nawet odważył się syknąć, uciszając go.

Kiedy da Campa podszedł i zasalutował, Dethardt odwrócił się i ruszył przodem. Za sobą słyszał miarowe kroki podoficera.

– Pistolet ma pan przy sobie? – spytał, nie odwracając się.

– Został tam. Rzuciłem broń na wózek z SI, kiedy opatrywałem Roya.

– Tym lepiej, nie muszę pana rozbrajać.

Da Campa tylko pokręcił głową. Przecież Pierdoła lepiej od niego wiedział, co się stało z bronią. Śledził całe wydarzenie na żywo i pewnie obejrzał już z dziesięć razy powtórki akcji sierżanta w zwolnionym tempie.

7

– Wygląda na to, że widzą nas głównie w podczerwieni – powiedział Georges. – A dodatkowo skanują na częstotliwościach radiowych.

– Skąd wiesz? – spytała nieco zaczepnie Saskia Morre. – Podpowiada ci to genialna intuicja?

– Poniekąd. – Francuz wzruszył lekko ramionami. – Ale intuicja badacza jest niewiele warta bez naukowych podstaw i logicznego wnioskowania. Myślałem, że to mamy już dawno ustalone.

Profesor przysłuchiwał się sprzeczce naukowców, z roztargnieniem tocząc po stole kulkę ze zmiętej folii. Zebrał tych wszystkich, których uważał za najrozsądniejszych. Musiał nawet pertraktować z pułkownikiem, żeby wyznaczył zastępstwo za Rossa. Chłopak miał osłaniać geologów udających się na gruntowne badania złóż, tym razem w głębi lądu, a nie w morzu. Takie zadanie mógł wykonać każdy pilot, a Ronald miewał świetne skojarzenia i pomysły.

– Znaczą jak? – spytała kobieta. – Widzą nas jak rozmazane jaśniejsze i ciemniejsze plamy?

– To my tak postrzegamy rzeczywistość na pasywnych skanerach cieplnych – zaczął tłumaczyć Linneaux. – Ale pamiętaj, że mózg interpretuje to, co do niego dociera. Dla nich nasza forma percepcji wzrokowej może być jeszcze dziwniejsza, wręcz niepojęta, skoro nie korzystają z odpowiednich receptorów. Wiesz doskonale, że dla nas tutejsza woda jest jak kryształ, a dla

nich najwyraźniej stanowi mętną ciecz. No i oglądają świat na innych płaszczyznach.

– No dobra. – Egzobiolog machnęła ręką. – Mnie bardziej szokuje i ciekawi, dlaczego ten obcy urwał Royowi rękę.

– A ten obcy może się zastanawiał, dlaczego Roy wysuwa w jego stronę kończynę – odpowiedział jej Sordis. – Nie wiemy nawet, czy było to zachowanie agresywne, czy...

– To nie była agresja – wpadł mu w słowo profesor. Spojrzał po zgromadzonych przy stole konferencyjnym. – Jestem pewien, że chodziło o coś innego. Nie znamy historii tego gatunku, nic nie wiemy o jego systemie społecznym, więc nie wykluczam, że zachowanie obcego miało związek z czymś, co dawniej stanowiło czyn agresywny. Ale na pewno nie teraz. Niewiele ustaliliśmy podczas tego spotkania, jednak widzieliście balet, który odprawiałem przed tym, który przyszedł po całym incydencie. Zdaje się, że usiłował mi pokazać, że to oderwanie ramienia to jakiś ich rytuał, może zwyczaj.

Zamilkł na chwilę i zamyślił się. Sztuczna inteligencja po wyrwaniu kabla zasilającego była niezdatna do użytku, a tamci niczego podobnego ze sobą nie mieli. Inna rzecz, że profesor miał wrażenie, jakby właśnie bezpośrednia próba rozmowy była cenniejsza niż przepuszczanie danych przez SI.

– Przecież nie zareagowali, kiedy nasz dzielny Guido rozwalil tego napastnika.

– Może mają taki właśnie system społeczny – odezwał się po raz pierwszy Ross. – Nie zależało im na tym osobniku. Oczywiście tylko gdybam, jak my wszyscy. Ale sami zobaczcie. Obcy różnią się budową. Ci o mniejszej liczbie ramion są nieco więksi i bodaj szybsi, jakby lepiej odżywieni. A wysłali do nas dwóch mniejszych, o większej liczbie kończyn.

– Coś w tym jest – mruknął przysłuchujący się rozmowie Dethardt, który

obiecał solennie profesorowi, że nie będzie robił z narady placu koszarowego.
– Mów dalej, chłopcze.

Ross podziękował dowódcy lekkim skinieniem głowy.

– Ta ich... hmm... baza. Dziura w ziemi, poziomy korytarzy. Szkoda, że nie wiemy, co znajduje się na samym dole. Bo to, co wyciągnęliśmy z obrazu z kamer, nic nam nie mówi.

– Mamy już wyniki z georadaru satelitarnego – wtrącił Manuel Lobo. Jego też profesor wziął na naradę, choć chłopak wyglądał, jakby na widok Sordisa chciał rzucić się do ucieczki. Jako jedyny ze swojego zespołu pozostał w bazie, ze względu na kontuzję. – Przyszły godzinę temu. Są zrobione w trzech zasadniczych płaszczyznach.

– No to mów, człowieku! – popędził go Solimow.

– Wygląda to tak, jakby ten głęboki na dwieście metrów lej łączył się z dość dużą, kolistą grotą o promieniu około stu pięćdziesięciu metrów. Prowadzi do niej korytarz długości siedemdziesięciu metrów.

– A jak jest zbudowany ten lej? Ile jest korytarzy?

– Niewiele udało się zobaczyć. Tylko pierwsze kadry odczytu są klarowne. Potem obcy najwyraźniej włączyli jakieś zakłócanie. Jakby wyczuli promieniowanie georadaru.

– Pewnie wyczuli – rzekł profesor. – A co widać na tych pierwszych kadrach?

– Całe sieci korytarzy, a poza tym małe komory. Jednak nie zdążyliśmy zeskanować całości. Dane szacunkowe opieram na ekstrapolacji wyników. W każdym razie to na pewno ich baza. Ale ilu obcych w niej przebywa, nie mam pojęcia.

– Na spotkanie przybyło sześciu – powiedział Stan. – Podczas gdy myśmy wysłali dwudziestu pięciu ludzi. Może jest ich tam niewielu, a całość to po prostu infrastruktura obsługująca bazę? A może przygotowali coś w rodzaju

kolonii i czekają na transport rodaków?

– A może to jeszcze coś innego – przerwał mu Georges. – Wszystko to tylko gdybanie. Cholera, żebyśmy mogli ustalić chociaż podstawowy zestaw ważnych pojęć!

– Temu miało służyć to spotkanie – przypomniał mu Sordis. – Tylko że stało się, co się stało. No i przypominam, że oni nie mieli żadnej sztucznej inteligencji. Nie wydaje wam się to dziwne?

Profesor znów zaczął bawić się kulką.

– Mam wrażenie, że ten drugi wieloramienny pełnił funkcję czegoś w tym rodzaju – powiedział, a obecni spojrzeli na niego zdziwieni. – Tak. Zobaczcie odczyty ich aktywności radiowej. Ten, który stał przede mną, od czasu do czasu nieruchomiał, jakby się z kimś łączył. A na zapisach widać, że między nim a tym drugim trwała komunikacja.

– Biologiczny komputer? – Daisy Farango, która sączyła spokojnie jakiś napój, podniosła głowę. – Komputer w kształcie przedstawiciela gatunku?

– Nie. Sądzę, że to po prostu wyspecjalizowany osobnik. – Solimow potrząsnął głową. – Patrząc na obcych, mam wrażenie, że w ich społeczeństwie panuje wysoka specjalizacja, odwrotnie niż w sprzęcie. Kto wie, może myśl, której nie zdążył dokończyć Ronald, ta o warstwowym systemie społecznym, jest bliska prawdy? To by parę rzeczy wyjaśniało.

Zapanowało milczenie. Pułkownik obserwował uczestników spotkania. Jakże odległe było ono od cyrku burzy mózgów! W zasadzie powinni znów zorganizować taką ogólną naradę, ale Dethardt stwierdził, że prędzej wysadzi stację i poniesie wszelkie tego konsekwencje, niż weźmie udział w powtórce tamtego wydarzenia. Profesor podzielił jego zdanie, a Dalostopulos tylko machnął ręką.

– Czyli wiemy tyle, co nic – odezwał się pułkownik, żeby rozruszać trochę towarzystwo. – Za dwie standardowe doby odzyskamy łączność z Centralą. Na

szczęście.

– Coś tam wiemy – zaoponował Georges. Odruchowo spojrzął z obawą na Dethardta, ale ten był cały czas zamyślony. Nie zamierzał wrzeszczeć. – Na przykład możemy chyba założyć, że nie interesują ich te same tutejsze złoża naturalne, co nas. Przecież wszystko, co do tej pory widzieliśmy, jest pochodzenia biologicznego. Wyhodowane przemysłowo, a nie wyprodukowane. Po co im więc żelazo, nikiel, chrom, pallad i inne takie?

– Skąd wiesz, jak wyglądają ich zakłady produkcyjne? – spytała nieco zaczepnie Daisy.

– Podejrzewam, że jak wielkie grządki. – Linneaux zaśmiał się. – A tak poważnie, wątpię, żeby wznosili budowle w rodzaju naszych fabryk. To zasadniczo podziemne towarzystwo. Raczej ryją, niż budują. A jak hodują te swoje urządzenia? Cóż, tego się na razie nie dowiemy. Podobnie jak oni nie mają pojęcia o naszych procesach produkcyjnych. To zresztą może poczekać. Tak czy inaczej, stawiam na to, że jest na tej planecie coś, co dla nich jest cenne, ale nie musi być cenne dla nas.

– To wszystko jest teraz może trochę mniej istotne – odezwała się Saskia. – Chyba powinniśmy się zastanowić, jak uporządkować ten mały bałagan, który powstał.

Profesor pokiwał głową.

– Właśnie. Mam przekonanie, że trzeba zacząć od początku. Znowu zorganizować spotkanie, żeby wreszcie ustalić pojęcia. I jesteśmy przy tym na razie skazani na stosowanie formuł matematycznych. Potem będzie można działać dalej. Przecież oni nie muszą mieć nawet czegoś w rodzaju tablicy Mendelejewa.

– Tak jest – zgodził się porucznik Ross. – We wszystkich powieściach czy filmach spotkanie z obcym gatunkiem to od razu wymiana informacji naukowych. Przedstawianie analiz spektralnych i takie tam. Tymczasem tutaj

trzeba działać od podstaw. A i tak nie wiadomo, czy zdołamy się porozumieć. Cholernie się różnimy.

Wzdrygnął się lekko na wspomnienie dojmującego poczucia obcości, jakiego doświadczył, ujrawszy delegację obcych. To doznanie graniczyło ze wstrętem. Tym bardziej nie mógł pojąć, dlaczego Roy wyciągnął do tamtych gołą dłoń. On by nie dotknął takiego czegoś nawet przez rękawicę kosmicznego skafandra.

Zdawał sobie sprawę, że tak właśnie rodzi się ksenofobia, ale nie mógł nic na to poradzić. Dla niego obcy byli wstrętnymi stworami. Jak ich nazwał da Campa? Amebami? Tak. Może niezbyt trafnie, jeśli chodzi o wygląd, ale ogólne wrażenie było właśnie takie, jakby zetknął się z gigantycznym pierwotniakiem. Gorzej niż pierwotniakiem, bo wiedział, że te stwory są rozumne.

Przypuszczał, że z czasem przywyknie do ich wyglądu, ale na razie sama myśl o obcych przyprawiała go o dreszcze i coś w rodzaju mdłości – nie zbierało mu się na wymioty, ale robiło się ciężko na żołądku, jakby zjadł coś niestrawnego.

– Jakkolwiek byśmy się różnili, oni tutaj są i my też – rzekł twardo profesor.
– I musimy coś z tym zrobić.

Spojrzał na pułkownika, a ten uniósł brwi. Tak, teraz doskonale rozumiał dowódcę wojskowego wyprawy, który tak bardzo chciał przekazać sprawę do Centrali. Niech federalni mędrkowie łamią sobie głowy nad tym, co zrobić. To znacznie przekroczyło kompetencje szefów zwykłej wyprawy eksploracyjnej.

*

Pełzający Głaz trwał z opuszczonymi wzdłuż korpusu ramionami przed górującym nad nim vengu. Ostrze Światła był niezadowolony, a to mogło

oznaczać surową karę dla erdike. Jednak rozmowa nie dotyczyła przewin młodszego badacza. Przynajmniej na razie.

– Jesteśmy bardzo poruszeni tym, co się stało. Rwący Sieć wykazał się najdalej posuniętym brakiem rozsądku. Czy znajdujesz wytłumaczenie dla jego postępowania?

Pełzający Głaz tkwił nadal w pokornej postawie, ale spytał dość śmiało:

– Czy mogę otwarcie wyrazić opinię?

– Dlatego cię wezwałem – odparł vengu, wysyłając jednocześnie sygnał ostrzegawczy. – Nie czas na zachowywanie etykiety kastowej. Mów, co uważasz w tej sprawie, erdike. Jeśli mnie rozgniewasz, poniesiesz konsekwencje, ale żądam, byś nie ukrywał swych myśli.

Pełzający Głaz zorientował się, że zagnano go w pułapkę niczym głupiego skoczka skalnego. Nie mógł się wycofać, nie mógł już udawać, że czegoś nie przemyślał. Pytając o otwarte wyrażenie zdania, dał do zrozumienia lepszemu, że to zdanie ma. I to bardzo sprecyzowane.

– Proszę o wybaczenie, czcigodny vengu, ale uważam, że nie było zbyt rozsądnym posunięciem wyznaczenie do tego zadania zmęczonego odike, który już wiele dni temu powinien zejść do Otchłani, by spocząć w sarkofagu. Jego sangis stała się ciężka i lepka.

– Nie do ciebie należy ocenianie decyzji lepszych!

– Pytałeś mnie o opinię, czcigodny.

– Mów dalej – nadał Ostrze Światła w paśmie, które mogło stanowić zarówno groźbę, jak i zachętę.

Młodszy badacz wiedział, że znów musi powiedzieć, co myśli. Doświadczony vengu wyczuje każdą próbę manipulacji.

– Czy którykolwiek z obecnych na spotkaniu Opokan choć przez ułamek periodu rozważałby możliwość, że kończyna obcego to kończyina informacyjna? Wzięłyby to albo za atak, albo za zachowanie rytualne. A jednak

zmęczony odike nieprawidłowo zinterpretował komunikat.

– I poniósł tego konsekwencje – odparł Ostrze Światła. – Ten drugi obcy użył urządzenia miotającego. To zapewne coś w rodzaju naszych środków ofensywnych, choć o działaniu udarowym, nie chemicznym. Trzeba przyznać, że jest bardzo skuteczne.

Było skuteczne, to Pełzający Głaz wiedział doskonale. Wprawdzie nie tak zabójcze na dłuższą metę jak toksyny, ale obezwładniało pierwszorzędnie. Odike nadał tylko na wszystkich dostępnych pasmach sygnał o kontuzji i upadł. A ten z bronią miotającą wodził świecącą oślepiająco końcówką na wszystkie strony.

– Uważam, że obcy uznali zachowanie starszego badacza za pomyłkę – nadał erdike. – Nie połączyli jego postępowania z całą naszą grupą. To oznacza, że możemy dalej prowadzić rozmowy. Może będzie nieco trudniej, ale nie zaprzepaściliśmy kontaktu.

– To wiem sam, młodszy badaczu – zahuczał vengu akustycznie, a potem przeszedł na nadawanie na średnim paśmie. – Wymieniliśmy przecież sygnały kończynowe z tym, który wydaje się ich lepszym. To nie były sygnały walki, jak uznałem, choć niezmiernie trudno interpretować postępowanie obcych. Tak bardzo się od nas różnią, że nie wiem, jakie mamy szanse na choćby elementarne porozumienie. Do tej pory rozważaliśmy kontakt z inną cywilizacją tylko jako pewną możliwość. Dziś mamy do czynienia z prawdziwymi obcymi.

Pełzający Głaz lekko błysnął, kiedy przemknęła mu myśl, że wszystkie procedury można wrzucić do nieczystej części Głębi. Vengu, rzecz jasna, zauważył jego ni to gorzką refleksję, ni to rozbawienie, lecz nie skomentował tego. Dla lepszego nie miało znaczenia, co myśli byle erdike. Chyba że ten erdike przeraził się własnych myśli. Tak było z Rwącym Sieć. Obawiał się utracić wartość w opinii niższych kast, i to na tyle, że każda myśl, którą uważał

za nieprawomyślną, odbijała się w jego ciele, jonizowała sangis i wydawała się zbrodnią, a nie zwykłą refleksją.

Erdike zaś wiedział z doświadczenia, że przesadne liczenie się z lepszymi to prosta droga do zagłady. Dlatego z reguły nie ukrywał rozbłysków sangis, kiedy formułował myśl, która mogłaby się nie spodobać stojącym niżej. Niech czytają. Gdyby próbował je tłumić, natychmiast żądałoby przekazania informacji – czy to przez płytkę, czy nawet domagając się kończyny informacyjnej.

– Młodszy badaczu – rzekł Ostrze Światła – mów, co ci przychodzi na myśl. Odike spoczywa w sarkofagu, na niego nie możemy liczyć. A szkoda, bo muszę przyznać, że dysponował tęgim umysłem, choć bywał mało samodzielny we wnioskowaniu.

– Powinniśmy jak najprędzej nawiązać kontakt z obcymi i zacząć opracowywanie konkretnego spisu pojęć.

Ostrze Światła zamyślił się i dość długo trwał nieruchomo.

– To, co wnioskujeś, zgadza się z moimi konkluzjami, erdike – odparł w końcu. – Jeśli tak dalej będziesz się starał, być może to ciebie spotka zaszczyt pączkowania w pierwszym kręgu lepszych zamiast tego niezdary Rwącego Sieć.

– Dziękuję, czcigodny vengu.

Pełzający Głaz starannie ukrył błysk satysfakcji, myśląc usilnie o zupełnie innych sprawach. Byłby niezmiernie zaszczycony, gdyby pozwolono mu zająć miejsce odike. Nigdy nie uzyska jego tytułu, nie zostanie nikim więcej niż zwykłym badaczem, ale jego potomstwo...

– Przygotuj materiał, który przekazemy obcym. Zakładamy, że prowadzą nasłuch na pasmach, na których się z nimi komunikowaliśmy.

– Tak się stanie, czcigodny vengu. – Erdike przybrał korną postawę, po czym oddalił się, gdy otrzymał sygnał przyzwolenia.

Ostrze Światła natychmiast o nim zapomniał, pogrążony w innej pracy. Czekala go trudna rozmowa z Władcami Przestrzeni. Wybryk odike w pewien sposób obciążał również vengu i vinduke, choć ten ostatni bardzo by chciał, aby było inaczej.

Pełzający Głaz uważał od początku, że odike nie powinien uczestniczyć w rozmowach z obcymi. Nie tylko dlatego, że był w niezbyt dobrym stanie – przede wszystkim dlatego, że zupełnie nie potrafił pojąć, na czym polegają opracowane przez erdike algorytmny komunikacyjne. „Poradzę sobie bez takich udogodnień – oświadczył, kiedy młodszy badacz próbował mu je przekazać. – To ty masz służyć za instrument przekładu, ja poprowadzę komunikację”. Doprawdy, nie zasłużył na to, aby wypączkować w kaście Niepoliczalnych. A teraz powinien poczuć wielką ulgę, jeśli nie zostanie zepchnięty do Niewyczuwalnych, na samą granicę z Nietostrzegalnymi.

Tymczasem Rwący Sieć poddawany był intensywnym zabiegom w nadzwyczajnym rytuale Zjednoczenia. Sangis wiążąca jego wnętrze i monoświadomość z dwuświadomością krążyła w wymuszonym ruchu, aby oczyścić organizm, który został mocno nadwreżony bronią miotającą oraz toksyczną zawartością wyrwanej kończyny. Jak przy okazji wyszło na jaw, skład ciała obcych był dla Opokan mocną trucizną. Okazało się też, że posiadają oni coś w rodzaju wewnętrznego pancerza. Analiza kończyny tkwiącej w aparacie żywieniowym dowiodła, że nie mają wewnątrz niczego w rodzaju sangis, a ich siły życiowe muszą mieć inne źródło. To wymagało sprawdzenia. Obcy zawierali także sporo cieczy, która zbliżona była składem do wody mórz opokańskich i tutejszego oceanu, lecz przyprawiona ciężkimi drobinami. Być może to one stanowiły źródło ich mocy egzystencjalnych. Ponadto byli zbudowani z tkanek przypominających nieco tkanki niektórych drapieżników. Mogłyby się one kojarzyć z budową podstawową Opokan, lecz różniły się na poziomie organizacji. Podobnie jak ich maszyny, obcy składali

się z wielu elementów, na przykład twardego rusztowania organicznego, które spoczywało w mniej lub bardziej miękkich otulinach.

Na tej podstawie vinduke Wędrowiec Po Niebie prawie natychmiast orzekł, iż obcy nie oddawał odike kończyny informacyjnej, lecz bardziej integralnie z nim związaną. To tak, jakby ktoś wyrwał Opokaninowi zdrowe ramię manipulacyjne. Obcy mogli to uznać za akt przemocy. Jednak ich przedstawiciel zwrócił się tylko przeciwko Rwącemu Sieć.

Co prawda Pełzający Głaz oddalił się od razu z miejsca zdarzenia, nie było więc jasne, czy i jego obcy nie zechciałby trafić z broni miotającej, ale ponieważ nie podjął takiej próby, można było przyjąć, że tamci zrozumieli, iż zaszło coś, co nie powinno się stać i czego Opokanie nie planowali.

Erdike podążył do swojego gniazda. Musiał sporządzić raport z wydarzeń, włąć go w mobilną płytkę informacyjną i dostarczyć jak najszybciej verduke Upojnemu Wiatrowi, który zaprezentuje go podczas narady lepszych, aby ci z kolei mogli opracować sprawozdanie dla Władcy Leja Przestrzeni. Pozostali Władcy nie zostaną o nim zapewne nawet poinformowani. Przynajmniej teraz. Potrzeba było trochę czasu na przemyślenia.

*

Stanislaus zignorował obecność meduzy obcych w pobliżu rejonu patrolowania. Tego dnia przydzielono mu daleko wysunięty odcinek, o którym wiadomo już było, że znajduje się blisko strefy działań drugiej strony. Czuł się w tej chwili tak, jak musieli się czuć dawni strażnicy granic. Nie miał nawet pewności, że tamten go zauważył. Nic na to nie wskazywało. Sordis podążył właśnie na tutejszy południowy wschód, skanując stosunkowo płytkie w tym miejscu dno, kiedy zobaczył pojazd obcych. Płynął z prędkością dwudziestu dwóch węzłów na północny wschód.

Gdy tylko porucznik doktor dostrzegł meduzę, wyłączył silniki i wszystkie skanery. Rejestrował obcą jednostkę jedynie za pomocą kamer. Jeśli nie został dostrzeżony, nie chciał się sam ujawniać.

– Ani słowa – mruknął do towarzyszącego mu Cirila Ragonsky’ego.

Tymczasem obcy zatrzymał się. Nagle, jak skonstatował porucznik. Stał w miejscu, zupełnie jakby bezwładność nie dotyczyła jego pojazdu. Sordis pomyślał, że może gdyby włączył aktywne czujniki przepływu cieczy, poznałby sposób pracy silników organicznego pojazdu. Sam korzystał tuż przed spotkaniem z silników pływowych. Nie były one tak wydajne jak tradycyjny napęd turbośrubowy, lecz kawitacja nie zakłócała działania części systemów namierzających. A on miał sprawdzić, jak w tym rejonie szelfu układają się formacje skalne. Normalnie płynąłby z nim geolog, ale teraz wszystkie zespoły siedziały w pracowniach i laboratoriach, żeby zinterpretować wyniki ostatnich badań.

Meduza opadła w ułamku sekundy o dobre pięćdziesiąt metrów. Stan potrząsnął głową. Woda nad nią i pod nią była kryształowo czysta. A przecież powinny wystąpić jakieś symptomy tak szybkiego ruchu – zmęcenie cieczy, kawitacja nawet. Tymczasem tutaj nic. Chyba że kamery coś wychwyciły. Ale to sprawdzi później.

Stan zawisł zupełnie bez ruchu. Tamten nie powinien go dostrzec przez zakłócenia, jakie stosunkowo wysokie promieniowanie wywoływało w sensorach i zmysłach obcych. Tak przynajmniej utrzymywał profesor, któremu wtórował Linneaux. A Sordis przywykł już ufać szefowi naukowców. Tylko jemu. No, może jeszcze Daisy Farango i Odilowi Sammenhallowi, bo wiedział, że wprawdzie są opłacani przez korporacje, ale mają w głębokim poważaniu ich premie, gdyby mieli w zamian za nie łamać zasady. Nawet w tak skorumpowanym środowisku, jakie tworzyli cywilni naukowcy, zdarzali się porządni ludzie. Z nimi był już na trzeciej wyprawie. Być może wśród

pozostałych też można by znaleźć uczciwych, ale za nikogo nie dałby sobie obciąć ręki, nawet za męża Melindy.

Ta ostatnia myśl sprawiła, że skrzywił się na wspomnienie ręki urwanej Royowi przez obcego.

Ale już w następnej sekundzie zapomniał o wszystkim. Bo nagle jego ciało poraził głęboki dźwięk na granicy słyszalności. Właśnie tak – nie uszy, lecz całe ciało. Impuls zdawał się rozciągać w nieskończoność, choć Stan wiedział, że nie mógł trwać dłużej niż trzy, cztery sekundy.

– Jezu, co to było? – szepnął Ragonzky.

– Nie wiem – odparł samymi wargami Sordis. – Cicho, Ciril. Włączam bierne sensory. Kto wie, czy to coś znów...

Nie dokończył. Drugi impuls był równie potężny i znów wprowadził go w drżenie. Porucznik myślał przez chwilę, że serce mu stanie.

Chciał właśnie uruchomić silniki pływowe, kiedy nagle gdzieś z dołu, z dna szelfu rozległo się jeszcze niższe dudnienie. Sprawilo, że już nie tylko ciała ludzi, ale całe poszycie okrętu podwodnego wpadło w wibracje. Ekran naprzeciwko oczu Stana przecięła nieregularna pionowa linia. Matryce dwóch innych także zostały uszkodzone.

Tymczasem meduza obcych najwyraźniej nabierała wigoru od tego niskiego tonu. Wystrzeliła w górę, aby zaraz opaść jeszcze niżej niż przed chwilą. A z dna wyrwał się następny sygnał, niczym echo.

Miniaturowy okręt podwodny wpadł w kolejne wibracje.

– Nakładają się – mruknął Ciril. – Cholera, jeszcze jedno, dwa takie uderzenia i krypa nam się rozpadnie.

– Wycofuję jednostkę – powiedział cicho Stan. – Niech się już zespoły na stacji zastanawiają, co to było. Żeby tylko ta meduza znowu nadała ten sygnał o wyższej częstotliwości...

Jak na zamówienie pojazd obcych przesunął się błyskawicznie o przeszło

sto metrów i odezwał na granicy słyszalności.

– Dobra, mamy to – szepnął Sordis. – Spieprzamy, bo jeśli odezwie się echo, czy co to tam jest, kadłub naprawdę może nie wytrzymać.

Nie bawiąc się już w subtelności, włączył turbośruby. Okręt skoczył, osiągając od razu prędkość trzydziestu pięciu węzłów.

Kiedy nadeszła fala dźwiękowa, byli dość daleko, ale liliput znów wpadł w wibracje, choć tym razem o wiele mniejsze.

– Cholera – burknął Ciril. – Ja rozumiem niskie dźwięki, ale takie natężenie?! Pokaż odczyty akustyczne na holo. Mój podręczny ekran szlag trafił.

– Dobrze, że spojenia łajby nie popuszczały – powiedział Stan, wywołując projekcję trójwymiarową.

Zawisała między nimi, ale porucznik nie miał czasu przyglądać się wykresom, zajęty prowadzeniem okrętu. Coś się stało ze wspomaganie steru, bo cały czas musiał dość ostro kontrować w prawo, żeby utrzymać się na kursie. Nie mógł przełączyć układu na autopilota, ten bowiem najwyraźniej poległ razem z częścią systemu.

– Kwiatuszku, diagnoza uszkodzeń – powiedział do SI.

Ciril spojrział na niego spod oka, ale zaraz wrócił do studiowania wskazań.

– Serwomotory steru działają z pięćdziesięcioprocentową skutecznością, kochanie – rozległ się aksamitny kobiecy głos. – Lewa tylna gródź numer trzy przepuszcza wodę na skutek pęknięcia kadłuba.

– Zagrożenie zalaniem przedziału?

– Dziesięć procent. Pompy pracują, systemy wyrównują trym jednostki, najdroższy.

– Dalsze awarie, kwiatuszku?

– Prawy silnik pływowy sprawny w siedemdziesięciu procentach, lewy w sześćdziesięciu trzech. Nagły wzrost ciśnienia cieczy spowodował

znieszczenie dysz wlotowych i wylotowych, a także mechanizmów odprowadzających. Zarejestrowałam też około dziesięciu tysięcy mikrouszkodzeń kadłuba na całej powierzchni, kochanie.

– Nieźle – skomentował Ragonky. – A ty zawsze nazywasz sztuczne inteligencje kwiatuskami, czy tylko, kiedy jesteś ze mną na patrolu?

– Zawsze – odparł poważnym tonem Stan. – I nieodmiennie ustawiam w nich seksowny kobiecy głos. To mnie uspokaja.

Chwycił mocniej wolant steru, bo nagle liliputem szarpnęło w bok. Skontrował.

– A ty coś znalazłeś? – spytał, kiedy opanował miniaturowy okręt.

Ciril milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Jeśli się nie pomyliłem, to meduza nadała sygnał na ściśle określonej częstotliwości. Osiemnaście herców. Natężenie dźwięku potworne. Nie jestem akustykiem, ale dałbym głowę, że gdyby nie pancierz liliputa, ciśnienie by nas zgmiotło.

– I właśnie przez to okręt ucierpiał? – spytał Sordis. – Wydawałoby się, że raczej od echa. Przecież...

– I słusznie by się wydawało – przerwał mu Ciril. – To nie było żadne echo, ale samodzielny sygnał. Może wzbudzony przez to, co wysłała meduza, lecz z pewnością nie odbity. Człowieku, tutaj są alikwoty z takim natężeniem akustycznym, że musimy się uważać za szczęściarzy, skoro nas nie rozniosło. Chyba że te okręciki są takie mocne.

– Albo jedno i drugie – burknął Stan. – Co chciałeś powiedzieć, mówiąc o alikwotach? Jaką częstotliwość miał dźwięk?

Ciril odetchnął i spojrzał jeszcze raz na odczyty.

– Podstawowy sygnał wychodził z infradźwięku, my słyszeliśmy tylko to, co powyżej. Częstotliwość osiem herców, natężenie poza skalą.

– Jak to poza skalą? – zdumiał się Sordis.

– Nasze urządzenia nie są skalibrowane na taką moc emisji. Nie wiem, czy istnieje adekwatna kalibracja. Ciśnienie akustyczne przekroczyło możliwości odbiorników. Ponad połowa uległa zniszczeniu.

– A tamtemu nic? – spytał z niedowierzaniem porucznik.

– Chyba nic, skoro radośnie nadał drugi sygnał, co? – Ragonzky pokręcił głową. – To potwierdza nasze przypuszczenia, że generalnie obcy funkcjonują na niższych częstotliwościach promieniowania elektromagnetycznego i zjawisk akustycznych.

– Ale co to, cholera, było?! – dopytywał Stan, znów szarpiąc wolantem, żeby skontrolować skręt jednostki. – Przecież ta odpowiedź nadeszła gdzieś z dołu, jakby z dna! Spod dna nawet. W każdym razie takie mam wrażenie.

– Gdybym wiedział, co to było, nie siedziałbym tu teraz z tobą, tylko pobierał pensję radcy naukowego rządu Federacji Planet Zjednoczonych. Nie wiem. Nie jestem akustykiem, tylko astrofizykiem i egzobiologiem. Ale to zadziwiające. Mamy w ogóle w załodze jakiegoś akustyka?

– Nic o tym nie wiem. – Sordis wzruszył ramionami i natychmiast tego pożałował, bo wytrąciło go to z rytmu kontrowania sterem. Liliput zachowywał się coraz gorzej. – Może ktoś ma jakąś specjalizację w tym kierunku. Ale powie nam coś więcej niż te odczyty? Alikwoty to dźwięki składowe częstotliwości głównej, tak? Czyli mamy do czynienia z czymś, co wpada w niezły rezonans. Może to jest właśnie to, czego obcy szukają na tej planecie? Jakies złoze?

Ciril milczał chwilę.

– Mówił ci już ktoś, że jak na naukowca trepów jesteś całkiem rozsądny i masz niezłe pomysły? – spytał.

– Wyobraź sobie, że tak – burknął Stan. – Profesor Solimow mi mówił, tylko użył bardziej uprzejmych słów niż „trepów” i „całkiem”.

– Bo profesor to prawdziwie kulturalny człowiek. – Ragonzky roześmiał

się. – A ty za bardzo się obrażasz.

– Ja się nie obrażam – wycedził przez zęby porucznik. – Tylko nie bardzo mam ochotę na żarciki w tym momencie. Chcesz usiąść na moim miejscu i spróbować poprowadzić ten kulejący złom? Z każdą minutą jest trudniej.

– Dobra, nie irytuj się tak, bo zrobisz się stary, brzydki, po czym awansują cię na pułkownika. Wyślę od razu pakiet danych na stację. Niech już nad nimi pracują.

– Wyślij – zgodził się Sordis. – I zamknij twarz, bo jak będziesz mnie rozpraszał, to skończymy na dnie szelfu. Skoro gródź pękła, to jeśli puści, następna długo nie wytrzyma ciśnienia. Muszę się wynurzyć, a to nie będzie takie proste na ręcznym sterowaniu. Trzeba bardzo uważać.

Ciril machnął ręką i wrócił do oglądania wykresów.

– Kwiatuszkę – powiedział Stan – szasujemy balast. Oblicz tylko dociążenie przeciekającej grodzi. Nie mam ochoty wykonywać pod wodą pełnej beczki niesprawnym sprzętem.

– Oczywiście, kochanie – odpowiedziała SI rześkim, pogodnym głosem. – Szasowanie zrównoważone.

Ragonsky znów oderwał się od wykresów.

– Wiesz, Stan, twoje zażyłe stosunki ze sztuczną są cokolwiek irytujące. Naprawdę musisz?

Stanislaus przez kilkanaście sekund równoważył siłą fizyczną tendencję liliputa do obrócenia się stępką do góry i prawie słyszał, jak jęczą plastalowe cięgła układu. Odpowiedział dopiero, kiedy wyprowadził okręt na pożądany kurs.

– Pocałuj się w swoją piękną dupę, Cyril. Mocno i namiętnie.

Ragonsky zaśmiał się głośno. Tym śmiechem pokrywał przeżyty strach i coraz większą niepewność.

– Z przyjemnością bym to zrobił, Stan, bo doceniam walory moich

kształtnych pośladków. Obawiam się tylko, że nie dam rady wygiąć się dostatecznie mocno w żadną stronę. Nie jestem tak wspaniale wysportowany jak ty.

– Siłownia jest dostępna dla wszystkich – odparł Sordis. – Ale jakoś rzadko tam widuję pracowników naukowych, z nielicznymi wyjątkami.

– Bo naukowcom szkodzi odór wojskowego potu. Was wzmacnia, nas ogłupia.

– Pewnie. Lepiej się spocić, sporządzając raport dla swojego konsorcjum albo korporacji. Każde słowo ocieka forszą.

Ciril uśmiechnął się krzywo.

– Jesteś marynarzem, Stan, prawda? Latasz w przestrzeni, ale zaliczają was do marynarki wojennej?

– Zgadza się – odpowiedział Sordis, marszcząc lekko brwi. Wyczuwał jakiś podstęp.

– No to pewnie wiesz, że dawniej marynarze nałogowo żuli tytoń? To takie liście zawierające nikotynę. Oczywiście żuli je przetworzone.

Stan nie wiedział. Ta informacja zapewne nie była zbyt istotna, skoro nie wchodziła w zakres programu nauczania w akademii.

– A wiesz, dlaczego go żuli?

– Oświeć mnie.

– Żeby przytępić z natury nazbyt ostry umysł. Aby inne rodzaje broni nie czuły się niekomfortowo w zetknięciu z taką elitą.

– Przydałoby się to niektórym naukowcom – burknął Stan. – Miałeś wysłać dane na stację – przypomniał.

– Już dawno je wysłałem. Mam podzielną uwagę. To dlatego, że nie żuję tytoniu.

– A powinieneś, inaczej twoi przełożeni będą się czuć niekomfortowo w zetknięciu z taką elitą.

Do Stana dotarło, że jeszcze nigdy nie przekomarzał się tak z Cirilem. Jeśli wysyłano ich razem, raczej milczeli i obu było z tym dobrze. To, co przeżyli kilka minut wcześniej, musiało na nich wywrzeć większe wrażenie, niż przypuszczali.

*

Vengu Ostrze Światła i vinduke Wędrowiec Po Niebie spoczywali w nieckach wypełnionych tonizującą pseudosangis, odpoczywając i słuchając raportu vennangu Dumy Cienia. Starszy uczony i zarazem młodszy wojownik sam chętnie zanurzyłby się w takiej substancji, ale na ten przywilej musiał jeszcze poczekać.

– To bardzo bogate złożo, czcigodni – mówił. – Sam rezonans sprawił, że moja łódź jakby odmłodziła na jakiś czas. A wiecie, że jeszcze nie zdążyła się nawet wstępnie zestarzeć.

– Tak, zapoznaliśmy się z twoimi doznaniem – potwierdził vinduke. – Bardzo to obiecujące. Tyle sangis rzadko zdarzało się nawet na Opoce w pradawnych czasach.

– W dodatku to kolejne takie znalezisko – rzekł Duma Cienia. – Ale pierwszy raz rezonans był aż tak silny. Moja sangis odpowiedziała cyklem wibracji.

– Znakomicie – podsumował Wędrowiec Po Niebie. – Trzeba będzie zatem rozpocząć wydobywanie właśnie w tym miejscu.

Zamilkł, bo odebrał sygnał niezadowolenia od vengu. Ostrze Światła miał coś do powiedzenia. Było to ważne i na pewno nie niosło pozytywnego przesłania.

– Zapominamy o obiekcie obcych, który Duma Cienia dostrzegł w obszarze badań. Co będzie, jeśli i oni zechcą eksploatować to miejsce? Wiemy już, że

nie chodzi im o sangis, ich metabolizm nie jest oparty na niej, lecz na przemianie pierwiastków i ich połączeń. Ale co się stanie, jeżeli to, czego szukają, znajduje się w pobliżu złoża, które zlokalizował vennangu?

Przez wiele periodów nikt nie zabierał głosu, wszyscy rozważali implikacje takiej sytuacji.

– To bardzo niekorzystna okoliczność, że właśnie na tak odległej planecie, na której znaleźliśmy wreszcie bogate zasoby, pojawili się obcy – odezwał się vinduke. – Nie możemy zostawić sangis, musimy podjąć eksploatację. Nawet gdyby to miało oznaczać konflikt.

– Nie wiemy jeszcze, skąd oni pochodzą – powiedział vengu. – Gdzie jest Otchłań, z której przybyli? Jaki obrali kierunek leja? Jaki dystans dzieli ich planetę od Obłoku? Bo jeśli świat, z którego wypączkowali, znajduje się w pobliżu, już na wstępie mają przewagę. Przecież znajdujemy się na krawędzi naszych możliwości eksploracyjnych. Trzeba się liczyć z tym, że połowa wysłanych tu Opokan zginie w podróży, tak jak zniknęła wyprawa, która nas poprzedzała. Jeżeli ich świat jest gdzieś płytko albo chociaż założyli po drodze z niego jakieś kolonie, nie mają tego problemu. My, jak dobrze wiecie, prowadziliśmy poszukiwania w zupełnie innych kierunkach, w innych lejach. To Skupisko nie wydawało się interesujące. Poza tym leży bardzo wysoko, pierwszy raz pokonaliśmy taką odległość dopiero niedawno.

Znów zapadło milczenie. Duma Cienia podzielał pogląd dowódcy wojskowego wyprawy. Skupisko leżało poza granicami dotychczasowej eksploracji, nie było wcale imponujące, ot, jedno z wielu w całym Zgromadzeniu Skupisk. Gdyby nie postarzała sonda, która wymknęła się spod kontroli i zabłąkała w te okolice, zaczęliby eksplorować ten rejon o wiele później. Sonda wróciła w stanie prawie zupełnego rozkładu, jednak płytki z danymi udało się uratować. Przypadek też sprawił, że wstępnie skanowała właśnie tę planetę.

– Jeszcze nawet nie zdążyliśmy zbadać dalszego otoczenia. Może jest tutaj więcej planet ze złożami sangis? – powiedział vinduke. – To by znaczyło, że nie musimy zdawać się na tę jedną.

– Sam wiesz, czcigodny – odparł vengu – że w tej chwili nie jesteśmy w stanie posunąć się dalej. Musimy najpierw założyć tutaj kolonię, a potem wyhodować maszyny i rozważyć eksplorację. I bierz pod uwagę obecność obcych. Nie wiemy, ile gwiazd i globów w pobliżu należy do nich.

– Wydajesz się przekonany, że pochodzą właśnie z tego Skupiska – vinduke napomniął Ostrze Światła. – A może są tutaj takimi samymi gośćmi jak my?

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że to mało prawdopodobne – nadał na ich odrębnym paśmie vengu. Nie chciał, aby Duma Cienia był świadomy takiej rozmowy. – Musimy zakładać, że pochodzą z tego rejonu. I działać, jakby tak było.

– Wybacz, czcigodny – odpowiedział Wędrowiec Po Niebie. – Nie będziemy ciągnąć naszej dyskusji przy vennangu. Zaraz się zorientuje, że coś się dzieje. Niech składa dalej raport.

A potem nadał do Dumy Cienia, aby przedstawił swoje wnioski z badań dna morza.

– Analiza zapisów pozwala sądzić, że złożo zaczyna się w tej płytszej strefie, ale potem schodzi daleko w głąb. Musi być ogromne, skoro tak rezonuje.

– Czy może znajdować się też pod lądem? – spytał vinduke.

– To możliwe, ale mało prawdopodobne – odparł vennangu. – Nie zarejestrowałem drgań w skałach strefy brzegowej. Chyba że złożo wchodzi na tyle głęboko w skorupę planety, że przyrządy pojazdu nie odebrały odpowiedzi. Podobnie jak w wypadku tych, które wyraźnie schodziły bardzo głęboko, znacznie poniżej poziomu dna największej opokańskiej głębi. Temperatura skał musi być tam na tyle wysoka, że sangis pozostaje w postaci

stałej. A wtedy jej rezonans zupełnie się zmienia.

– W postaci stałej – powtórzył Wędrowiec Po Niebie. – To niezwykle pomyslnie, gdy prowadzi się wydobywanie. Ale zanim przylecą oddziały wydobywcze, musimy się upewnić, jakie zamiary mają obcy. Bo, jak dobrze wiecie, raz napoczętego złoża nie można porzucić, prace muszą iść bez przerwy.

– Wiemy, czcigodny – odparł Ostrze Światła. – Dlatego trzeba jak najprędzej doprowadzić do następnego spotkania z obcymi. Jednak nim dowiemy się, jakie mają zamiary, musimy ustalić zakres wspólnych pojęć wykraczający poza konstatację, że jesteśmy istotami myślącymi, i my, i oni. Musimy wiedzieć nie tylko, jak nazywają to, co nas otacza, ale przede wszystkim, jak pojmują świat, czas i kosmos. Czy, jak dla nas, jest on Wielkim Lejem, czy znają podobne do naszego pojęcie Otchłani, czy też jest dla nich czymś innym. Tylko ustalenie najważniejszych terminów doprowadzi nas do zrozumienia szczegółów.

– Bardzo mądrze mówisz, czcigodny. – Wędrowiec Po Niebie na znak szacunku uniósł lekko dwa górne ramiona. – Gdyby nie nierozważne zachowanie Rwęcego Sieć, już może byśmy coś wiedzieli. Przez tego głupca wszystko się opóźniło. Kiedy wyjdzie z Otchłani, odzyskawszy po Zjednoczeniu dawną formę, trzeba pomyśleć, jak go ukarać. Na pewno pozbawię go stopnia naukowego, może nawet zredukuję do zwykłego młodszego poszukiwacza.

– Ja bym go w ogóle nie wkładał do sarkofagu – zauważył Duma Cienia. – To marnowanie zapasów sangis. Niechby usychał w niepełnej monoświadomości. Zasłużył.

Obaj niżsi stopniem milczeli przez chwilę. Vennangu wykazał się wielką bezczelnością, pozwalając sobie na wygłaszanie podobnych opinii bez wyraźnego wezwania. Duma Cienia dostrzegł lekkie falowanie kończyn

i mętny błysk lepszych. Natychmiast skupił się w sobie i wciągnął jak najgłębiej ramiona, aby okazać skruchę.

– Gdybyśmy przebywali na Opoce – odezwał się w końcu Wędrowiec Po Niebie – lub sytuacja przedstawiała się inaczej, byłbym nawet skłonny się z tobą zgodzić. Ale jesteśmy w obcym Skupisku, naprzeciwko rozumnych obcych, których potęgi nie znamy. Jest nas tutaj ledwie siedmiu naukowców, czterech wojowników i niewielka grupa robotników. Już straciliśmy jednego starszego badacza, więc nie możemy pozwolić sobie na utratę kolejnego. Nie wiemy wszak nawet, ilu obcych przebywa na planecie. Dopiero w tej chwili zdobyliśmy informacje, jak wyglądają ich lokalne otchłanie, i wysłaliśmy odpowiednio zaprogramowane urządzenia obserwacyjne. Być może oni robią to samo.

– Na pewno robią – wtrącił się Ostrze Światła. Opanował już chęć natychmiastowego surowego skarcenia vennangu. Na to przyjdzie jeszcze czas. Żadna przewina nie może pozostać bez kary, inaczej burzy się porządek świata. – Zarejestrowaliśmy wzmożony ruch ich urządzeń, wysyłają je na równie duże odległości jak my.

– Dziękuję za wyjaśnienia, czcigodni. – Duma Cienia wciąż trwał w kornej postawie. Nie miał pewności, czy już za period nie usłyszy, jaką karę wyznaczają mu niżej postawieni.

– Rwący Sieć poniesie najdalej idące konsekwencje – podsumował vinduke. – Lecz nie teraz. Obecnie musi jak najszybciej wrócić do swych obowiązków.

*

Roy Farra był blady, ale szok po utracie ręki zaczął ustępować. Do młodego naukowca docierało już, że musi się pogodzić z perspektywą używania

tymczasowej wielofunkcyjnej protezy, zanim po powrocie z wyprawy otrzyma implant, który zacznie być hodowany z jego komórek macierzystych zdeponowanych w Federalnej Bazie Medycznej, kiedy tylko zostanie przywrócona łączność z Centralą.

– Następnym razem zastanowisz się nie dziesięć ani nawet sto, ale tysiąc razy, zanim zrobisz coś głupiego – powiedział Guido. – Nie patrz tak na mnie, przecież krzyknąłem, żebyś schował łapę!

Siedzieli przy łóżku rannego we dwóch: sierżant i porucznik Sordis. Lingwista zauważył, że ci dwaj tak zupełnie różni mężczyźni często przebywają razem, szczególnie ostatnio. Dzieliło ich wszystko – stopień wojskowy, charakter, typ urody. Stanislaus był wysokim, szczupłym blondynem o niebieskich oczach i łagodnych rysach, na ogół bardzo opanowanym. Da Campa z kolei prezentował typ krewkiego, przysadzistego awanturnika o wiecznie skrzących się źrenicach w ciemnej oprawie tęczówek, rzęs i brwi. W kadrze oficerskiej cieszył się poważaniem, był lubiany, a nawet popularny, ale bywali porucznicy czy chorążowie bardziej do niego pasujący niż Sordis.

Kiedy wyraził swoją opinię na ten temat, obaj mężczyźni roześmiali się.

– Może jest coś z prawdy w powiedzeniu o przyciąganiu się przeciwnieństw – rzekł Sordis. – Ale nie wiem, czy o to właśnie chodzi. Bo prawda wygląda tak, że ja wcale nie prezentuję olimpijskiego spokoju, a Guido nie jest bynajmniej taki wyrywny. Faktem jest natomiast, że w ostatnim czasie nasze ścieżki mocno się krzyżują.

– No właśnie – zgodził się da Campa. – W końcu to nie ja przestawiłem szcękę temu kretynowi Lobo.

Roy popatrzył z wdzięcznością na oficera. Wiedział już, co się stało w korytarzu przed windą. Prawdę mówiąc, nie spodziewałby się takiej reakcji po zawsze dość chłodnym poruczniku.

– Dziękuję.

– Nie ma za co, chłopcze. – Sordis uśmiechnął się. – Sprawilo mi to ogromną przyjemność.

– Tyle że teraz ma pan dodatkowe służby – rzucił Guido. Spojrzał na rannego. – Pierdoła wlepił nam po dziesięć dyżurów patrolowych. Pewnie ma nadzieję, że w końcu zaczniemy sobie działać na nerwy.

– Dziesięć? – zdziwił się Farra. – To chyba dużo?

– Sporo – zgodził się Sordis. – Ale wszystko jest lepsze niż kazania naszego dzielnego Romulusa. On doskonale wie, że wolałbym zostać wyrzucony przez służę w próżnię, niż tego słuchać. Cholera, ma facet prawdziwy talent do zamęczania ludzi.

– No dobrze, rozumiem, że sierżant dostał taką karę za zastrzelenie obcego... Zresztą powinienem panu podziękować.

– Nie musisz. Pojechałem odruchem. Dwadzieścia lat w Gwiezdnym Korpusie Marines robi swoje. Gdybym chociaż przez sekundę pomyślał, nie pociągnąłbym za spust. Przecież nie spotkali się z nami, żeby wszczynać konflikt. To moglibyśmy zrobić bez rozmów wstępnych.

– W porządku. Ale dlaczego pan porucznik też został ukarany? Za wybicie zębów Manuelowi?

– E, nie – skrzywił się sierżant. – Z tego Pierdoła był nawet zadowolony. Tak samo kocha tego senatorskiego pociotka jak wszyscy. Lobo jest niczym wrzód na dupie. Przyzwyczać się do niego nie idzie, a polubić ścierwa absolutnie niepodobna.

– Jako naukowiec jest całkiem niezły – zaprotestował Sordis. – Ale człowiek z niego pozał się Boże. Nie chciałbym go spotkać, jak będzie starszy i bardziej wpływowy.

– To w końcu za co pan dostał karę, poruczniku?

– Za to, że ośmieliłem się skrytykować decyzję przełożonego. Początkowo Pierdoła wlepił sierżantowi dwa tygodnie ścisłego aresztu. Bardzo mi się to

nie spodobało i poszedłem zaprotestować. – Sordis zaśmiał się. – Nie przypadło mu to do gustu.

– Powiedział staremu, że gdyby siebie zamknął na tyle, byłaby mniejsza strata dla całego zespołu niż z jednego dnia mojej odsiadki – uzupełnił sierżant. – Bo bez niego stacja sobie poradzi, a beze mnie w magazynach zacznie się burdel, którego nikt nie ogarnie.

Roy zaśmiał się. Był bardzo zadowolony z wizyty obu wojskowych, a jednocześnie nieco zaskoczony. Sądził, że po głupocie, którą zrobił, nikt nie zechce z nim rozmawiać. Tymczasem ludzie go odwiedzali. Da Campa najwyraźniej czuł się nawet w pewien sposób odpowiedzialny za to, co zaszło. Jak stwierdził, powinien czujniej pilnować lingwisty, a najlepiej trzymać go za rękę. Tę prawą. Było to oczywiście nierozsądne, ale rozczulające. W tamtej chwili wrywny sierżant przypominał młodemu człowiekowi zmarłego ojca. Wprawdzie zaraz dodał coś złośliwego, obraźliwego nawet, jednak wrażenie pozostało.

– Słusznie powiedział pan porucznik – rzekł ranny. – Bez pana średni personel rozlazłby się po całej planecie. Cywile też by zaraz zaczęli kombinować i korzystać bez skrępowania z zapasów. Niech pan nie protestuje, sierżancie. Jest pan sercem tej stacji, a nawet w pewnym sensie jej mięśniami i ścięgnami.

Milczeli przez chwilę.

– A co z kontaktem? – spytał wreszcie Farra.

Mężczyźni spowaznieli, wymienili się spojrzeniami.

– Ameby... to znaczy obcy – poprawił się natychmiast da Campa – znów chcą nawiązać bezpośrednie rozmowy. Z tego, co rozumiemy, chodzi o dalsze ustalenia podstaw kontaktu. Przydałbyś się. – Westchnął. – Dobrze ci szło rozszyfrowywanie tych ich sygnałów i impulsów. Teraz zajmuje się tym Lynn Sarkissian, ale narzeka, że wszystko wydaje jej się jakieś niepełne.

Roy pokiwał głową.

– Odnoszę wrażenie, co już sygnalizowałem, że ich przekaz jest wielopoziomowy. Zresztą podobnie jak nasz. My mamy język, w którym kluczowe jest znaczenie słów, ale stosujemy też intonację i mowę ciała, a do tego dochodzą feromony i inne komunikaty pozawerbalne. Myślę, że o to chodzi. U nich może być podobnie, tylko przebiega to na innych zasadach. Może emitują fale radiowe, może świecą, gestykują tymi swoimi ramionami... – Wykrzywił się na to słowo i mimochodem spojrział na kikut.

– Spokojnie, młody – mruknął Sordis. – Medyczne drukarki już robią protezę. Za parę dni będziesz miał całkiem sprawną kończynę.

– Wiem, ale cały czas mam wrażenie, że moja łapa wcale nie kończy się na łokciu. Bóle fantomowe to podobno norma. Ale na czym to ja skończyłem? Aha, tak. Gestykują, świecą, nadają fale radiowe, diabli wiedzą, może tupią... Przecież poruszają się nawet inaczej niż my. Jakby jeździli na kółkach, chociaż ich nie mają.

– Linneaux ma już teorię na ten temat – powiedział Sordis. – Twierdzi, że to może mieć coś wspólnego z niwelowaniem siły tarcia. Przypuszcza, że te ich ślizgi, jak je nazwał, działają tak, że jednym obcy się odpycha, a drugi w tym czasie praktycznie nie trzyma się podłoża. I tak na zmianę. W jakiś sposób potrafią zmniejszyć tarcie. Zdaniem Georges'a takie dostosowanie świadczy o tym, że te istoty ewoluowały w charakterystycznym środowisku. I potwierdza to konstrukcja tej ich bazy.

– To ciekawe – powiedział Farra.

– Tak, ciekawe, ale to tylko kolejna teoria – wtrącił się niecierpliwie sierżant. – Przynajmniej na razie. Mów o tym języku, bo to mnie znowu wyślą z podręczną SI na rozmowy.

Ranny wzruszył lekko ramionami i znów się skrzywił, kiedy zaboląła go ręka.

– Oni mają zapewne ten sam problem z nami. Nasze mimika, chemia i gestykulacja nic im nie mówią. Pozostają tylko słowa. Jak komendy w komunikacji z maszynami. I dlatego upieram się, że trzeba ustalić podstawowe pojęcia, żeby przejść do wyższych. Galileusz powiedział, że Bóg opisał świat językiem matematyki. Zapewne i przed nim wielu uczonych doszło do tego wniosku. To prawda, jako lingwista wiem doskonale, że wszystko można ująć w formuły matematyczne. Ale najpierw trzeba mieć co ujmować. Dopiero po ustaleniu szczegółów możemy rozmawiać o pojęciach takich jak przestrzeń i pojmowanie czasu, sprawdzać, skąd dokładnie pochodzą, jak rozumieją i postrzegają przestrzeń... Tak, trzeba ustalić priorytety.

Sordis pokiwał głową i spojrzał na zegar nad drzwiami sali chorych.

– Na nas pora, młody. Mamy zaraz kolejny patrol. Ale przyślemy ci Lynn, dobrze? Skoro już nieźle kontaktujesz, pogadajcie. Może coś jej doradzisz, bo kobieta naprawdę ma spory problem.

– Oczywiście, niech przyjdzie! Dawno jej nie widziałem – ucieszył się Roy, a sierżant z porucznikiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Młody naukowiec dostrzegł to i lekko się zaczerwienił.

– Chodzi mi o to, że doktor Sarkissian jest wspaniałym naukowcem...

– Daj spokój, młody – mruknął Stan. – Nie musisz się tłumaczyć. To piękna kobieta i też bym wolał, żeby właśnie ona przyszła do mojego łóżka bóleści, a nie dwóch brzydkich facetów.

– Chyba że ktoś gustuje w męskiej urodzie – zaśmiał się da Campa. – Ale nasz naukowiec jakoś nie wykazuje takich inklinacji.

Sordis także się roześmiał, obserwując coraz bardziej intensywny rumieniec na twarzy Roya.

– Tylko nie zacznij się przy niej jękać jak zwykle – przestrzegł. – Macie do omówienia ważne sprawy.

Farra wykonał ruch, jakby chciał na nich machnąć ręką, ale w porę sobie przypomniał, że prawej nie ma, a lewą właśnie ujął kubek, więc tylko wydał lekko wargi.

– Idźcie już – burknął. – Jestem zmęczony. – Ale zaraz się rozpogodził. – Nie będę się jękał – oznajmił. – Powinienem już z tego wyrosnąć, co? Po czymś takim...

Wskazał wzrokiem opatrzony kikut, a porucznik z sierżantem pokiwali głowami.

– Uważaj na siebie – rzucił jeszcze da Campa, a kiedy stanęli w drzwiach, dodał: – I łapy... znaczy łapę trzymaj przy sobie, bo kapitan może być zły.

– Nie musiałeś straszyć dzieciaka – powiedział z wyrzutem Stan, kiedy już szli korytarzem w stronę hangaru maszyn latających. – I tak nie ma szans u Lynn.

– Nic mu nie będzie. – Sierżant wzruszył ramionami. – Podrażniłem jego ambicję, bardziej się będzie starał. A że i tak nic z nią nie działo, wiemy i my, i on. Ale przynajmniej oderwie myśli od tego, co się stało. Zauważyłeś, że zgrywa chojraka, ale zdrowa ręka jednak mu trochę drżała?

– Przedtem nie zwróciłem na to uwagi, ale rzeczywiście, masz rację – odparł porucznik.

*

Otaczała go przyjazna, miękka mgła. Otulała całe ciało, wnikała do wnętrza. Wszelkie sygnały docierały jak z wielkiej dali, płynęły przez przyjemnie zimną, płynną skałę, skupiały się wokół okaleczonego jestestwa.

Zdawał sobie sprawę, jak bardzo jeszcze jest niepełny, jak mocno został poszkodowany. Pogrążony w dwuświadomości pamiętał wszystko, co się zdarzyło, co przeżył, zanim podjął próbę wchłonięcia kończyny informacyjnej

obcego i został trafiony z broni miotającej. Ale umiał odczytać również to, co zarejestrowała pozostała w jego organizmie sangis, kiedy transportowano go w biologicznej kapsule na dno lokalnej otchłani, aby umieścić w Głębi z sarkofagami. Pierwszy raz w życiu dokonywał Zejścia i Zjednoczenia nie sam, lecz niesiony na ramionach innych Opokan.

Pamiętał też słowa uzdrowiciela, erdike Pędzącego Ku Skale, który zdawał raport Podróżnikowi W Mroku.

– Kończyna obcego spowodowała znaczne spustoszenia w ciele Rwącego Sieć, czcigodny. Zarówno ona jest trująca, jak i te niewielkie kawałki jakiegoś metalu, które utkwiły głęboko. Zanim chory zostanie umieszczony w sarkofagu, postaram się je wyjąć.

– Wyjmij koniecznie, nie tylko się postaraj – nadał sanduke. – Nie możemy sobie pozwolić na skażenie w komorze Głębi.

– Może lepiej zaryzykować? Bo co będzie, jeśli ten odike umrze podczas zabiegu? Wspólna sangis jest doskonałej jakości, powinna sobie dać radę również z toksynami.

– Jeśli umrze, zostaniesz ukarany, rzecz jasna – odparł Podróżnik W Mroku.
– Jednak w tym przypadku nie będzie to bardzo surowa kara. Niemniej postaraj się, bo jeśli ktoś dojdzie do przekonania, że zlekceważyłeś zadanie, poniesiesz wszelkie możliwe konsekwencje.

– Jestem uzdrowicielem, czcigodny – odpowiedział Pędzący Ku Skale – zawsze należycie wypełniam swoje obowiązki.

Rwący Sieć czuł doskonale złość Podróżnika W Mroku. Czuł ją nawet teraz, w odosobnieniu, kiedy dwuświadomość wydobywała zeń wszystko, co zostało zapisane na niewidzialnych matrycach sangis i w nasączonych nią powłokach wewnętrznych. Sanduke był poirytowany koniecznością zajmowania się jednym odike i rozmowy z uzdrowicielem.

W gnieździe leczniczym wydobyto cząstki metalu ze zniszczonego już

poważnie trucizną ciała, usunięto także kończynę obcego. Wszystko to zostało wysłane do zbadania. Pograżony w stanie dwuświadomości Rwący Sieć poczuł coś w rodzaju żalu, że nie mógł uczestniczyć w analizach. Wiedział jednak, że kończyna okazała się toksyczna w większym stopniu niż fragmenty metalu, które wbiła w niego broń miotająca. Tego należało się spodziewać, wszak sangis rozpuszczała większość ciężkich pierwiastków. Dlatego czyste złożo było tak wartościowe dla Opokan. Na ich planecie zostały już tylko mniej lub bardziej skażone źródła życiodajnej substancji.

– Jak uważasz, erdike – spytał Podróżnik W Mroku – ile czasu Rwący Sieć będzie musiał spędzić w sarkofagu, zanim na tyle odzyska sprawność, by móc wrócić do obowiązków?

– Trudno to dokładnie oszacować, czcigodny. Ale przypuszczam, że jeśli jego stan nie pogorszy się, co zawsze jest możliwe przy podobnych uszkodzeniach, zajmie to co najmniej ósmą część obiegu.

– Tutejszego czy naszego? – upewnił się sanduke.

– Opokańskiego, czcigodny. Jednak to tylko wartość przybliżona, może się okazać mniejsza albo większa.

Rwący Sieć nigdy nie przebywał tak długo w stanie Zjednoczenia. Ale też nigdy nie był poważnie poraniony. Natomiast kiedyś był świadkiem umieszczania w sarkofagu pewnego sanduke, którego przysypała lawina. Zostało z niego niewiele – para górnych ramion i fragmenty korpusu z wiszącym na kilku włóknach kawałkiem ślizgu. Regeneracja tego lepszego miała trwać trzy pełne obiegi. Żadnego Opokanina z wyższej kasty nie próbowano by ratować takim kosztem. Ale ten sanduke pochodził z Nielicznych, i to z ich najlepszej dolnej warstwy, więc był naprawdę cenny.

Odike unosił się w substancji wypełniającej sarkofag. Najlepsza sangis wzbogacona o wartości odżywcze przepływała wokół niego, spływała w dół, ku kamiennym blokom, gdzie ulegała oczyszczeniu, omywała drzemiącą na

samym dniu cząstkę skały pobłogosławionej przez Pierwszych Władców i wracała, wypełniona nową siłą i informacjami.

Podobno w najdawniejszych czasach, kiedy byli na tyle nieliczni, że mogli pływać na dnie Otchłani, nie tocząc walk i wojen o dostęp do świętej substancji, dwuświadomość była zwyczajnym stanem wśród Opokan. Lecz gdy wypęczkowało ich zbyt wielu, sytuacja się zmieniła, zaczęła wymagać dystrybucji dostępu do dobra. Silniejsi wypychali słabszych w górę, zmuszali do zajmowania coraz wyższych pięter leja Otchłani. Wśród nich też trwała batalia i znów zwyciężali ci silniejsi. To znaczy wszyscy, którzy mogli jednoczyć się w dwuświadomości częściej od innych. Z kolei na tych migrujących ku powierzchni polowały najrozmaitsze drapieżniki. Tak kształtowało się doskonałe społeczeństwo. Tak doskonałe, że pewnego dnia nie tylko wyszło wreszcie na otwartą przestrzeń, podporządkowało sobie całą naturę i wyplenilo zagrożenia, ale uleciało w pierwszy Wielki Lej kosmosu.

Kiedy Rwały Sieć schodził do Otchłani, aby zaznać Zjednoczenia, dwuświadomość podsunęła mu w jednym błysku całą historię cywilizacji. Nie wiedział, czy inni również doznawali tego samego. O pobycie w sarkofagu nie wolno było rozmawiać pod karą radykalnego ograniczenia substancji odżywczych i uzupełniania sangis przez cztery cykle. A to oznaczało częściową degenerację i przejście do wyższej warstwy lub nawet wyższej kasty, jeśli ktoś znajdował się blisko granicy.

Pławił się teraz w stanie dwuświadomości, chłonąc wszystko, co przynosiła, w tym również zawarte w niej informacje zebrane przez całe trwanie wyprawy. Wiedział, że po wyjściu z sarkofagu większość z tego ulegnie zapomnieniu, zatarciu, a im dłużej będzie przebywał na zewnątrz i poświęcał się pracy, tym mniejszy będzie zakres pamięci.

Lecz teraz miał dostęp do wielkiego zbioru danych. I zrozumiał z całą ostrością, że nie powinien zostać wysłany na spotkanie z obcymi. Nie w stanie

takiego zmęczenia. Dotarły do niego echa rozmowy Pełzającego Głazu, kiedy erdike ostrzegął, że Rwały Sieć jest zbyt postarzały, aby podejmować jedynie właściwe decyzje, że rośnie prawdopodobieństwo popełnienia przez niego błędów.

Gdyby wówczas wiedział o tej rozmowie, osobiście ukarałby młodszego badacza, i to bardzo dotkliwie. Jednak w stanie dwuświadomości musiał przyznać mu słusność. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo jest wyczerpany i jak potrzebuje Zjednoczenia, chociaż na krótko, by odnowić przynajmniej część powłok. A wchłonięte przed lotem na miejsce spotkania substancje odżywcze poprawiły jego kondycję na krótko.

Przecież w zwykłym stanie, nawet już w pewnym stopniu wyczerpany, nigdy by nie uznał wysuniętej kończyny obcego za informacyjną, a już na pewno by jej nie przyjął. W końcu nie miała odpowiednich sygnatur i składała się z wielu warstw, które nie zawierały żadnych danych.

Nie wiedział, dlaczego tamten w ogóle to uczynił. Czy to był jakiś rytuał innego gatunku? A może tamten również popełnił błąd? Skoro Opokanin mógł się pomylić, dlaczego nie obcy? Dwuświadomość podsunęła możliwość: powitanie.

Powitanie? Któż by to czynił za pomocą kończyn, zamiast wysłać impuls albo posłużyć się kodem akustycznym? Przecież oferowanie kończyn wiąże się z ryzykiem. Czyżby chodziło o kontakt fizyczny? To nierozsądne. Opokanie rzadko się dotykają, jeśli nie zachodzi taka konieczność, wyjąwszy walkę. I oczywiście oferowanie kończyny informacyjnej. Jednak to ostatnie następuje tylko wtedy, gdy niższy statusem społecznym tego zażąda, a wtedy ramię oddziela się od ciała o wiele łatwiej, wystarczy lekkie szarpnięcie.

Tymczasem w oderwanie kończyny obcego musiał włożyć sporo siły. Może gdyby miał większe doświadczenie jako biorca, a nie dawca informacji, od razu by się zorientował, że coś jest nie tak.

Dwuświadomość podpowiadała kolejne rozwiązania i hipotezy, choć tempo było o wiele mniejsze niż przy zwykłym Zjednoczeniu. Zbyt wiele energii musiało pójść w odnawianie ciała. I odtruwanie, bo wprawdzie uzdrowiciel wydobyl obce substancje, ale przecież częściowo zdołały się już rozpuścić.

Czekało go wiele czasu w sarkofagu, lecz kiedy wyjdzie, na pewno zostanie ukarany. I nie uzyska już pozwolenia na wypączkowanie w niższej kaście. Być może lepsi zechcą nawet wepchnąć go wyżej. Tak, echa wypowiedzi vengu i vinduke krążące w zbiorze informacji potwierdzały to. Lepsi nie przechowywali tak nieznaczących wymian zdań w pamięci bezpośredniej, wlewali je od razu do zbioru. Cóż, oni mogli z niego korzystać o wiele łatwiej, w zasadzie gdy tylko poczuli potrzebę. Dlatego potrafili wytrzymać tak długo bez Zejścia i Zjednoczenia – nie wydatkowali tyle energii, co gorsi. Nie wspominając już o tym, że mieli znacznie doskonalsze ciała, w których procesy starzenia przebiegały wielokrotnie wolniej.

Lecz w związku z tym Zjednoczenie nie było dla nich tak intensywnym przeżyciem jak dla wyżej sytuowanych Opokan. Traktowali je jak obowiązek, nie doznanie wręcz religijne. Tym właśnie płacili za swoją doskonałość.

I właśnie to podpowiedziała Rwęcemu Sieć dwuświadomość, po czym nadeszła refleksja, a raczej pytanie, czy wolałby zrodzić się jako pączek wśród lepszych. Czy chciałby zamienić tę nieopisaną przyjemność na lepsze ciało i większe możliwości. Kiedy był poza sarkofagiem, odpowiedź zdawała się oczywista – im dłużej przebywał na zwykłym świecie, tym bardziej pragnął wypączkować potomstwo w gnieździe rozrodowym lepszych. Jednak w czasie Zjednoczenia miał wątpliwości. Wejście do sarkofagu i chwila, kiedy się wypełniał, były doznaniem, jakich nigdy i nigdzie nie doświadczył. Nawet wiadomość o awansie na starszego badacza nie mogła się z tym równać. Miał wrażenie, że wypełnia go ogromna siła, lecz nie było to groźne. Przez dwa lub trzy periody czuł się zjednoczony z całym kosmosem,

z wszelkimi jego możliwymi i niemożliwymi wielkimi lejami, czuł w sobie wszystkie jego Skupiska, po najdalsze granice. W tym też momencie rozumiał przez mgnienie, czym są Spaczone Otchłanie, tajemnicze obiekty wchłaniające wszystko, co znalazło się w ich pobliżu. Potem rozumienie zniknęło, pozostawało tylko wrażenie obcowania z wiedzą absolutną. Opokanie wykorzystywali te obiekty w podróżach między Skupiskami i w samych Skupiskach, przemieszczając się dzięki nim od jednego kosmicznego leja do następnego.

Rozumiał też przez to samo mgnienie wielowymiarowość świata, wyczuwał drgające bezustannie cząstki wypełniające najdrobniejsze struktury materii i energii, kształtujące je i tworzące wszystko. Lecz zdawał sobie również sprawę, iż te drobinki nie znajdują się ani na końcu, ani na progu poznania natury rzeczywistości, ale same w sobie są właśnie nią, choć ich istnienie pozornie może się wydawać wręcz niemożliwe czy nawet pozbawione znaczenia. A przecież bez tych rozedrganych drobin nic by nie mogło zaistnieć.

Nic. Nigdy i nigdzie.

Potem i to zrozumienie mijało, pozostawiając tylko doznanie wspaniałości świata – niewyraźne, ale dojmujące. Zacierało się po wyjściu z sarkofagu, lecz jego cień i tęsknota za nim trwały bez przerwy.

Czy lepsi także mogli tego dostąpić, czy też w stanie monoświadomości pojmowali więcej? To byłoby zrozumiałe. Być może ci usytuowani najniżej, Nieskończeni lub tajemniczy Nieosiągalni, czuli to przez cały czas. Tego jednak nie wiedział i nigdy nie miał się dowiedzieć. A co z Władcami i z Niewymawialnym?

Czy w ogóle takie pojmowanie, takie zrozumienie rzeczywistości jest pożądane? Z jakiegoś powodu po zerwaniu dwuświadomości taki Opokanin jak Rwący Sieć tracił całą wiedzę, a nawet wrażenie wiedzy. Pozostawał tylko jej odległy cień.

Zapraǳnął dokonać analizy wszystkiego, czego doświadczył od ostatniego Zejścia, wrócić do tego, czego nie zdążył przemyśleć poprzednio, lecz na razie dwuświadomość nie poddawała się jego woli, był jeszcze zbyt słaby. Przyjdzie jednak chwila, kiedy pchnie odpowiednią część wypełnionej energią substancji przez struktury rozumne. Tylko czy zdąży uzyskać odpowiedzi na nurtujące go pytania? I ile z tego zdoła zapamiętać, a ile zostanie wymazane, jeszcze zanim otworzy się sarkofag?

Strumień dwuświadomości opływał go i przenikał, oczyszczał i wzmacniał. Przynosił nowe informacje, dostarczał wspomnienia innych Opokan. Pokonując bezwładność umysłu, zaczął je wstępnie gromadzić i układać, organizować w logiczne struktury. Jednak nim zdołał sformułować konkretne wnioski, nadciągnęła wyjątkowo silna fala i zmiotła wszystko, uniosła daleko, umieściła we wspólnym zbiorze. Najwidoczniej uznała je za wystarczająco interesujące, aby poddać własnej analizie, może nawet podsunąć innym. Czy da radę później do tego sięgnąć? Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Tym bardziej że już porwał go nurt kolejnych danych, zupełnie innych od poprzednich, i zaczął formułować kolejne wnioski.

Rwący Sieć pogrążył się w Zjednoczeniu bez reszty.

8

– Oni są po prostu obrzydliwi – powiedziała Melinda, patrząc na zapis spotkania. – Kto ich nazwał amebami? Da Campa? Przekażcie mu, że ma u mnie beczkę ulubionego piwa.

– Guido to Hiszpan z pochodzenia – zauważył Ronald. – Pewnie wolałby wino.

– Dostanie, co tylko zechce – ucięła chorąży Stark.

Stan roześmiał się, Melinda zaś spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– A ty czego rzysz? – spytała opryskliwie.

– Bo nasz drogi sierżant niebawem do nas dołączy. Jak go znam, stwierdzi, że piwo i wino kocha na równi. Wódkę zresztą też. To wielki pijak, wiem coś o tym. W dodatku pijak, który nie wpada w uzależnienie. Dawniej mówiono o takich moczymorda. Może się kąpać w alkoholu, ale kiedy trzeba, jest gotów do akcji.

Melinda machnęła ręką i znów wpatrzyła się w zapis spotkania.

– To nie są ameby – powiedział ostrożnie Linneaux. – To istoty zbudowane ze zwartej materii. Co mają w środku, nie wiem, ale oszacowaliśmy ich masę. Ten najmniejszy był wzrostu człowieka, ale w warunkach standardowych ważyłby dobre dwieście siedemdziesiąt kilogramów. Więksi dochodzą do przeszło trzystu pięćdziesięciu. Objętościowo przewyższają nas od dwudziestu do trzydziestu pięciu procent, więc muszą mieć niezwykle zwartą strukturę.

– Albo ciężar właściwy tego, z czego się składają, jest o wiele większy niż naszych tkanek – powiedział Ross.

Sordis spojrział na młodego porucznika z mimowolnym podziwem. Profesor miał rację, oceniając tego oficera jako niesłychanie zdolnego. Zresztą jego wielkie zainteresowanie zjawiskami występującymi na planecie świadczyło o tym, że nie jest zwykłym wojskowym. A przecież nie miał konkretnego wykształcenia naukowego, był tylko adeptem Akademii Pilotażu Sił Kosmicznych Federacji Ziemskiej.

– Na jedno wychodzi – rzucił niecierpliwie egzobiolog. – W każdym razie to nie są ameby. Obcy ewoluowali z istot, które dla nas zapewne byłyby mało atrakcyjne, ale czy o ludziach nie można powiedzieć tego samego? Jakieś oceaniczne gluty, potem stworzenia o raczej mało atrakcyjnych kształtach...

– Dla nich prawdopodobnie jesteśmy równie obrzydliwi – wtrącił Edwin.

– Ty na pewno, drogi mężu. – Melinda zaśmiała się na całe gardło. – I dobrze, że ciebie nie wzięli na to spotkanie, bobyś nam wyrobił opinię, że ho, ho!

Stark pokręcił głową i westchnął ciężko. Zapominał wciąż, że jego ukochana żona skorzysta z każdej okazji, żeby robić sobie z niego żarty.

– Nie wiemy dokładnie, jak nas postrzegają – rzekł poważnie Georges. – Ale na pewno nie na zasadach naszego widzenia, to przecież wszyscy wiecie. Chociaż postrzeganie to zawsze kwestia przetwarzania sygnałów przez mózg. Nietoperz widzi świat ultradźwięków, dla nas nieczytelny, ale w jego centralnym ośrodku nerwowym tworzy się mapa rzeczywistości, która pozwala mu sprawnie funkcjonować. W pewnych aspektach o wiele sprawniej niż człowiekowi, chociażby w omijaniu przeszkód podczas błyskawicznego poruszania się. Przywykliśmy myśleć, że otoczenie wygląda tak, jak sami je widzimy, ale to nieprawda. Wygląda tak, jak postrzega je patrzący. Taki grzechotnik posiada zmysł termorecepcji, ma świetny węch i marny wzrok,

a do tego nie słyszy, prawda? No i odbiera drgania gruntu, na które człowiek zupełnie nie zwróciłby uwagi. Dla niego świat wygląda inaczej niż dla nas, chociaż to ziemski istota. A wy byście chcieli zrozumieć obcych? Rozwijali się na nieznanym nam planecie, w nieznanym nam warunkach i wszystko wskazuje na to, że nie można mówić tutaj o żadnej ewolucyjnej konwergencji, skoro są tak różni od nas.

Od wejścia doleciały oklaski. W drzwiach stał Guido da Campa.

– Znakomite przemówienie, doktorze! Cudowne. I wyjątkowo nie jestem w tej chwili sarkastyczny. Miałem podobne odczucia, kiedy stałem naprzeciwko tych istot. Obcość. Obcość, o jakiej mi się nie śniło. Nie znoszę węży, pajaków i innych takich stworzeń, które występują na wszelkich odwiedzonych przeze mnie światach. Jeden psychiatra powiedział mi, że cierpię na poważną arachnofobię i ofidiofobię. Niby powinienem wykazywać żołnierską dzielność, a jednak stając, że tak się wyrażę, twarzą w twarz z pełzającym gadem, czuję strach i obrzydzenie. – Podeszedł do stolika, wziął krzesło i usiadł na nim okrakiem. – Wtedy, na tej pustyni, nie skupiałem się na własnych doznaniach, ale i tak przez cały czas mrowiło mnie w krzyżu. Dopiero potem zrozumiałem, że to był potworny strach. Nie taki, który nakazuje ucieczkę, ale obawa przed cholerną obcością. Nawet oślizłe, podobne do gadów zwierzęta z Ragona tak mnie nie przerażały.

– To dlatego od razu zacząłeś strzelać – mruknął Linneaux. – Nawet się nie zastanowiłeś.

– Możesz tak myśleć, doktorze. – Da Campa wzruszył ramionami. – Ale strzeliłem dlatego, że uznałem postępowanie obcego za atak. I nie tyle ich wygląd mnie przeraża, ile świadomość, że to istoty myślące. Że mają własną cywilizację. Cholera, grzechotnik nie konstruuje statków kosmicznych. Czy tam hoduje.

– Poza tym niczego o nich nie wiemy – odezwał się Ross. – Pan, doktorze,

wysuwał interesujące hipotezy, chociażby o ich technologii. Ale tak naprawdę mamy zbyt mało danych. Nasz statek orbituje, prawda? A ich? Gdzie jest? Bo przecież w bliskiej przestrzeni nie zdołaliśmy go namierzyć.

– Wcale go nie musi być – mruknęła Melinda. – Może go nie potrzebują.

– Co? – Linneaux spojrział na nią z zainteresowaniem. – Co przez to rozumiesz?

– Ja tego nie wymyśliłam, Georges. Rozmawiałam z Saskią i to ona powiedziała coś interesującego. Może oni nie mają zamiaru wracać? Dotarli tu jakoś, zapewne na pokładzie czegoś w rodzaju pojazdu międzygwiazdowego, ale to nie oznacza, że planowali podróż w drugą stronę. Ross sam stwierdził, że niczego o nich nie wiemy. Co, jeśli tak właśnie postępują przedstawiciele tej cywilizacji? Wysyłają osobniki swego gatunku na wyprawę, zbierają informacje za ich pośrednictwem, ale czy ściągają ich z powrotem? Także na Ziemi mieliśmy społeczeństwa, które życie jednostek miały za nic. To szczególnie ujawniało się podczas wielkich wojen.

– Równie dobrze może się okazać, że gdzieś ukryli statek. Albo konstruują czy też hodują nowy – zaproponował Linneaux.

– Może – zgodziła się Melinda. – Jesteśmy w stanie wymyślić milion teorii, ale nie mamy gwarancji, że którakolwiek okaże się prawdziwa. To obcy, ludzie! – podniosła nagle głos. – Obcy, rozumiecie?! Niczego nie będziemy wiedzieli na pewno, dopóki nie nawiążemy z nimi bliskich kontaktów. A i wtedy... Ile lat, ile dziesięcioleci musi upłynąć, byśmy poznali gatunek niepodobny do nas w żadnym calu?

Na chwilę zapanowało milczenie. Georges z przechyloną na lewe ramię głową myślał nad czymś.

– Wszystko zależy od tego, jak intensywnie będziemy się poznawać – powiedział wreszcie. – Mam nadzieję, że kiedy profesor i pułkownik porozmawiają z Centralą, rząd w trybie pilnym przyśle tutaj odpowiednio

liczną ekipę naukowców, przede wszystkim lingwistów, fizyków, matematyków, chemików i biologów. Nie takich wagabundów z tytułami jak my, ale najlepszych z najlepszych. Wtedy powinno pójść szybciej.

– Pytanie, czy tamci też tak rozumują – mruknął Stan.

– Jak wiesz, uważam, że tamtym śpieszy się bardziej niż nam. A profesor z pułkownikiem podzielają ten pogląd.

*

Roy patrzył na kolumny liczb. Wydruki leżały na pościeli, na stoliku przy łóżku, na podłodze. To były wiadomości od obcych. Czegoś chcieli, coś pragnęli najwyraźniej ustalić, jednak młody naukowiec nie potrafił się w tym połapać.

Poprzedniego wieczora przysłali krótką informację i tę sztuczna inteligencja odczytała bez najmniejszego problemu. Zawierała termin i miejsce spotkania. Miało się odbyć podobnie jak poprzednie – o tej samej porze doby lokalnej, w tym samym miejscu. Natomiast kilka godzin później nadeszły te zagadki liczbowe. A rano przysłała z nimi Lynn Sarkissian. Miała podkrążone oczy, widać było, że ślęczała nad danymi przez całą noc.

– Może ty coś z tego zrozumiesz – powiedziała. – Zdaje się, że to jakieś terminy zaklęte w języku matematycznym, ale nie potrafię ich odszyfrować. Sztuczna też jest bezradna. Za mało danych. Edwin również sobie nie radzi. Może profesor by coś z tego wyciągnął, ale ma teraz pilniejsze sprawy, gasi wrzenie w zespole cywilnym. Liczyłam na Linneaux, bo ma głowę nie od parady, lecz powiedział, że na widok takiej kupy cyferek dostaje regularnych mdłości. Masz tutaj dane w systemie ósemkowym i przełożone na dziesiętny.

– Przydałby się dobry matematyk – skonstatował Farra. – Bardzo dobry. Spróbuję coś z tego wyczytać, ale bez opracowania choćby podstaw

metajęzyka raczej niewiele zdołam ustalić.

Lynn pokiwała głową z ciężkim westchnieniem.

– To są jakieś formuły, co do tego nie mam wątpliwości. Przez chwilę nawet wydawało mi się, że odczytuję prawo powszechnego ciążenia, ale jeśli nawet tak, to jest ono ujęte jakoś inaczej.

– No właśnie. – Roy wpatrywał się w wydruki. – Trzeba by się spotkać, wskazać ziemię i ustalić nazwę. Potem można uzgadniać podobne terminy. Lecz jeśli masz rację, to by znaczyło, że obcy podchodzą do sprawy inaczej niż my. Że mają zamiar wymienić się wyższą wiedzą zamiast podstawowymi pojęciami.

– Ale pewności nie mamy – mruknęła Lynn.

– Istotnie, pani doktor, nie mamy. Kto by przypuszczał, że kontakt z inną cywilizacją może iść tak opornie i jakoś... – Zawiesił głos, szukając odpowiedniego słowa.

– Zwyczajnie? – spytała Sarkissian. – O to ci chodzi? Wszystko jest niezwykle, a jednocześnie zwyczajne. To znaczy problemy. Nie mamy kłopotów z samym nawiązaniem stosunków, tylko z ustaleniem wspólnej płaszczyzny. Zupełnie jak czasem wśród ludzi.

– Właśnie – ucieszył się lingwista. – Świetnie to pani ujęła. Niejednokrotnie nie rozumiemy się nawzajem, a chcemy zrozumieć inny gatunek. Jednak jest pewne „ale”. W stosunkach międzyludzkich wiemy zazwyczaj, czego nie potrafimy zrozumieć, a przynajmniej posiadamy wspólną platformę komunikacji. Zdajemy sobie sprawę ze stanów emocjonalnych drugiej strony. W przypadku wielkiego interesu czy w walce politycznej jest ustalony jakiś kod. Tu nie wiemy nic. Profesor porozumiewał się z przedstawicielem obcych gestami, ale miało to na celu głównie uspokojenie sytuacji. Nie mamy pojęcia, czy tamtym powiedziały cokolwiek jego ruchy, czy raczej fakt, że nie wykazywaliśmy agresji, poza reakcją sierżanta. Możemy

przyjąć, że powtarzanie przez obcego gestów profesora i odwrotnie stanowiło pewnego rodzaju porozumienie, lecz to przecież nic konkretnego.

Lynn zmrużyła ciemne oczy, sprawiając, że młody naukowiec wstrzymał oddech z wrażenia.

– Powinieneś, chłopcze, zastanowić się nad karierą polityczną. Urodzony z ciebie dyplomata. Najpierw powiedziałeś „Świetnie to pani ujęła”, a potem udowodniłeś, że plotę bzdury. I to w taki sposób, że nawet na chwilę nie podniosło mi się ciśnienie, a nie cierpię, kiedy ktoś mnie krytykuje.

Farra zaczerwienił się lekko, a kobieta spojrzała na stos wydruków, skrzywiła się i wyszła. Od tamtej pory lingwista próbował zinterpretować wiadomości przysłane przez obcych. Stwierdził z dużą dozą pewności, że zaznaczona markerem domniemana formuła rzeczywiście opisuje prawo powszechnego ciężenia. Lynn nie miała wielkiego pojęcia o fizyce, on także nie posiadał takiego wykształcenia, ale interesował się tą dziedziną amatorsko. Musiał przyznać, że Sarkissian i tak świetnie sobie radziła. Trudno rozpoznać banalny przecież wzór, nie mając określonych jednostek masy czy odległości, tylko na podstawie zapisu liczbowego. Stała grawitacji też nie została wyrażona symbolem, lecz osobnym wzorem. Na szczęście obcy przekazali informacje dotyczące własnych technik zapisu działań matematycznych, nawet potęgowania i pierwiastkowania.

Pierwsze wydruki zawierały takie właśnie dane, zresztą ludzie wysłali już w drugą stronę podobne informacje. Tutaj SI nie miała problemu z ich przeliczaniem i interpretacją. Ale do rozszyfrowania reszty przekazu trzeba było czegoś więcej niż praktycznie nieograniczonych możliwości obliczeniowych. A raczej kogoś więcej. Człowieka. Roy pomyślał, że do pracy powinno się zaprząć wszystkich na stacji. Tylko że załoga miała inne obowiązki, a wśród cywilnej jej części zapanowała gorączkowa krzątanina i na nowo wybuchły konflikty. Za kilkanaście godzin miała powrócić łączność

z Centralą. Wprawdzie Dethardt zapowiedział, że nikogo nie dopuści do komunikatora kwantowego, ale chodziło o zbyt wielkie pieniądze, żeby cywile na niego nie naciskali, licząc, że się złamie. A w takim układzie ważna była kolejność dostępu. Na giełdach niejednokrotnie decydowały nie godziny czy minuty, ale sekundy, w skrajnych przypadkach zaś ułamki sekund.

Roy również powinien zgłosić się z informacją do trustu małych firm wydobywczych, które sponsorowały jego udział w wyprawie, ale po pierwsze, akurat on nie mógł liczyć na wielką premię, nie została bowiem zagwarantowana w kontrakcie tak młodego naukowca, a dobre serce u przemysłowców było rzadszym zjawiskiem niż śnieg na Słońcu, po drugie, nie mógł nic zrobić, unieruchomiony w lazarecie, po trzecie zaś, i tak by się nie awanturował. To nie leżało w jego naturze. Nie mówiąc już o tym, że z racji niewielkiego doświadczenia i faktu, że dopiero starał się o stopień doktora, zostałby automatycznie zepchnięty na koniec kolejki.

Opadł na wznak i przymknął oczy. Podwyższona grawitacja sprawiała, że szybciej się męczył oparty o poduszkę, nie mogąc usiąść na skraju łóżka. Tego ostatniego zabroniła mu stanowczo Saskia. W ogóle miał leżeć, ale czuł się już na tyle dobrze, że nie mógł wytrzymać wpatrywania się w holo z filmami albo w biały sufit.

Niechże jutro prześlą te dane do Centrali i zatrudnią sztab fachowców. To, co na stacji zajęłoby pewnie parę dni, tam powinni zrobić w ciągu godzin. Ale i tak nic nie zastąpi żywego kontaktu, jeśli chodzi o ustalenie tu i teraz słownika konkretnych pojęć, aby można było w miarę szybko podjąć konstruktywne rozmowy, a na tym najwyraźniej obcym bardzo zależało.

I kiedy tak leżał, nagle dotarło do niego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni. Nie chodziło o jego rękę, ale o kontakt. Do tej pory wciąż przeżywał coś w rodzaju szoku po wiadomości, że ludzkość nie jest jednak sama we wszechświecie. Nie jest sama nawet we własnej Galaktyce! Szok

spowodował, że przyjął to najpierw z niedowierzaniem, a potem po prostu pogodził się z nową sytuacją. Zresztą do zespołów badawczych wysyłanych na dalekie wyprawy werbowano ludzi nastawionych zadaniowo. Nowa sytuacja nie miała skłaniać do pogrążania się w refleksjach, ale przede wszystkim do działania. Pewnie, w każdej grupie znalazł się zawsze ktoś skupiony na analizach, ale jako całość ekspedycja powinna dokonać możliwie szczegółowej oceny warunków i przygotować grunt pod przyjęcie pierwszych osadników. Najczęściej też nie pozostawała na planecie czy księżycu do pojawienia się statków ze sprzętem wydobywczym i przemysłowym. To by było marnotrawstwo, każda doba wyprawy wiązała się wszak z kosztami.

Ale teraz? Teraz rząd powinien sprawić, by wielkie firmy nie wchodziły na razie na planetę. Ludzie powinni się skupić na kontakcie, na poznaniu obcego gatunku, na nawiązaniu dobrych stosunków. Zdarzyła się rzecz bez precedensu w historii ziemskiej cywilizacji. Roy nie mógł sobie wyobrazić niczego bardziej ekscytującego. I dotarło to do niego właśnie tutaj, gdy miał mnóstwo czasu na rozmyślanie, przykuty do łóżka.

Poczuł nagle wielką radość. To stało się za jego życia i miał szansę jeszcze długo być świadkiem dojrzewania owoców tego wiekopomnego wydarzenia.

Wrócił do liczb i formuł, ale był zbyt podekscytowany, żeby efektywnie pracować. Niemniej potwierdził wniosek, że obcy nie próbują budować słownika najprostszych pojęć, lecz chcą ustalić na początek świat formuł fizycznych i matematycznych.

– Cóż, może to nie takie głupie – mruknął do siebie. – Może tak istotnie jest lepiej. Matematyczne postrzeganie rzeczywistości najwyraźniej mamy zbieżne, przynajmniej w jakimś stopniu.

Pomyślał, że zbyt przywiązał się do swojej koncepcji opracowania wspólnej bazy pojęć od szczegółu do ogółu. Założył w dodatku, być może błędnie, że obcy mają w ogóle pojęcie języka w ludzkim znaczeniu.

Po chwili namysłu skontaktował się z profesorem.

*

Vinduke Wędrowiec Po Niebie oderwał kończynę od płytki informacyjnej. Niedawno otrzymał wiadomość od Podróżnika W Mroku, że ludzie odpowiedzieli. Potwierdzili miejsce i czas spotkania, podali również zasady rządzące ich zapisem matematycznym. I przysłali część formuł oraz wzorów we własnym systemie. Przede wszystkim uproszczone prawo grawitacji, do tego zapewne przyśpieszenie i zasady termodynamiki. Odszyfrowanie ich nie powinno zająć wiele czasu. Takie postępowanie zdawało się oczywiste, bo rozwinięta cywilizacja nie może obejść się bez o wiele bardziej skomplikowanych obliczeń niż te podstawowe. Ale wszystko to było potrzebne, aby ostatecznie przekonać się, że jest możliwe porozumienie na wspólnych zasadach.

Połączył się z Ostrzem Światła.

– Czcigodny vengu, otrzymałeś materiał od sanduke?

– Oczywiście.

– Sądzisz, że powinniśmy od razu podjąć próbę porozumienia się z obcymi co do zasad wydobywania tutejszej sangis? Mamy coraz mniej czasu.

Ostrze Światła przez chwilę milczał.

– Może nie od razu – nadał wreszcie. – Obawiam się, że możemy zostać źle zrozumiani. Najpierw opracujmy bardziej szczegółowe zasady komunikacji. Na razie to tylko wymiana formuł naukowych, ustalanie wspólnej zasady. Trzeba będzie nadać znaczenie pojęciom, tym prostszym również, a może przede wszystkim.

– Masz rację, czcigodny vengu. – Wędrowiec Po Niebie mimowolnie rozblęsnął w podziwie, choć rozmówca nie mógł tego zarejestrować. – Wiemy

już, że zupełnie inaczej postrzegamy rzeczywistość, a to na pewno przekłada się na świat pojęć dotyczących otoczenia czy funkcjonowania wspólnot społecznych. Nie wiemy nawet, czy obcy posiadają system kastowy.

– Powinni, bo jest on najbardziej naturalny – zauważył Ostrze Światła. – Nawet jeśli nie przypomina naszego, właśnie taki powinien u nich istnieć. Jak inaczej osiągnąć wysoki poziom rozwoju?

– Tego jednak nie wiemy – zaoponował vinduke. – Wydaje się to nieodzowne, ale czy tak istotnie jest? Przekonamy się. Na razie lepiej nie robić żadnych założeń. Musimy ich bliżej poznać. Wiemy tyle, że potrafią strzec swoich tajemnic nie gorzej niż my, i w tym są do nas podobni. Tym bardziej powinniśmy jak najszybciej ustalić płaszczyznę komunikacji. Do czasu spotkania wymieniamy jak najwięcej pojęć i formuł naukowych. A do szczegółów przejdziemy podczas tego spotkania i następnych.

– Zgadzam się, czcigodny – odpowiedział vengu. – Niech nasi badacze nie przerywają kontaktu ani na period. Niech świadomość lokalnej otchłani poświęci większość mocy na pomoc w interpretacji materiału badawczego.

*

Profesor patrzył po twarzach zebranych w mesie naukowców, zarówno z zespołu cywilnego, jak i grupy mieszanej. Zgromadziło się dwadzieścia osób, reszta pracowała. SI cały czas przyjmowała, przesyłała, kodowała i dekodowała formuły matematyczne oraz fizyczne, zarówno w systemie dziesiętnym, jak i ósemkowym. Tylko że Dethardt uparł się, aby każda wysyłana wiadomość przechodziła najpierw przez ludzkie ręce. „Nie powinniśmy im dawać wszystkiego. Szczególnie czegoś, co mogłoby im powiedzieć coś o naszych sposobach podróżowania w przestrzeni, o łączności kwantowej, a już na pewno o położeniu Ziemi i kolonii. To dane strategiczne”.

Oczywiście sztuczna inteligencja otrzymała odpowiednie instrukcje, ale pułkownik uważał, że i tak wszystko powinni nadzorować ludzie. Profesor nie zamierzał o to kruszyć kopii, zresztą sam zgadzał się z takim poglądem. Jeśli już pilnować swoich spraw, to porządnie i do końca.

– Posłuchajcie, moi państwo – zaczął. – To nie jest narada z czasem przewidzianym na dyskusję. Nie będzie żadnych kłótni. Dopuszczam pytania i uwagi, ale tylko jeśli zezwolę... – Urwał, bo jeden z cywilnych naukowców już uniósł rękę. – Słucham, Cyntio – westchnął. – To coś ważnego?

– Niesłuchanie ważnego – powiedziała geolog. – Powinien pan wpłynąć na pułkownika Detharda, żeby pozwolił nam na kontakt z pracodawcami!

Natychmiast rozległo się więcej głosów, ale umilkły, kiedy Solimow podniósł rękę.

– O tym rozmawiać nie będziemy. Popieram decyzję pułkownika. W zaistniałej sytuacji najpierw rząd federalny musi podjąć odpowiednie decyzje, a dopiero potem może zacząć się lobbowanie.

– Ale nasze premie...

– Ja też nie dostanę premii! – uciął szef cywilny wyprawy. – To nie jest najważniejsze. Czy niektórym z was, ludzie, pieniądze przesłaniają wszystko? Nawiązaliśmy kontakt z obcą cywilizacją. Już niedługo poinformujemy o tym władze, próbujemy stworzyć możliwości komunikacji, a wy... – Machnął ręką. – Dość o tym.

Popatrzył raz jeszcze po twarzach. Stan Sordis mrugnął do niego, jakby chciał dodać mu otuchy.

– Rozmawiałem z naszym lingwistą Royem. Przez ostatnie godziny studiował przekazy obcych. Między innymi dzięki niemu wszystko idzie szybciej, bo miał kilka dobrych pomysłów...

– Ale nie pakował ręki, gdzie nie trzeba? – odezwał się Manuel Lobo.

Sordis wstał i spojrzał młodemu geologowi prosto w oczy.

– Profesor prosił, żeby nie otwierać paszczy bez pozwolenia. Przypomnieć ci, czym się kończy takie kłapanie dziobem, czy zawołać sierżanta, bo teraz chyba będzie jego kolej?

Lobo wydał pogardliwie wargi, ale zaraz skrzywił się, bo były jeszcze mocno spuchnięte i krwawiły.

– Dziękuję, poruczniku, ale proszę bez rękoczynów – rzekł Solimow. – A teraz do rzeczy. Roy ma pewne przemyślenia na temat języka obcych. Otóż mogą oni różnić się w tym względzie od nas bardziej, niż sądziliśmy. I nie chodzi o sprawy strukturalne, lingwistyczne czy pojęciowe, ale kardynalne. Dla nas język oznacza jakąś wspólną platformę komunikacji. Ludzkość w swojej historii miała tysiące języków, narzeczy, dialektów czy gwar. Nie rozumieliśmy się nawzajem, uczyliśmy się obcych słów, opanowywaliśmy gramatykę. Tymczasem sposób porozumiewania się obcych wyklucza takie problemy. Roy uważa, że nie dorobili się oni różnorodnych języków. Mogą występować jakieś różnice na poziomie komunikacji akustycznej, mogły dawniej występować różnice regionalne w zapisach matematycznych, ale koniec końców masowe nadawanie na falach radiowych na pewno spowodowało unifikację.

– Bzdura – powiedziała Vanessa Temple, kiedy profesor udzielił jej głosu. – To tak, jakby stwierdzić, że ludzie nie mówią różnymi językami, bo używają aparatu akustycznego, który zawsze działa tak samo. Co za problem, żeby sekwencja częstotliwości w jednym języku coś znaczyła, a w innym nie znaczyła nic albo zupełnie coś innego? Na pewno zdaje pan sobie z tego sprawę, profesorze.

Solimow uśmiechnął się.

– Oczywiście, pani doktor, i dziękuję za tę uwagę. Ale nasz lingwista nie wziął sobie tego z powietrza i nie jest to skutek niewiedzy. O to go chyba nie podejrzewacie. No dobrze, jego postępowanie podczas spotkania nie było

rozsądne, ale to piekielnie inteligentny młodzieniec. Jego teoria opiera się na czymś innym. Otóż uważa on, że obcy porozumiewają się między sobą językiem matematyki. System ósemkowy temu sprzyja, nieprzypadkowo był dawniej wykorzystywany przez programistów komputerowych. Dla naszej SI też jest w dużej mierze naturalny.

– Znaczy jak, wzorami do siebie nadają? – zdziwił się Odilo Sammenhall. – Tangens trzydzięści stopni minus siedem koma pięć razy osiemset pięćdziesiąt trzy to na przykład „Kocham Cię”?

– W ogromnym uproszczeniu o to chodzi. Tylko z tymi stopniami bym uważał, bo to pozostałości naszego systemu sześćdziesiątkowego, którego obcy raczej nigdy nie stosowali. – Profesor zaśmiał się. – Zresztą Roy wspominał już przedtem, że matematyka może być znakomitą bazą dla metajęzyka. A tutaj możemy mieć do czynienia z sytuacją, w której druga strona posługuje się właśnie metajęzykiem.

Sordis uniósł rękę.

– Czyli istnieje możliwość, że to, co nam przysłali, zawiera konkretny komunikat?

– Istnieje – przytaknął Solimow. – Ale ponieważ zawiera również wzory fizyczne, a nie tylko materiał matematyczny, chodzi raczej o ustalenie podstaw kodowania informacji i wymianę wiedzy, zanim przejdziemy do konkretów. Przy czym to tylko hipoteza, jak wszystko, co dotyczy obcych. Ale bardzo prawdopodobna.

O głos poprosił Georges Linneaux.

– Panie profesorze, nie wszystko, co wiemy o obcych, to hipotezy. Wiemy na przykład, że nie używają maszyn w naszym pojęciu, ale biologicznych urządzeń. Wiemy, że mają niższą temperaturę ciała i są w jakimś zakresie zmienności, co zarejestrowały podczas bezpośredniego kontaktu nasze urządzenia. Wiemy, że poruszają się na czymś w rodzaju płóz, chociaż sama

natura ich działania jest jeszcze dla nas zagadką.

– I wiemy, że nie wolno do nich wyciągać łap – burknął Lobo, ale zaraz umilkł skarcony wzrokiem zarówno przez Solimowa, jak i Sordisa.

– Jesteś debilem, Manuelu – rzucił tylko egzobiolog i ciągnął: – Wiemy, że mieszkają pod ziemią, a przede wszystkim, że szukają tutaj jakiejś nieznaney nam substancji.

– A właśnie. – Ciril Ragonky podniósł rękę. – Wiadomo już, co to jest? Zrobiliśmy badania?

Profesor potrząsnął głową.

– Na razie nasze skanery niczego nie wykryły. W tym miejscu wszystko wygląda jak skała, nic interesującego. A nie dysponujemy tutaj techniką, która by pozwalała na wprowadzenie substancji w rezonans infradźwiękami. Trzeba by robić odwierty, co z kolei mogłoby nie spodobać się naszym nowym przyjaciołom. Zobaczymy, co postanowi Centrala. Już naprawdę niewiele czasu zostało do połączenia. Z mojej strony to wszystko. Są jakieś pytania?

Pięciu pracowników cywilnych podniosło rękę, w tym Cyntia van Hoen.

– Bez przesady. – Solimow skrzywił się. – Już mówiłem, że nie będę o nic prosił pułkownika. Koniec narady. Czekamy teraz, co powie Ziemia, to znaczy Ministerstwo Eksploracji Kosmicznej i rząd federalny.

*

Planeta znajdowała się bardzo blisko perycentrum swojego obiegu wokół Izydy. Powietrze rozgrzało się do trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza, co było czuć nawet w kombinezonie. Wprawdzie układy chłodzenia działały bez zarzutu, ale promieniowanie gwiazdy zdawało się przenikać swobodnie przez termostatyczny materiał. Było to jednak całkiem przyjemne. Ronald tylko dwa razy był na Ziemi, ale zapamiętał właśnie takie uczucie, kiedy szedł w pełnym

słońcu alejkami Parku Narodów, a promienie rozgrzewały ubranie, jakby chciały zajrzeć pod spód i dotknąć skóry.

– Piękne – mruknął Sordis, obserwując razem z Rossem spektakl „mgły powietrznego planktonu”, jak zaczął ostatnio określać to zjawisko młodszy z pilotów.

Mimo gorączki związanej z kontaktem naukowcy nie porzucili innych badań. Zarówno agendy rządowe, jak i koncerty stawiały przed uczestnikami wyprawy konkretne cele. Górnicy czy koloniści musieli przylecieć w pewne miejsce, uzyskać informacje, jak mają się w nim poruszać i jakie czyhają na nich niebezpieczeństwa.

Zespół egzobiologów uznał wreszcie po długich deliberacjach, że ukochane chmury Rona, składające się z drobnych organizmów, najbardziej przypominają jednak ziemski morski plankton, chociaż istniała zasadnicza różnica. Prawdziwy plankton składa się z drobin życia, które nawet jeśli potrafią się poruszać, to jako całość są bierne, uzależnione od prądów morskich. Tutejsze chmury natomiast wykazywały sporą, jeśli nie pełną autonomię pod tym względem. No i unosiły się w powietrzu, a woda była dla nich zabójcza, inaczej niż w przypadku poznanych dotąd form życia tego typu. Potwierdziła się hipoteza Georges’a Linneaux, że drobiny, których dosięgną fale, obumierają wprawdzie, lecz jest to nieodzowne dla funkcjonowania ekosystemów, gdyż wchodzą w łańcuch pokarmowy i opadając na dno oceanu, stanowią ważne uzupełnienie diety przydennych zwierzo-roślin i zwierząt. Wyglądało na to, że najmłodsze, najsilniejsze osobniki stanowiły zwieńczenie skupiska, a niżej znajdowały się starsze, niemające dość sił, aby przebijać się ku górze. Za to przekazywały pozyskane substancje odżywcze współpracownikom zdolnym do szybszych ruchów, a przede wszystkim do rozmnażania.

– Tak, piękne – rzekł Ron. – Piękne i okrutne.

Sordis zaśmiał się cicho.

– Nie pamiętam już dokładnie gdzie, ale kiedyś przeczytałem, że piękno bywa okrutne, a w okrucieństwie może tkwić załóżek piękna.

– To głupie – zachnął się porucznik.

– Głupie, zgadzam się, ale też szalenie efektowne. Ludzie lubią takie zabawy estetyczno-logiczne. Ciekawe, czy obcy też.

Na wzmiankę o obcych Ron lekko drgnął.

– Jak pan myśli, co z tego wszystkiego wyniknie?

– A to mi zadałeś pytanie! – Stan zaśmiał się bez śladu wesołości. – Nie wiem, chłopie. Mam nadzieję, że coś dobrego, jednak znam ludzi i zdaję sobie sprawę, że potrafimy być genialni, ale też umiemy wszystko koncertowo spieprzyć.

– Sądzi pan, że tamci są tacy sami?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że jednak bardziej niż my polegają na logice. Pytanie tylko, czy ich logika przypomina w jakimkolwiek stopniu coś, co znamy.

Ross zmarszczył brwi, odwrócił głowę i spojrzał na porucznika doktora. Niestety, przez szkło hełmu, odbijające promienie Izydy, nie mógł zobaczyć twarzy Sordisa, odgadnąć, czy mówi poważnie, czy sobie kpi.

– Przecież logika jest tylko jedna – zauważył. – Opiera się na aksjomatach, dowodach, rachunku zdań i kwantyfikatorów.

– Mówisz o logice klasycznej, a ja mam na myśli raczej społeczną. Tak, wiem, że taka gałąź wiedzy nie istnieje, ale jest sylogistyka modalna czy też logika modalna. Pojęcia możliwości, konieczności i ich wariantów. Tylko że dla mnie byłoby interesujące dokonywanie analiz w kontekście społecznym. Zupełnie nie wiemy, jaka jest struktura społeczeństwa obcych. Obstawiamy, że to coś w rodzaju systemu klasowego czy nawet kastowego, ale stawianie na to przypomina mi bardziej grę w pokera niż w szachy. Nie mamy pojęcia, jakie karty ma w ręku przeciwnik, jaką przyjmie strategię, czy będzie grał tym, co

dostał, czy też zacznie blefować.

Ronald pokiwał głową, choć porucznik doktor nie mógł tego widzieć.

– Nie wiemy nawet, czego tutaj szukają. Możemy się jedynie domyślać, że są wyprawą podobną do naszej. Oczywiście jeśli można w ogóle mówić o podobieństwach.

– Właśnie, Ron. Na razie nie wiemy właściwie nic ważnego, nie posiadamy strategicznych informacji. A to, co niby wiemy, również nie jest pewne. Pamiętasz, co Georges mówił o zmienności obcych? W naszej biologii oznacza ona, że organizm jest uzależniony od promieniowania słonecznego. Tak funkcjonują ziemskie, salgańskie czy kartuzjańskie gady. Ale tutaj wygląda na to, że zmienność wynika z wewnętrznego funkcjonowania ameb. To sam organizm decyduje o temperaturze ciała. Pytanie, czy dzieje się to na poziomie uświadomionym, czy jest procesem fizjologicznym, na przykład reakcją na stres, czy nie stanowi jakiejś pozostałości ewolucyjnej.

Ross zapatrzył się w tańczącą chmurę. Właśnie pękła na trzy części. Środkowa była najszersza, dwie pozostałe wydawały się idealnie równe. Utworzyła dwa korytarze, które już po chwili zaczęły się wypełniać organiczną materią, łącząc się pośrodku w kształt klepsydry, a potem sklejjąc na powrót w mglisty monolit. Dołem i górą falowała wciąż zgodnie z ruchami wody.

– Oni pewnie wiedzą o nas równie mało – rzekł.

– Miejmy nadzieję, bo inaczej mogłoby to się okazać groźne. Pamiętaj, że informacja bywa bronią skuteczniejszą od bomb, karabinów i laserów.

Razem śledzili teraz taniec chmury.

– Masz rację, Ron – powiedział po chwili Sordis – to piękne widowisko. Ale nie gniewaj się, na dłuższą metę jest nudne. Pójdę już.

– Jasne, poruczniku. Ja jeszcze popatrzę. Może nie jestem do końca normalny, ale mnie to wcale nie nuży...

W tej chwili w słuchawkach rozległ się cichy pisk, a potem głos dyżurnego:

– Natychmiast powrót na stację. Wszyscy przebywający poza terenem zamkniętym, natychmiast powrót na stację!

– Co się stało? – rzucił Stan. – Alarm? Dlaczego nie został ogłoszony zgodnie z regulaminem?

– To nie alarm – odparł dyżurny. – Wezwanie pułkownika Dethardta, priorytet jeden. Nie ma zagrożenia.

Priorytet jeden oznaczał, że wszystkie zespoły miały się stawić w związku ze sprawą niecierpiącą zwłoki. To mogło się wiązać z przywróceniem łączności kwantowej. I tym bardziej było niepokojące.

*

– Kontakt się zerwał, czcigodny vengu i czcigodny vinduke.

Upojny Wiatr cały promieniował niepokojem. Obaj starsi otrzymali już informację i patrzyli teraz na verduke w gnieździe Wędrowca Po Niebie.

– Uszkodzeniu uległy nasze odbiorniki czy nadajniki obcych? – spytał Ostrze Światła.

– Nasze urządzenia są sprawne – odpowiedział najstarszy badacz. – Osobiście je sprawdziłem. Zresztą wszystkie są młode, zostały niedawno wyhodowane już na tej planecie. Nie powinny zawodzić. A poza tym są jeszcze nasze zmysły. Tymczasem ucichło wszystko. Zupełnie jakbyśmy pozostali sami na całym globie.

– To niemożliwe. Nie mogliby się ewakuować w tak szybkim tempie. Nie zarejestrowaliśmy żadnych ruchów po tamtej stronie. Zdaje się tylko, że wszystkie ich pojazdy wróciły do lokalnej otchłani. Tak wynika z danych przekazywanych przez urządzenia rozmieszczone wokół ich siedziby.

Vinduke i vengu milczeli długo.

– My wciąż nadajemy? – upewnił się Wędrowiec Po Niebie.

– Tak, czcigodny – rzekł verduke. – Nie wiemy jednak przecież, czy wiadomości są odbierane. Lecz, pozwolę sobie powtórzyć, obcy zaprzestali nadawania. Nagle, dosłownie w połowie przekazywanej informacji.

Znów zapanowało milczenie. Wędrowiec Po Niebie skonstatował, że w tej chwili przydałby im się analityczny umysł Rwącego Sieć. Pełzający Głaz był genialnym matematykiem, ale nie potrafił tak sprawnie łączyć informacji w nietypowe konstrukcje jak ten nieporadny w innych kwestiach odike. Tak, powinni byli dać mu chwilę wytchnienia i możliwość Zjednoczenia przed pierwszym pełnym kontaktem. Za ten błąd lepszych przyjdzie starszemu badaczowi zapłacić.

– Będziemy nadawać dalej – zdecydował vengu. – Ale nie nowe komunikaty, tylko to, co zostało wysłane od chwili zerwania łączności. I niech tak będzie aż do czasu wyznaczonego spotkania. Jeśli obcy się zjawią, być może uda się wyjaśnić, co zaszło. Jeśli nie, przerwiemy transmisję i zbierzemy wszystkich naukowców, aby podjąć decyzję, co robić dalej.

Kiedy Upojny Wiatr oddalił się, aby wykonać polecenie, Ostrze Światła zwrócił się do Wędrowca Po Niebie:

– To niezmiernie dziwna sprawa, czcigodny. Czy nie powinniśmy natychmiast skontaktować się z Władcą Leja Przestrzeni?

– Poczekajmy jeszcze dobrą chwilę – odparł vinduke. – Wiesz, czcigodny, że za nieuprawnione połączenie czeka nas oba surowa kara. Władcy nie tolerują marnowania ich czasu i nieuzasadnionego postarzania urządzeń komunikacyjnych najdalszego zasięgu.

– Słusznie, czcigodny – zgodził się vengu. – Przemawia przez ciebie rozum. Wszak jeszcze nie dzieje się nic, co by zagrażało bezpośrednio nam i zadaniu, jakie mamy wykonać.

*

– To po prostu paranoja! – zawołał Linneaux. – Jak to nakazali zaprzestać komunikowania się z obcymi ze skutkiem natychmiastowym?!

Pułkownik spojrzał na naukowca jak pies na muchę i już otworzył usta, żeby potraktować po swojemu bezczelnego cywila, który mu przerwał, ale zrezygnował. Nie tylko egzobiolog był wzburzony. Na twarzach wszystkich zgromadzonych złość mieszała się ze zdumieniem i niedowierzaniem.

– Taka jest decyzja Centrali autoryzowana przez przedstawicieli rządu i Ministerstwa Eksploracji Kosmicznej. Oddyłem z nimi dość długą rozmowę. Nie zwykłem się nikomu tłumaczyć, ale możecie mi wierzyć, że zrobiłem wszystko, aby ich przekonać.

Solimow patrzył ze współczuciem na Dethardta. Nie był świadkiem tej rozmowy, przedstawiciele rządu bowiem nakazali mu wyjść, kiedy tylko usłyszeli o nawiązaniu kontaktu z obcą cywilizacją. Usłyszał tylko jedno pytanie, jakie komunikator splątaniowy przekazał nieszczęsnemu Romulusowi:

– Czy wprowadził pan stan wyjątkowy na stacji?

I odpowiedź pułkownika, że tego nie przewidują żadne znane procedury.

Już później Dethardt wyjawiał profesorowi, że dostał taką połajanę, jakby sierżant w koszarach wyzywał się na największej niezgule oddziału.

– Dobrze, że cię nie było – oznajmił. – Po tym, co usłyszałem, powinienem wziąć teraz służbową broń i strzelić sobie w łeb. Według nich wszystko zrobiliśmy źle. Okazuje się, że nie powinniśmy podejmować żadnych działań aż do nawiązania połączenia z Centralą.

– Przecież to idiotyczne! – zirytował się Solimow. – Mieliśmy zlekceważyć obecność innej cywilizacji?

– Właśnie tak. Według tych gryzipiórków powinniśmy udawać, że niczego nie widzimy ani nie słyszymy, i czekać na wytyczne. Mamy im teraz przesłać

wszelkie dane i ustalenia, zdać pełny raport z działań, a potem czekać. A na razie zerwać łączność z obcymi i zachowywać się, jakby nic się nie zdarzyło.

Profesor pokręcił głową. Wiedział, że w rządzie i ministerstwie nie siedzą najtęższe umysły, bo trudno tego w końcu wymagać od polityków, ale to wydawało się po prostu głupie.

– Znaczy co? Zerujemy kontakty?

– Trafnie to ująłeś. Zerujemy. Zupełnie jakby ich nie było. Obcy dla nas nie istnieją aż do czasu, kiedy rządzący zdecydują inaczej.

Mówiąc to Solimowowi, Dethardt wyglądał, jakby miał dostać zawału. Ale teraz, stojąc przed personelem, sprawiał wrażenie oazy spokoju.

– A co z naszym dostępem do komunikatora? – spytała natychmiast Cytia van Hoen. – Musimy przecież powiadomić pracodawców...

Solimow skrzywił się, oczekując na wybuch wściekłości pułkownika, ale ten tylko warknął:

– Niczego nie musicie, a dostęp do centrum łączności jest zablokowany. Dla wszystkich poza mną. Przed drzwiami do sali będzie stało dzień i noc dwóch wartowników.

– Pan profesor też nie ma tam wstępu? – padło oczywiste pytanie.

– Też – burknął Dethardt. – Taka zapadła decyzja. Aha, zostałem jeszcze zobligowany do ogłoszenia stanu wyjątkowego na stacji.

Zapadła cisza. Wreszcie rękę podniósł Edwin Stark.

– Przepraszam za głupie pytanie, panie pułkowniku, ale z czym to się wiąże? Bo nie bardzo rozumiem. O ile wiem, stan wyjątkowy to obostrzenia dotyczące opuszczania stacji, zezwoleń na używanie urządzeń i tak dalej. Do centrum łączności i tak nie mamy teraz wstępu, ostatnie słowo we wszystkim mają tak naprawdę wojskowi, więc...

Dethardt machnął ręką, jakby odganiał natrętnego owada.

– Z niczym się nie wiąże, tylko ja będę miał więcej papierkowej roboty

z codziennymi raportami. Sami wiecie, że alerty wszelkiego stopnia są bardziej czytelne dla załogi i związane z konkretnymi procedurami. Dlatego nie ogłaszałem stanu wyjątkowego po nawiązaniu kontaktu. Podczas wypraw badawczych reżim w nim przepisany obowiązuje permanentnie. Ale teraz nakazano mi go ogłosić. Zatem ogłaszam i proszę o przyjęcie tego do wiadomości. SI – zwrócił się do mózgu stacji – zaprotokołuj, że w dniu dzisiejszym o godzinie – spojrzął na zegar – siedemnastej zero dziewięć czasu uniwersalnego został na terenie stacji wprowadzony stan wyjątkowy w związku z zagrożeniem, jakie stanowi kontakt z nieznaną nam cywilizacją.

– Zaprotokołowano, panie pułkowniku – odparł miękki głos. – O godzinie siedemnastej zero dziewięć czasu uniwersalnego decyzją dowódcy wojskowego ekspedycji numer siedem-dziewięć-trzy-zero b na terenie stacji planetarnej ZX osiemset pięćdziesiąt został wprowadzony stan wyjątkowy. Czy cywilny dowódca wyprawy potwierdza tę decyzję?

– Potwierdza, potwierdza – rzekł profesor.

Tak naprawdę nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie, szczególnie że wszystko działało się na rozkaz Centrali, ale takie były wymogi formalne. Mógł się sprzeciwić, co zostałoby odnotowane, a motywy sprzeciwu szczegółowo zbadalaby specjalna komisja. Tylko tyle i aż tyle. Zamiast odpoczywać, naukowiec musiałby brać udział w jałowych posiedzeniach i tłumaczyć się, dlaczego nie chciał uznać nakazanej przez władze decyzji pułkownika.

– Cholera ciężka! – przeklął kapitan Steven Ballard. – Dowódco, mamy rozumieć, że udajemy, że obcy nie istnieją?

– Tak macie to rozumieć! – odparł pułkownik. Maska kamiennej cierpliwości zaczynała go już mocno uwierać. – Co tu jest niejasne? Zerwaliśmy połączenie z ameba... z obcymi! A teraz w Centrali, w rządzie i pewnie w Radzie Kolonii zaczynają się rozmowy, narady i mediacje.

– Czyli kłótnie, podchody, kopanie się po kostkach i zastanawianie, jak to

wszystko wykorzystać, aby usrać przeciwników politycznych – nie wytrzymał Linneaux.

Dethardt popatrzył na niego lodowatym wzrokiem i mierzył tak bardzo długo, ale tym razem wściekły naukowiec nie skulił się pod surowym spojrzeniem. Wreszcie pułkownik pokiwał głową i powiedział krótko:

– Właśnie tak.

Rozejrzył się po zgromadzonych.

– Koniec zebrania. O nie, żadnych pytań już nie będzie.

*

Dwie godziny później profesor siedział w kwaterze pułkownika. Był już wiele razy w pomieszczeniu zajmowanym przez dowódcę wojskowego, ale zawsze rozglądał się po nim z ciekawością. Wprawdzie teoretycznie wszystkie kajuty wyglądały tak samo, różniąc się jedynie wielkością w zależności od statusu mieszkańca, jednak ludzie niezmiennie odciskali na nich unikalne piętno. I tu nie było inaczej. Oczywiście, jak należało się spodziewać, wszystko zostało urządzone ascetycznie i minimalistycznie, ale zdjęcie syna na uchylnym blacie biurka pod ścianą, ciepły, kolorowy i zupełnie nieregulaminowy koc złożony w regulaminową kostkę na nienagannie zasłanym łóżku, miękkie, absolutnie cywilne wełniane bambosze ustawione równiutko przy szafie świadczyły, że Dethardt nie jest tylko maszyną do wydawania rozkazów i uprzykrzania życia podwładnym, jak był postrzegany przez zdecydowaną większość ludzi na stacji. Niemniej nawet takie drobiazgi, jak koc od żony i kaptcie od syna, musiały mieć swoje jasno określone miejsce i spoczywać w odpowiednim porządku.

Dethardt był wojskowym do szpiku kości, chociaż jego nawyki porządkowe, bardziej pasujące do podoficera niż pułkownika, mogły irytować.

Wskazał profesorowi plastikowy fotel przy małym stoliku pod ścianą przeciwną do tej z biurkiem, a sam usiadł na drugim.

– Właśnie odbyłem niezwykle interesującą rozmowę z sekretarzem do spraw bezpieczeństwa, ministrem obrony i admirałem floty – rzekł. – Właściwie nie była to rozmowa sensu stricto, ale kolejna połajanka. I oczywiście otrzymałem następne polecenia.

Wstał i podszedł do szafki przy łóżku. Przez chwilę się wahał, ale potem machnął ręką i otworzył ją. Wydobył dwa kubki oraz butelkę jasnożółtego płynu.

– Niech to diabli – burknął. – Trzymałem ten rum, żeby uczcić zakończenie tej cholernej wyprawy, ale to też jest niezła okazja. – Spojrzał na Solimowa i zmarszczył brwi. – Napijesz się, mam nadzieję? Jeszcze nigdy nie odmówiłeś, ale... – Zawiesił głós.

– Nie odmówiłem, bo pochodzę z narodu, któremu fanaberie w rodzaju ślubowania abstynencji i haseł wciąż jeszcze istniejącej o dziwo Armii Zbawienia są zasadniczo obce. Co więcej, ojczyzna moich przodków graniczyła zawsze z krajami, w których panowały podobne poglądy na spożycie alkoholu. Przynajmniej na zachodzie i południowym zachodzie. Bo Chińczycy nigdy pić nie umieli, nie umieją i nie będą umieć. Pewnie dlatego dość rzadko sięgają po taką rozrywkę, a jeśli już, trunek szybko ich poniewiera. Nie wiem tylko, czy im współczuć, że mogą tak mało, czy zazdrościć, że tanio im wychodzi osiągnięcie pożądanego stanu.

Dethardt roześmiał się.

– Pięknie powiedziane. Ja bym jednak współczuł. Tylko że patrzysz na ten rum, jakbym chciał podać ci truciznę. Jeśli wolisz whisky...

– Nie o to chodzi – odparł profesor. – Zastanawiam się po prostu, jakie gałgaństwo wymyślili nasi przełożeni, że postanowiłeś naruszyć ten święty zapas.

– W takim razie najpierw się napij.

Nalał do kubków po solidnej porcji rumu i podał jeden naukowcowi. Solimow pociągnął łyczek, rozprowadził trunka po języku, wpuścił kroplę do gardła.

– Matko jedyna – szepnął. Poczuł, jak jego kubki smakowe szaleją, zdają się przemieszczać, a do tego zamieniać miejscami z komórkami węchowymi. – Cudowne...

A potem wziął większy łyk. Alkohol spłynął do przełyku i do żołądka, rozgrzewając je przyjemnie.

– Nie dziw się dawnym marynarzom, że przedkładali rum nad inne trunki – powiedział Dethardt. – Nawet podły smakuje przyzwoicie, a dobry... Cóż, masz właśnie do czynienia z produktem doskonałym. Doleję ci.

Ale Solimow odsunął naczynie.

– Nie, Romulusie, następnym razem. To byłoby świętokradztwo.

– Racja. – Pułkownik skinął głową i schował butelkę do szafki, po czym usiadł ciężko w fotelu i zapatrzył się w przestrzeń.

– A teraz mów, co wymyślili władcy naszego losu – rzekł profesor ponuro.

Dethardt wychylił resztę rumu i odstawił kubek z trzaskiem na stolik.

– Przemysleli sobie wszystko i uznali, że powinniśmy utrudniać obcym dostęp do tego, czego szukają. Cokolwiek to jest.

Solimow potrząsnął głową.

– Co?! Jak to utrudniać? Przecież nie wiemy nawet, czego szukają. W ogóle nie wygląda na to, żeby ich ciekawiły te same złoza co nas.

– To nieważne. Mamy im utrudniać dostęp i tyle. Rozumiesz?

– Czyli udajemy, że ich nie ma, a jednocześnie uprzykrzamy życie? Wybacz, ale tylko wojskowi potrafią coś takiego wymyślić.

– Minister obrony nie jest wojskowym – odparował pułkownik. – Powiedz lepiej, że tylko politycy potrafią tak zagrywać. Robią to na wszelki wypadek,

żeby mieć dobrą kartę przetargową w rozmowach z obcymi.

Solimow zacisnął wargi.

– Tak, tylko politycy, masz rację – wycedził po chwili. – Ale przecież to obca rasa! Nawet nie wiemy, jak myślą, jakie mają zasady, a już mamy z nimi pogrywać?

Dethardt wzruszył ramionami.

– Prawdziwe jaja zaczną się dopiero, kiedy do korporacji dotrze, co tu się zdarzyło. Na razie mają przylecieć tylko dodatkowe siły floty i kompania piechoty morskiej. Ale gdyby się jeszcze zjawili najemnicy przemysłowców... Szkoda gadać. Dobrze, że zabroniłem cywilom kontaktować się ze sponsorami.

Solimow westchnął.

– Ciekawe tylko, jak długo rząd zdoła to utrzymać w tajemnicy. A myślałem, że nawiążemy kontakt z obcymi, wymienimy się wiedzą, doświadczeniami, zaczniemy się poznawać...

– Za dużo powieści fantastycznych i filmów – zaśmiał się Dethardt, lecz zaraz spoważniał. – Diabli, mnie też się tak wydawało. Ale, jak widzisz, nasi władcy mają na to zupełnie inny pogląd.

– Jutro powinniśmy się spotkać z obcymi – przypomniał profesor. – Jak rozumiem, nic z tego?

– Nic z tego – potwierdził pułkownik. – Mamy im przeszkadzać i przygotowywać się na przybycie wojska, a nie zajmować się spotkaniami. Więcej, to absolutnie zabronione.

Siedzieli kilkanaście sekund w milczeniu. Przerwał je Solimow.

– Nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie, ale już mi się to cholernie nie podoba! Na trzeźwo chyba nic nie zrozumiem...

Pułkownik wstał i znowu podszedł do szafki.

– Whisky, gin, wódka? – spytał.

– Daj lepiej ten rum. Jest okazja.

Spis treści

[RAMIĘ PERSEUSZA. Z GŁĘBOKOŚCI](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

Text copyright © by Rafał Dębski 2017
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem,
zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.
Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Błażej Kemnitz

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Ramię Perseusza, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-831-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl